



- **Terror na lotnisku Okęcie** – str. 4
- **Przebierańcy na ulicach Pabianic** – str. 6
- **Dlaczego nie zostałem ambasadorem?** – str. 7
- **O konfrontacjach filmowych bez entuzjazmu** – str. 9
- **Nieznane zakończenie „Białej Gwardii”** – str. 10

**Matkom i dzieciom
najlepsze życzenia
składa
zespół „Odgłosów”**

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NUMER 22 (1522)

ROK XXX

30 MAJA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

Sport

strona 12



Foto: Grzegorz Galasinski

Człowiek, który założył w Przedborzu tu dowe muzeum i prowadzi je społecznie przy pomocy młodzieży. Uczniowie go lubią, a dorośli... nie zawsze rozumieją. Jest poetą, pedagogiem, działaczem kulturalnym i społecznym. Zajmuje się też radiestezją i wraz z młodzieżą robi pomoce szkolne. Został laureatem nagrody „Odgłosów” za upowszechnia nie kultury.

„Weź do ręki choćby grudkę ziemi”

PAWEŁ TOMASZEWSKI

1. Tadeusz Michalski mówi, że TO zrodziło się z ducha i z pustki. Duch był w nim; duch niepokój, poszukujący, nienasycony. Pustka — w szkole, w której uczy. Włec duch nie mógł znieść tej pustki — obezwładniającej i beznadziejnej. Czuł, że trzeba ją czymś wypełnić. Ale czym? Odpowiedź podsunął mu ostatni dzień stanu wojennego: tym, co najważniejsze, naj-

droższe, najbliższe sercu — ojczyznę. Tę przez małą o, o której napisał:
*Najbardziej szanuję
moją pierwszą ojczyznę
wyznaczoną granicami
dziecinnej tęsknoty
do mojej wioski
bosym stąpieniem po trawie
beztroskim dymem kartoflisk*

*zapachem bzu i chleba
pieczonego przez matkę
i grą w zielone
kiedy wygrałem tyle
że mogę dzisiaj
być człowiekiem.*

Bo o niej właśnie najczęściej zapominamy — w domu przy krojeniu chleba i na trybunie, przyoblekając słowa w patos.

Tadeusz Michalski mówi, że ojczyznę trzeba się uczyć w szkole. Ale nie z książek, zeszytu, mapy, lecz — z ciekawości, pracy i z zadowolenia. Ciekawość nie trudno rozbudzić, jeśli się tego chce, pracy nigdy nie brakuje, a gdy jest ciekawość i praca, zadowolenie przyjdzie potem samo. Wbrew temu, co się ostatnio często słyszy, nasza młodzież nie jest wcale obojętna, leniwa, bezideowa. Tak naprawdę, to młodzież — zwłaszcza na wsiach i w małych miasteczkach — jest po prostu głodna, głodna sensownego działania, sukcesu, a nade wszystko — kultury. Jeżeli szkoła nie potrafi zaspokoić tego głodu, młodzież błądzi, oddala się, ucieka ze swej ojczyzny. Dlatego trzeba jej pomóc trzeba wypełnić tę lukę w przeładowanych programach nauczania, o której że istnieje, jakby zapomniano. A możliwości są przecież tysiące.

Tadeusz Michalski mówi wreszcie, że wszystko bierze się z kultury: pracowitość, uczciwość, mądrość, nawet to, że krowy dają więcej mleka. Kiedy więc w sylwestrową noc z osiemnastego drugiego na osiemdziesiąty trzeci coś się w nim przebudziło, przełamało, wiedział.

że zacząć musi właśnie od kultury. I wymyślił tę izbę ludową w pustoszejącej szkole rolniczej, która ostatnio przylepiono do ogólniaka. Opracował też od razu całą koncepcję działania od a do z, żeby jasno było widać jego cel i sens. To bardzo ważne, gdyż młodzi nie znoszą demagogii, pustosłowia, cenią zaś sobie szczerość, otwartość i chęć znać cenę swojego wysiłku. Wtedy potrafią zaufać i pokazać, na co naprawdę ich stać.

Profesorowi Michalskiemu zaufali bez zastrzeżeń i nie oglądając się na nic, zabrali razem do dzieła. Na początku każdy przyniósł to, co znalazł w domu, na podwórku, w komórcie: jakieś naczynie, narzędzie, rzeźbę, obrazek, dokument, ozdobę. Ważne, żeby było stare i pochodziło z ich ziemi ojczystej, z regionu przedborskiego. Profesor był w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ wcześniej już zbierał trochę różne staroci, pamiątki, sztuki ludowej. Zrozumiałe zatem, że jego wkład był też największy. W końcowym efekcie nie miało to jednak specjalnego znaczenia. Istotne było, że w ogóle coś zaczyna się dziać, że jest to coś ciekawego, ważnego i że można mieć w tym swój wkład.

W kwietniu 1983 roku izba ludowa w Zasadniczej Szkole Rolniczej w Przedborzu gotowa była do otwarcia.

2. Sukces, to nie tylko zapłata za już, ale również — zaliczka na jeszcze. Dlatego każdy człowiek potrzebuje jakiegoś sukcesu, a społeczeństwo — ludzi, którym się udało.

Jak studenci wyrażali swoje niezadowolenie? Co to jest i kto wymyślił „Łódźstock”? Gdzie leży „Lumumbowo”? Kto decyduje o studenckiej kulturze? Walka o wpływy i dusze. Bawić się można na schodach, ale zamknięto się w „chatkach-kopułkach”. Dlaczego cudzoziemcy nie mogą być na dyskotekach? Co dalej ze studencką kulturą?

Jak studenci uczą się samodzielności i co z tego może wyniknąć?

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Wprowadzenie w życie rozporządzenia powstałego na mocy ustawy o szkolnictwie wyższym z 1985 r. doprowadziło do wyjęcia spod kompetencji samorządu akademickiego — Rady Osiedla przy ul. Lumumby — takich ośrodków kultury, jakimi są kluby studenckie w akademikach. Został ogłoszony autenyczny przetarg, do którego stanęły organizacje społeczno-polityczne, o zasięgu ogólnopolskim. Dokonał się proces decentralizacji — zamiast jednego podmiotu zarządzającego — pojawiło się ich całe mrowie...

FRUSTRACJA I SEPARACJA

Zawieszenie działalności szkół wyższych i wszystkich ich instytucji kulturalnych — w wyniku wprowadzenia stanu wojennego — wywołało w społeczności akademickiej Uniwersytetu Łódzkiego głęboką niechęć do uczestnictwa w jakiegokolwiek zinstytucjonalizowanej formie życia społeczno-kulturalnego. Frustracja, wywołana ograniczeniem swobód obywatelskich, ustępowała niezwykle powoli. Trzeba było ogromnego wysiłku organizacyjnego i osobistego zaangażowania animatorów samorządności oraz działaczy kulturalnych, aby przełamać opory i niechęć kolegów do angażowania się w cokolwiek. Budzeniu letargu sprzyjała też niewątpliwie liberalizacja stosunków społecznych w kraju. Wszystko rodziło się w bólu, ale wydawało się, że nic nie pójdzie na marne.

Pierwsze wybory do Rady Osiedla były wyjątkowo burzliwe. Kandydaci potrzebowali wiele samozaparcia, żeby zgłosić akces do wyborów. Kandydowali bowiem z pełną świadomością tego, że znajdą się jeszcze na pewno ktoś, kto posadzi ich o kolaborację.

Nowa Rada Osiedla cieszyła się poparciem większości społeczności „Lumumbowa”, bo tak nazywają osiedle studenckie na Stokach jego mieszkańcy. Posiadała ona możliwości kształtowania form życia kulturalnego studentów, planowania go, a dzięki posiadaniu tożsamości prawnej — mogła prowadzić działalność gospodarczo-finansową, a więc swobodnie dysponować pomieszczeniami klubowymi i ich wyposażeniem. Oprócz tradycyjnych imprez — w klubach odbywały się przyjęcia weselne, imieniny, itp. Studenci wynajmowali sale za symboliczną sumę. Finansowo jednak odpowiadali za każdy zniszczony bądź skradziony element wyposażenia.

Aby rozbudzić kolegów pograżonych w zbyt długo trwającym śnie zimowym, kluby ruszyły do ofensywy. W okresie lat 1982—1985 wręcz prześcigały się w uatrakcyjnieniu ofert. Punktem honoru dla każdego kierownika klubu było prowadzenie kawiarenki, inspirowanie turniejów brydżowych, wieczorów płytowych stereo i warsztatów muzycznych.

OD „MAŁYCH KROKÓW” DO „ŁÓDŹSTOCKU”

Jednak „polityka małych kroków” generalnie nie mogła w krótkim czasie zmienić nastawienia ogółu do aktywności. Niezbędne było coś, co wywoła przełom. Rozumiała to dobrze grupa członków Rady Osiedla: Jerzy Czubak, Mirosław Kołakowski, Piotr Misiewicz i „mózg” przemian — Stanisław Stelmach, właściwie wychuwają-

5

4

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński

Korekta: Mariola Khaga,
Jolanta Sawiuk
Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,
Bohdan Gadowski, Jacek
Glebski, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Marek Koprowski,
Włodzisław Krzemiński,
Marek Mamos Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy Panaszewicz,
Karol J. Strwiński, Maciej
Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź ul. Armii Czer-
wonej 23

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach

— Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.

Zam. 1593, H-2.

2 ODGŁOSY

Kolegom — Towarzyszom Sztuki Drukarskiej, z okazji ich święta — sukcesów w pracy zawodowej i pomyślności w życiu osobistym

życzy zespół „Odgłosów”

Przegląd prasy

„Warszawa dzisiejsza jest po-
tworkiem smutnym, przerażają-
cym, brudnym, zgnojonym
miastem. Trzeba to powiedzieć
bardzo wyraźnie. Bo jeżeli
przed Domem Chłopa, w sercu
śródmieścia starej Warszawy,
nikt od początku zimy do dzi-
siaj nie ruszył ani miotłą, ani
łopatą, to jest to coś nie mie-
szającego się w głowie. Obok
Domu Chłopa jest stary Dom
Robotnika, a potem jest Wa-
recka 11, gdzie ja mieszkam. I
mój dozorca, młody człowiek,
nie wiem, może wariat, ale o-
czyszczył przed domem. Cztery
metry oczyszczone się kończą
i sam wywaliłem się dwa razy
na morde. Osmańczył powie-
dział kiedyś, że przed wojną
przed domem sprzątał stróż, a
teraz zajmuje się tym rząd i
to jest pewne nieporozumienie.
Oczywiście, jest to nieporozu-
mienie, ale jest to nieporozu-
mienie straszne. Pan prezydent
Szymborski wygłosił tutaj re-
ferat, taki, jaki wygłaszają
właściwie wszyscy panowie
stanem. Ja ich nawet za to
nie mogę winić, zostali wep-
chnięci w pewien sposób myś-
lenia. Nie mają forsę, nie mają
prawa rozkazywania ani pra-
wa rozporządzania. (...) A Wa-
rszawa przestała być stolicą. W
Poznaniu wchodzi się do sklepu
i mówią «czym mogę służyć» i
czym w ramach możliwości
mogą służyć, to służą i jest
posprzątane, i stary Gdańsk
czyli Trójmiasto, mimo takich
czy innych mankamentów, je-
dnak jakoś wygląda i się trzy-
ma. A Warszawa przestaje się
trzymać, robi się gnojowiskiem».

Jest to fragment wypowiedzi
Edwarda Dzięwońskiego w dys-
kusji, którą zorganizowała re-
dakcja tygodnika „ODRODZE-
NIE” (nr 20). Brali w niej po-
nadto udział: Jerzy Kasprzy-
cki, Szymon Kobylński, Kazi-
mierz Koźniowski, Michał
Szymborski (wiceprezydent m.
st. Warszawy), Ignacy Golik,
Andrzej Zaczynski oraz Teresa
Krzemińska i Jerzy Grzybczak.
Zastanawiano się nad pyta-
niem:

STOLICA CZY DUŻA WIEŚ?

Reprezentując redakcję Te-
resa Krzemińska stwierdziła mi-
ędzy innymi: „Przedział taki
ka, że Warszawa nie jest w
ogóle wielkomiejska. Jest na-
wet coraz mniej miejska, bru-
dna i wstrętne, i szara i zam-
knięta na głucho, wieczorem na
zewnętrzny świat. I mówią to
nie tylko cudzoziemcy, to mówią
poczciwcy, suwalczanie, my
sami».

Bardzo ostro atakowano o-
becnego wiceprezydenta Micha-
ła Szymborskiego, który za
sukces Warszawy uważa to, że
ona... jest, że po wojnie wa-
budowano od podstaw prawie
2-milionowe miasto. Na to
Szymon Kobylński odpowied-
dził, że dla niego sukcesem
byłoby „normalne życie” w
stolicy, że przecież tak samo
jak Warszawę odbudowano
Kolonię, Drezno, Hiroszimę.

Wiceprezydent Szymborski
skarżył się, że trudno jest co-
kolwiek zrobić, ponieważ ini-
cjatywy władz blokują samo-
rządy mieszkańców. Poczuły się
one zanadto gospodarzami i
postępują według zasady libe-
rum veto.

Z kolei Ignacy Golik z „Ex-
pressu Wieczornego” zwrócił u-
wagę, że w Warszawie jest wie-
le rzeczy nie dokończonych. U-
derzający jest brak konsekwen-
cji. Przypominał on, że wie-
źwiec przy placu Dzierżyń-
skiego rozpoczęto budować
już... 22 lata temu. Jego zd-
aniem, władzom stołecznym ra-
czejby przeszkadzać w dzia-
łaniu samorządów mieszkań-
ców. Badający nasz system

dwaj profesorowie angielscy
doszli do wniosku, że tym
miastem w ogóle nie można
rządzić.

Z ostatnim argumentem nie
zgadzała się Teresa Krzemińska.
„Jak się tego słucha — powie-
działa — to wychodzi na to, że
wszystkiemu winna jest roz-
szalała demokracja Polski Lu-
dowej... Czy wszyscy mówimy
o tym samym kraju?”

O funkcjonowaniu admini-
stracji wiele mówił przykład
dany przez Jerzego Kasprzy-
ckiego z „Życia Warszawy”.
Na placu Unii Lubelskiej nie
było skrzynki pocztowej. W
wyniku skarg mieszkańców
prezydent zwrócił się do dy-
rektora urzędu pocztowego, a
ten odpowiedział, że liczba
skrzynek w Warszawie jest
zgodna z odpowiednim wskaź-
nikiem ministerialnym. Po-
mogła dopiero interwencja na-
szego... prezesa Rady Mini-
strów.

W tygodnikach „KULTURA”
(nr 20) oraz „KATOLIK” (nr
21) Edmund Żurek i autor
podpisujący się M. P. przed-
stawiają problem satanizmu.
Okazuje się, że coraz więcej
zwolenników na świecie mają

WYZNAWCY SZATANA.

„Satanizm” — pisze M. P. —
rozprzestrzenia się niczym
AIDS. W Stanach Zjednoczo-
nych i Republice Federalnej
Niemiec liczy się ich w milio-
nach. Wysoko wzbierająca fala
„diabelskiej praktyki” stała się
tematem specjalnej konferencji
duchownych, zorganizowanej
przez Biskupstwo-Luteranckie
Kościoł w RFN. Duchowni
wezwali rodziców do wzmożo-
nej czujności i wytyczoną tro-
ską w celu uchronienia mło-
dzieży przed niebezpiecznymi
wpywkami. Podali szereg przy-
kładów świadczących, że na-
tajnych konwentach mło-
dzieży satanistów projektuje
się i praktykuje „zabójstwa ry-
tualne”. Nauczyciele i psy-
chiatry alarmują, że „młodzież
pada ofiarą obskurantyzmu w
stopniu wręcz niespotykanym
od czasów najbardziej ponu-
rego średniowiecza”. Pojawia-
ją się głosy lekarzy w Polsce,
że zetknęli się z pierwszymi
poważnymi okaleczeniami
członków grup satanistycz-
nych”.

Satanici lubią muzykę
w stylu heavy metal. W naszym
kraju przeważnie sympatyzują
z zespołem młodzieżowym
„Kat”. Idea sataniczna propa-
guje również zespół „Test Fo-
bil Creon” z Wrocławia. Jego
wokalista śpiewa między inny-
mi: „Nawiedził mnie ciemnym
śnem. Poczułem go ciałem.
Spaliłem biblię i krzyż. Su-
tanę ubrałem. Odkryłem praw-
dę jego słowa, poczułem śmierci
sens. Wcisnęła się pochłania
mnie, ludzkości nadejście kres.
Nawiedź! ezas! Mordować
czas! Czuję, że władzę Płonie
krzyż na stole krzywd. Pój-
dziesz tam, do piekła bram.
Gdzie dusza zła, oświeci cię.
Diabełskiej masz wrocie czas”.

Edmund Żurek, za którym
cytuje tekst piosenki, podaje
też słowa modlitwy recytowa-
nej przez „kapłana” podczas
mszy satanicznej odprawionej
w nocy z 1 na 2 sierpnia 1986
roku w Jarocinie. Mówił on:
„Ave Lucyfer! Salve Impera-
tor Hades!... W imię Boga, któ-
rego imię jest Lucyfer, rozka-
zuje wam moje piekło i nieba,
abyście przeszkadzały nam w
spełnieniu tej ofiary na cześć
Imperatora Hadesu. Jahuwe, nie
szkódź nam, rozkazuje ci w
imię Pana piekiel, księcia zła i
dobroci, brata twego, syna czo-
watego, Pana, który włada
ciemnościami, Lucyfera, który
godzien jest wiary! Błogosła-
wienie Pana naszego i las-
ka aniołów i dar jedności z
duchami piekiel niech będą z
nam wszystkim!”

Uczestnicy tej ponurej mszy
zbeczczili komentarz katolic-
ki. A na ofiarę zabili nożem
psa. W lutym br. Sąd Rejo-
nowy w Jarocinie skazał „ka-
plana” na karę 1 roku i 6 mie-
sięcy pozbawienia wolności
oraz „ofiarnika” na 1 rok po-
zbawienia wolności. Czy to

odstraszy innych? Trudno po-
wiedzieć. Wielu satanistów po-
jawiało się ostatnio w starszych
klasach szkół podstawowych.

ZJAWISKA PATOLOGICZNE

nasilają się, niestety, wraz z
postępami cywilizacji. Bardzo
ostrą walkę z wszelką pato-
logią prowadzi się obecnie w
Związku Radzieckim. Szczegól-
nie, jak wiadomo, zwalcza się
tam alkoholizm. Udzielając
odpowiedzi na pytania dzien-
nika „Unita” — pełny tekst
opublikowała „TRYBUNA LU-
DU” (nr 117) — Michaił Gor-
baczow powiedział:

„Kobiety domagają się nawet
prohibicji. My jednak rozumi-
emy, że w skali państwa wpro-
wadzić takiej ustawy nie mo-
żna. I odpowiadamy: chciecie,
to wprowadzajcie prohibicję u
siebie w rodzinie, w miastecz-
ku, na wsi, w osiedlu mieska-
niowym, czy wreszcie w rejonie.
W tysiącach wsi, miastec-
zek, ludzi pracy na zebra-
niach podjęli decyzję o za-
przeczeniu sprzedaży i kon-
sumpcji napojów alkoholowych.
Walka z alkoholizmem trwa.
W ostatnich 2 latach spożycie
alkoholu na jednego mieszkań-
ca spadło o połowę. Jednakże
zauważalnie wzrosło się bim-
brownictwo. Z tym zjawiskiem
będziemy prowadzić zdecydo-
waną walkę, włącznie z za-
strzeżeniem odpowiednich pra-
wisłów. Jest to problem ogrom-
ny. A droga do uwolnienia się
od takiego zła jak alkoholizm
prowadzi poprzez rozwój sfery
usług, sfery handlu, dalszy roz-
wój sportu, kultury, przez de-
mokratyzację całego życia spo-
łecznego. Ogólnie należy po-
wiedzieć: gdyby społeczeństwo
zajęło negatywne stanowisko
wobec tej sprawy, to nie by-
łoby tego wyszło. Wszystkie te
środki zostały podjęte w o-
parciu o opinię ludzi pracy i są
realizowane z ich udziałem”.

Rozwój cywilizacyjny niesie
nie tylko zagrożenia moralne.
We wszystkich krajach uprze-
mysłowych spowodował
niebezpieczne dla ludzkości
straty w środowisku natural-
nym. W naszym kraju mamy
m.in. katastrofalnie

W niektórych przypadkach
poprawa sytuacji wymaga
współpracy międzynarodowej.
Przed wszystkim dotyczy to
Odry. Ciekawy artykuł na ten
temat napisała w miesięczni-
ku „PRZYRODA POLSKA”
(nr 4) Jolanta Matlakowska.
Już pierwsze zdania mają cha-
rakter wstrząsający:

„Odra od dawna jest brudną
rzeką. Nie pluskają w niej ry-
by, nie zbierają się nad nią
stada ptactwa. Odra jest ście-
kiem, przysmakiem każdego
dnia w swoim górnym biegu
ogromne ilości zanieczyszczeń,
pochodzących z zakładów prze-
mysłowych okręgu północno-
morańskiego w Czechosłow-
acji. I w takiej postaci jej bu-
rozrzare wody przekraczają gra-
nicę polską w Chalepkach.
Brudna Odra, jak każda za-
nieczyszczona rzeka, zagraża
leżącym nad nią terenom.
Przekonała się o tym w sier-
pniu 1985 roku ludność nad-
odrzańskich gmin woj. katowic-
kiego, kiedy to na skutek naj-
większej od kilkudziesięciu lat
powodzi, wody Odry zalały pola
uprawne, powodując skaże-
nie stward, dojrzejących i
zebranych już plonów, uniemo-
żliwiając wypas bydła”.

Jolanta Matlakowska opisuje
przebieg ciężkiej pracy nad o-
czyszczaniem Odry z mazu i
oleju, którymi skażono rzekę w
listopadzie i grudniu ub. r. po
stronie czechosłowackiej. Spra-
wa czystości Odry jest nadal o-
twartą dla obu stron.

E. L.

Zanieczyszczone
rzeki.

W niektórych przypadkach
poprawa sytuacji wymaga
współpracy międzynarodowej.
Przed wszystkim dotyczy to
Odry. Ciekawy artykuł na ten
temat napisała w miesięczni-
ku „PRZYRODA POLSKA”
(nr 4) Jolanta Matlakowska.
Już pierwsze zdania mają cha-
rakter wstrząsający:

„Odra od dawna jest brudną
rzeką. Nie pluskają w niej ry-
by, nie zbierają się nad nią
stada ptactwa. Odra jest ście-
kiem, przysmakiem każdego
dnia w swoim górnym biegu
ogromne ilości zanieczyszczeń,
pochodzących z zakładów prze-
mysłowych okręgu północno-
morańskiego w Czechosłow-
acji. I w takiej postaci jej bu-
rozrzare wody przekraczają gra-
nicę polską w Chalepkach.
Brudna Odra, jak każda za-
nieczyszczona rzeka, zagraża
leżącym nad nią terenom.
Przekonała się o tym w sier-
pniu 1985 roku ludność nad-
odrzańskich gmin woj. katowic-
kiego, kiedy to na skutek naj-
większej od kilkudziesięciu lat
powodzi, wody Odry zalały pola
uprawne, powodując skaże-
nie stward, dojrzejących i
zebranych już plonów, uniemo-
żliwiając wypas bydła”.

Jolanta Matlakowska opisuje
przebieg ciężkiej pracy nad o-
czyszczaniem Odry z mazu i
oleju, którymi skażono rzekę w
listopadzie i grudniu ub. r. po
stronie czechosłowackiej. Spra-
wa czystości Odry jest nadal o-
twartą dla obu stron.

NA WŁASNY RACHUNEK

Im mniej, tym lepiej

Nie bez pewnej dumy wspominam, że na progu swojej dojrza-
łości obywatelskiej brałem udział w 1948 r. w pierwszym (i je-
dynym dotychczas w dziejach PRL) ogólnonarodowym referen-
dum, dotyczącym jak wiadomo trzech spraw o najwyższym, pań-
stwowym znaczeniu: powrotu Polski do plastowskich granic, je-
dnolizbowego parlamentu (bez izby wyższej, czyli senatu) i reformy
rolnej, polegającej na wywłaszczeniu wielkiej własności ziemskiej.

Pamiętam, że przeżyłem uczestnictwem w tym dziejowym akcie
głosowałem dwa razy „Tak”, czyli na dwa pytania odpowiedzia-
łem pozytywnie i jeśli mnie pamięć nie myli, moje jedno „Nie”
odnosiło się do parlamentu choć nie mam pojęcia, w czym mo-
głem upatrywać nieodzowność senatu. W ówczesnym Krakowie,
którego mieszkańcy głosowali, jak przynależało komunikat, w wię-
kszości trzy razy „Nie” należałem więc do zdecydowanej mniej-
szości. Czy to znaczy jednak, że gdyby większość w skali kraj-
owej wyraziła swą dezaprobatę dla wszystkich trzech tez, rząd
powinien by wówczas zrezygnować z przyłączenia ziem określa-
nych już jako odzyskane? Ani by nie zechciał tego uczynić, ani
by nie był w stanie...

Ostatnio dowiedziałem się, że ta postać publicznego wypo-
wiedania opinii, czyli głosowania ludowego, zyskuje sobie u nas
stałe miejsce w rozbudowywanym systemie demokracji socjali-
stycznej, będąc wyrazem stosowania też niekiedy form demokra-
cji bezpośredniej, przy czym słyszy się głosy, że ranga referen-
dum będzie tym wyższa, im bardziej wiążące dla władzy będą
wyrażane w tym akcie opinie. A więc — opinie czy postanowie-
nia?

Przyznam się, że w pierwszym odruchu przyjąłem wieść o
„instytucji” referendum z nieznanym zadowoleniem w myśl
pewnej jakby oczywistości, że im większe prerogatywy zwykłego
obywatela, tym dla ogółu lepiej i dopiero później naszły mnie
refleksje różnego rodzaju. Czy np. uzależnienie posunięć władz
państwowych od ocen społeczeństwa może być we wszystkich
sprawach korzystne i czy taki akt ludowładztwa bezpośredniego
można uznać de facto za istotny atrybut demokracji? Czy nie
schodzi wskutek tego z oczu nieustanna potrzeba doskonalenia
wpływu obywateli na funkcjonowanie wszelkiego rodzaju ciał
przedstawicielskich? Nie będąc prawnikiem nie potrafię zresztą
dokładnie sprecyzować swoich wątpliwości...

Ala myślę, że z tego co napisałem wynika, że może jeszcze
istnieć wiele „za” i „przeciw”, nieprzezwidywanych nawet przez
zwykłego obywatela, które jednak przez wnioskodawców referen-
dum nie zostały poddane pod rozwagę opinii publicznej, czy od-
czuwa ona w ogóle potrzebę referendum i czy chciałaby je wi-
dzieć jako tylko jeszcze jedną konsultację, czy też jako wyraz
swej woli. Co do mnie, to, choć nie pytany, zdradzę się ze swym
sceptycyzmem co do potrzeby nagminnego zasięgania opinii pu-
blicznej (chyba że w normalnym trybie działalności instytucji
badania opinii), uważam bowiem stan świadomości społeczno-po-
litycznej, a zwłaszcza ekonomicznej społeczeństwa za katastrofal-
nie niski, wskutek czego w sprawach wielkiej wagi większość
skłonna jest przedkładać doraźne korzyści nad swój długofalowy
interes, w myśl zasady: co zyskam teraz, to już moje, a potem
jakoś to będzie.

Wcale nie rezygnuję, czy ogół społeczeństwa nie zaakcepto-
wałby bezkrytycznie demagogicznej oferty — natychmiastowej
podwyżki płac o połowę wraz z wprowadzeniem dodatkowego dnia
w tygodniu wolnego od pracy, odrzucając jednocześnie bez wah-
nia i namysłu posunięcia dyscyplinujące pracę i wprowadzające
najsurowszy reżim w podwyższaniu płac. Nawet gdyby w kon-
sekwencji pojawiły się nowe pustki portfeli, jestem przekonany, że
bardzo znaczna część społeczeństwa nie dostrzegaby żadnych
związków między swoją fatalną decyzją, a zalaniem się go-
spodarki. Śmiem tak twierdzić, ponieważ nawet od ludzi wy-
kształconych słyszę nieustannie opinie świadczące o takim właśnie
sposobie myślenia. Podważam się jednak, że w Wielkiej Brytanii
przez bardzo długi czas nie wprowadzano szczyptenia ospy, po-
nieważ sprzeciwiała się temu stanowczo... opinia publiczna.

Uważam, że nie może zwolnić od całkowitej odpowiedzial-
ności za podejmowane decyzje tych, co z tytułu sprawowania
władzy ponoszą odpowiedzialność za losy państwa i narodu przed
historią i... Sejmem (ewentualnie wraz z Senatem) Co do mnie,
to w bardzo wielu sprawach musiałbym odpowiedzieć: „Nie mam
o tym zielonego pojęcia i nie mam odwagi wysłuchiwać czy
nawet opiniować”. Bo najważniejsze chyba, żeby wszędzie za-
trudniać ludzi, którzy się znają na rzeczy, nawet jeśli nie za-
wsze bywają układowi.

Referenda też muszą coś niecoś kosztować, pochłaniać czasu,
materiałów i pieniędzy, im więc rzadziej potrzebne, tym chyba
lepiej.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

- Co lekarze zalecają tym, którzy wybierają się na spot-
kanie z papieżem Janem Pawłem II na Lublinku? —
informuje BOGDA MADEJ.
- Nasi wysłannicy DARIUSZ DOROŻYŃSKI oraz
GRZEGORZ GAŁASIŃSKI przedstawiają stan przy-
gotowań w Łodzi do wizyty Jana Pawła II.
- Brud i bałagan na Dworcu Kaliskim. Zdezorientowani
podróżni błądzą wśród ruin. Czy milionowa aglomera-
cja musi mieć taką wizytówkę? — pyta JOLANTA
WROŃSKA.
- Na plenum Zarządu Związku Pisarzy ZSRR niektórzy
przemawiali bardzo emocjonalnie i namiętnie. Fra-
gментy ostrych wystąpień pisarza białoruskiego NILA
GILEWICZA i ukraińskiego BORISA OLEJNIKA.
- Kolejny odcinek z cyklu artykułów BOGDY MADEJ
o polskiej piłce nożnej. Tym razem mówią piłkarze
ŁKS: Krzysztof Baran, Sławomir Różycki i Grzegorz
Więzik — ukarani za niesportowy tryb życia.
- Nie mieli niegdyś łatwego życia. Dziś działają legal-
nie. Mają własne wydawnictwa i audycje. Nie piją
alkoholu, nie palą papierosów, walczą z narkomanią.
O kościele Adwentistów Dnia Siódmego pisze AN-
DRZEJ KAROLCZAK.
- Otrzymują setki skarg. Reagują na wszystkie sygnały.
W ciągu 2 lat przeprowadzili ponad 800 kontroli.
Rozmowa MARKA MAMOSA z kierownikiem łódz-
kiej IRCH Henrykiem Łabęckim i doradcą ekonomicz-
nym Zbigniewem Sobczakiem.

NR 22 (1522), XXX, 30 MAJA 1987 R.

Lektura dokumentu pt. „Tezy w sprawie II etapu reformy gospodarczej” skłania do zastanowienia się nad możliwymi kierunkami ewolucji systemu funkcjonowania gospodarki narodowej. Uwzględniając krytyczną ocenę dotychczasowego przebiegu reformowania gospodarki postuluje się w „Tezach” radykalne przejście na wyższy, bardziej zaawansowany etap reformy gospodarczej, popularyzując określenie jako drugi etap. Na treść działań w II etapie reformy składają się:

- konieczność wyraźnego przyspieszenia zmian systemu funkcjonowania gospodarki w stosunku do przebiegu tego procesu w latach 1983–1986; oznacza to przyspieszenie dochodzenia do tzw. modelu docelowego nakreślonego w „Kierunkach reformy gospodarczej” (w 1981 roku) oraz konsekwentne wprowadzanie do praktyki podstawowych narzędzi ekonomicznych i elementów mechanizmu rynkowego;
- rozwinięcie programu reformy w stosunku do jej koncepcji zawartej w „Kierunkach”; w

działaniu mechanizmu ekonomicznego. Przedsiębiorstwa ograniczać się będą w swej działalności do wykorzystywania „rezerw powierzochności”, czyli do podejmowania innowacji krótkookresowych, nie wymagających większych nakładów i głębszych zmian w technologii i organizacji. Tendencje stagnacyjne pogłębiane będą przez niedostateczny import licencji technologicznych i w ogóle przez trudności w imporcie nowoczesnych maszyn i urządzeń. Zresztą nawet przy założeniu poważnego zastrzyku importowanej technologii nie nastąpi przełom w poziomie technicznym gospodarki. Na przeszkodzie temu stoi bowiem nieskuteczny system funkcjonowania gospodarki, pozbawiony racjonalnych metod nacisku na postęp efektywnościowy przedsiębiorstw. Import nowoczesnych technologii nie może stanowić alternatywy dla głębokiej reformy systemowej. Wskazują na to doświadczenia gospodarki polskiej z lat siedemdziesiątych.

W zakresie polityki gospodarczej nie nastąpi istotne zmiany w strukturze przemysłu i

nej. Takie działanie wymaga wytyczenia strategii rozwoju społeczno-gospodarczego oraz określenia form instrumentów jej realizacji. Tym samym obowiązującym powinno być kryterium podziału pracy centralnej administracji (polityka naukowo-techniczna, polityka w handlu zagranicznym, polityka inwestycyjna itp.), a nie jak dotychczas, wszechwładne kryterium branżowo-gałęziowe.

2. Eliminacji administracyjnych ograniczeń samodzielności ekonomicznej przedsiębiorstw, przy jednoczesnym zastrzeżeniu rygorów samofinansowania. Zwiększeniu zakresu samodzielności przedsiębiorstw towarzyszyć musi konsekwentne respektowanie zasady przymusu ekonomicznego, co przejawia się radykalnym ograniczeniem dotacji dla nieefektywnych przedsiębiorstw, eliminacji możliwości uzyskiwania pozasystemowych ulg podatkowych, stosowaniu trudnych (efektywnościowych) zasad polityki kredytowej itp. Mottem działań systemowych należy uczynić wspieranie przedsiębiorstw efektywnych przy pomocy korzystnych kredytów, ulg podatkowych, zwiększonych odpisów dewizowych, pozostawienia amortyzacji w przedsiębiorstwie itp., a zarazem rezygnowanie z paternalizmu ekonomicznego wobec przedsiębiorstw, które nie potrafią sprostać kryteriom efektywnego gospodarowania. Można przypuszczać, że jasne sprecyzowanie rozstrzygnięć systemowych i świadomość groźby upadłości zmuszą przedsiębiorstwa do podejmowania działalności innowacyjnej.

3. Stworzenie rynków o określonym stopniu konkurencyjności, to znaczy o takim stopniu, który jest dostateczny dla pobudzenia innowacyjnych postaw przedsiębiorstw. W związku z tym do rangi imperatywu urasta przełamanie szkodliwych struktur monopolistycznych (demopolizacja), które stanowią jedną z przyczyn niskiej efektywności i innowacyjności gospodarki polskiej. Imperatywem działania na tym polu musi być śmiałe kształtowanie warunków sprzyjających swobodzie „wejścia” przedsiębiorstw w nowe obszary aktywności gospodarczej, powstawaniu średnich i małych przedsiębiorstw innowacyjnych, różnego rodzaju spółek mieszanych itp. Wyższą efektywność i innowacyjność przedsiębiorstw państwowych można wymusić przez otoczenie ich przedsiębiorstwami spółdzielczymi, prywatnymi, mieszanymi oraz przez równoprawne warunki ich rozwoju.

Istotnym posunięciem o wydzwięku antymonopolowym jest również przebudowa systemu bankowego. Jednym z kierunków zmian powinno być tworzenie wyspecjalizowanych instytucji kredytowych dla gromadzenia środków i aktywnego finansowania wybranych dziedzin gospodarki. Instytucje te mogą działać jako „kapitał poszukujący”, a zatem nie tylko udzielać kredytów, ale same poszukiwać najbardziej efektywnych rozwiązań i potencjalnych ich realizatorów. Banki takie mogłyby uczestniczyć w finansowaniu przedsiębiorstw innowacyjnych (banki innowacyjne). Drugim kierunkiem zmian powinno być zwiększenie roli zasad komercyjnych w funkcjonowaniu oddziałów NBP. Niezbędne jest dopuszczenie możliwości wyboru przez przedsiębiorstwo banku oraz wprowadzenie rozwiązań zwiększających zainteresowanie banków efektywnością udzielanych kredytów i gromadzeniem środków przedsiębiorstw.

4. Zapewnienie wysokiej rangi, w sensie wynagrodzeń i prestiżu, tym grupom społecznym, które są nosicielami innowacji, a więc wynalazcom, racjonalizatorom, rzutkim organizatorom itp. Ważnym elementem promowania postaw innowacyjnych jest system doboru i oceny kadry kierowniczej, eksponujący kryteria innowacyjno-rozwojowe. Problem popierania swoistych „elit innowacyjnych” należy rozpatrywać w ścisłym związku z koniecznością przewyższenia panującego w społeczeństwie polskim egalityzmu w pojęciach o sprawiedliwym kształtowaniu dochodów.

5. Wypracowanie ofensywnego modelu międzynarodowej współpracy w dziedzinie postępu naukowo-technicznego. Gospodarka polska skazana jest na korzystanie z transferu nowoczesnych technologii, jeśli nie chce się znaleźć na marginesie światowej infrastruktury technicznej. Przepływ technologii dokonuje się różnymi kanałami i w różnych formach. Najsukcesowniejszym sposobem tego przepływu jest tworzenie tzw. joint-ventures, spółek z udziałem kapitału obcego. Oprócz możliwości zapewnienia tą drogą dopływu nowoczesnych technologii, a także metod zarządzania, nie bez znaczenia jest też w warunkach utrudnionego dostępu do kredytów zagranicznych dopływ kapitału zewnętrznego do gospodarki.

Nie należy mieć złudzeń, że wprowadzenie tego scenariusza będzie łatwe i wolne od sytuacji konfliktowych. Przede wszystkim trzeba liczyć się z wystąpieniem oporów społecznych, gdyż głębokie zmiany oznaczają naruszenie interesów znaczących grup. Adwersarzami konsekwentnej reformy są nie tylko pewne grupy aparatu centralnego, ale też część kadry przedsiębiorstw. Jedni i drudzy obawiają się bowiem rzeczywistych sprawdzianów z efektywności gospodarowania i rzeczywistego egzekwowania odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

Czynnikami sprzyjającymi przyjęciu scenariusza konsekwentnych zmian powinno być przekonanie, że dryfowanie systemu nie rokuje żadnych nadziei na poprawę efektywności gospodarowania i zaspokojenia aspiracji konsumpcyjnych społeczeństwa. Obecny kształt systemu oparty na wykorzystaniu hybrydowych rozwiązań (narzędzi administracyjnych i parametrycznych) nie zawiera w sobie sił zdolnych do wymuszenia efektywności i innowacyjności. Nie ma więc rozsądnej alternatywy dla konsekwentnej reformy gospodarczej.

Nagroda tygodnika „Odgłosy” po raz trzeci

Powołane przez dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” jury przyznało po raz trzeci nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1986 r. Trzecim laureatem nagrody „Odgłosów” — po Antonim Szramie i Siawomirze Pietrasie — został pedagog i działacz kultury z Przedborza w województwie piotrkowskim — **TADEUSZ MICHAŁSKI**.

Jury nagrody „Odgłosów” nie tylko rozpatrzyło zgłoszone do nagrody kandydatury, ale też sformułowało kilka uwag i zaleceń ważnych dla kolejnych edycji nagrody „Odgłosów”. Po pierwsze — upoważnia przewodniczącego jury, aby wystąpił do dyrekcji Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — fundatora nagrody — o podwyższenie jej sumy z 50 do 60 tysięcy złotych. Dyrektor LWP — Piotr Sagan wyraził na to zgodę. Tak więc w czwartej edycji nagrody „Odgłosów” wynosić będzie 60 tysięcy złotych.

Po drugie — jury krytycznie oceniło nadesłane wnioski o przyznanie nagrody „Odgłosów”. Niektórzy autorzy tych wniosków nieuwzięli przeczytali regulamin, nieuwzięli czytali wypowiedzi publikowane na łamach tygodnika, pod wspólnym tytułem: „Komu nagroda „Odgłosów”? W regulaminie, jak i w wypowiedziach wyraźnie podkreślano, że jest to nagroda za osiągnięcia uzyskane w 1986 roku. Tak więc każdego roku jury przyznaje nagrodę za osiągnięcia roku ubiegłego. Również nowy regulamin podkreśla, że w 1988 roku rozpatrywane będą osiągnięcia, które miały miejsce w 1987 roku.

Tymczasem niektórzy autorzy wniosków potraktowali swoje uzasadnienia w taki sposób, jakby nagrodę „Odgłosów” przyznawano za „całokształt twórczości” czy za „całokształt upowszechniania kultury”. W dyskusji jurorzy podkreślali, że niektóre wnioski można byłoby z powodzeniem przesłać do komisji, która przyznaje Nagrodę Miasta Łodzi. Jury takie wnioski z przykrością musiało, zdyskwalifikować jako nie odpowiadające wymaganiom regulaminu. Wszystkich autorów wniosków prosimy na przyszłość o uważne czytanie regulaminu.

Po trzecie — jury stwierdziło wyraźnie i użnało, że powinno także sformułowanie znaleźć się w regulaminie, że do nagrody „Odgłosów” można kandydować kilka razy. Ilość razy jest nieograniczona pod warunkiem, że każdego miłnionego roku kandydat miał istotne osiągnięcia w upowszechnianiu kultury, czego bezwzględnie wymaga regulamin. I takie sformułowanie znajduje się w regulaminie, który już niedługo opublikujemy.

Bezwzględnie — już w 1988 roku, kiedy rozpatrywane kandydatury za rok 1985, jury dozwolić do wniosków, że nie należy publikować nazwisk kontrkandydatów. Utrzymanie tych nazwisk w tajemnicy — zdaniem jury — ma ułatwiać ponowne kandydowanie, jeśli są ku temu merytoryczne powody. W czasie pracy obecnego jury Edward Szuster wystąpił z wnioskiem, aby odejść od dotychczasowej praktyki i publikować nazwiska kontrkandydatów. Wniosek swój motywował tym, że niektóre kandydatury zostały zgłoszone publicznie, na łamach pisma, a poza tym uważał, że sam fakt kandydowania do nagrody jest już wyróżnieniem i nie ma co tego ukrywać. Jerzy Panasiewicz natomiast był zdania, że jeżeli już publikować nazwiska kontrkandydatów, to wyłącznie tych, którzy dotarli do końca rywalizacji i odpadli w ostatnim głosowaniu. Jury większością głosów oboje wnioski odrzuciło i użnało, że nadal obowiązują zasady niepublikowania nazwisk kontrkandydatów. Mogą jedynie zdradzić, że do nagrody kandydowało 7 osób.

Po piąte — jury rozpatrzyło kwestię ponownego kandydowania do nagrody laureatów tej nagrody. Pytanie takie postawił w swojej wypowiedzi na łamach „Odgłosów” Andrzej Hampel. Jury czuło się upoważnione do odpowiedzi na to pytanie, a tym samym ustanowienia obowiązującej zasady. Będzie ją można zmienić ewentualnie uchwałą jury w następnych latach. Jury użnało, że zasada ta powinna wejść do regulaminu. Jury stanęło na stanowisku, że ponownie laureat może kandydować do nagrody po upływie pięciu lat. I taki punkt znajdzie się w regulaminie, który w niedługim czasie — co już powiedziano — będzie opublikowany.

Po szóste — jury zobowiązało redakcję „Odgłosów”, aby wysłała do wszystkich kandydatów do nagrody za rok 1986 listy gratulacyjne, co redakcja uczyni i co powinno stać się trwałą praktyką.

Po podpisaniu protokołu końcowego jury rozwiązało się. Jego posanowienie są obowiązujące do następnej edycji nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury. Stało się już dobrym zwyczajem, że każde jury formułuje zasady dalszej pracy swoich następców, kształtując tym samym zasady funkcjonowania nagrody „Odgłosów”.

Jużorom składam serdeczne podziękowanie za pracę. Laureatowi i jego kontrkandydatom serdecznie gratuluję i życzę sukcesów oraz zdołbycia w przyszłości nagrody „Odgłosów”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PRZEPRASZAMY

Do komunikatu o nagrodzie „Odgłosów” wkład się poważny błąd: „W wyniku losowania jury postanowiło przyznać nagrodę...”. Powinno natomiast być: „W wyniku głosowania jury postanowiło przyznać nagrodę...”. Laureata i czytelników serdecznie przepaszamy.

Jest pilna potrzeba szybkiego przebudowania gospodarki. Jak to zrobić? W jakim kierunku powinny pójść zmiany? Czy może obejść się bez konfliktów? Czy różne grupy społeczne nie będą próbowały przeszkadzać?

„Scenariusze zmian”

WITOLD KASPERKIEWICZ

wielu dziedzinach ustalenia „Kierunków” wymagają istotnego rozwinięcia i pogłębienia, dotyczy to zwłaszcza takich zagadnień jak zwiększenia roli mechanizmu rynkowego (urynkowanie gospodarki), wzmacniania zasady samofinansowania przedsiębiorstw i uelastycznienia form organizacyjnych przedsiębiorstw (spółki prawa handlowego).

Analizując generalną linię ewolucji systemu gospodarczego wytyczoną w „Tezach” oraz całą gamę propozycji szczegółowych podkreślić należy nowatorstwo wielu rozwiązań, niekonwencjonalne podejście do niektórych obszarów systemu funkcjonowania gospodarki. W „Tezach” zapowiada się między innymi: rozwój wielosektorowości gospodarki, reformy systemu bankowego, możliwość wyboru banku przez przedsiębiorstwa, większa swoboda przedsiębiorstw w dysponowaniu środkami finansowymi, stwarzanie możliwości powstawania spółek akcyjnych, w których część akcji będzie mogła być sprzedawana pracownikom jako akcje emisyjne, rozszerzanie możliwości sprzedaży obligacji także osobom fizycznym. Są to rozwiązania wychodzące naprzeciw potrzebom podnoszenia efektywności gospodarowania, pobudzania przedsiębiorczości jednostek gospodarczych i obywateli.

Jest sprawa dyskusyjna — czy zarysowane w „Tezach” propozycje gwarantują osiągnięcie tzw. masy krytycznej rozwiązań, dzięki której nastąpi jakościowy przełom w funkcjonowaniu gospodarki. Z duża dozą prawdopodobieństwa można skłonić do tego dla zwolenników radykalnego urynkowania gospodarki polskiej „Tezy” będą dokumentem niezbyt śmiałym, niemniej oportunistycznym wobec istniejących rozwiązań. „Za mało rynku, za dużo centralnej regulacji” — tak można by syntetycznie ująć stanowisko ekonomistów opowiadających się za konsekwentnym wariantem rynkowym gospodarki. Natomiast dla oredowników nurtu zachowawczego i taktyki „małych kroków” rozwiązania proponowane w „Tezach” mogą okazać się zbyt radykalne, żeby nie powiedzieć godzące w niektóre fundamentalne cechy gospodarki socjalistycznej, uszczelniane wieloletnią tradycją funkcjonowania systemu centralizowanego. Fundamentalne cechy tej gospodarki uformowały się w dyktando centralizmem jako formą organizacyjną właściwą dla funkcjonowania socjalistycznych stosunków produkcji.

Przedstawienie kierunków ewolucji systemu funkcjonowania gospodarki jest zadaniem niełatwym, są one bowiem determinowane przez wiele czynników o charakterze ekonomicznym, społecznym i politycznym. Warto podkreślić, że liczba możliwych kombinacji tych czynników jest duża, a zależność między nimi ma w wielu przypadkach postać sprzężenia zwrotnego, co dodatkowo utrudnia próby konstruowania scenariuszy zmian. Wiele z podstawowych czynników, które wpływają na oblicze systemu gospodarczego to czynniki niepewne i nieznanne. Nie zostały dotychczas przesądzone jednoznacznie, mimo opracowania „Tezy” losy reformy gospodarczej, tzn. w jakim kierunku potoczą się zmiany systemowe — czy rozszerzy się odcia rynkowa reformy czy też utrwalą się obecny kształt systemu nie rokuje nadziei na poprawę efektywności i innowacyjności gospodarki. Nie skryształizował się program zmian strukturalnych w gospodarce narodowej. Nie wiadomo kryje w sobie również otaczanie zewnętrzne gospodarki — sytuacja w handlu zagranicznym, możliwość importu licencji, problem zadłużenia itp. W związku z tym trudno jest sprecyzować jeden scenariusz zmian. Podjąć więc należy próbę zarysowania kilku scenariuszy prawdopodobnego przebiegu zmian w mechanizmie funkcjonowania gospodarki. Przedstawimy trzy scenariusze, choć życie może przynieść wiele przeróżnych kombinacji.

SCENARIUSZ STAGNACJI

czyli dryfowanie systemu. W scenariuszu tym zakłada się, że utrzyma się dotychczasowy system funkcjonowania gospodarki, który ogranicza pole wyboru ekonomicznego przedsiębiorstw, wprowadza żywioł uznaniowości i przetargów do regulowania zasileń finansowych przedsiębiorstw i rodzi tendencje do przywracania hierarchicznej struktury zarządzania. Można spodziewać się, że w takim układzie systemowym nie wystąpią korzystne zmiany w

przywracaniu równowagi rynkowej. Te dwa kluczowe dla wzrostu efektywności czynniki nie będą więc działały na jej korzyść. Procesom tym towarzyszyć może wzmożona interwencja aparatu centralnego pod hasłem poprawy sterowności gospodarki. Interwencjonizm państwa nie rokuje nadziei na powodzenie, gdyż nie panuje ono nad siecią wieloszczebelowych przetargów, które są korzystne dla przedsiębiorstw dysponujących najlepszymi autumami w grze o ulgi, przydziały itp. W rezultacie gospodarce grozi utrwalenie stagnacji w efektywności gospodarowania i poziomie nowoczesności procesów wytwórczych.

SCENARIUSZ ŁADU CENTRALNEGO

W tym przypadku przyjmuje się założenie, że władza centralna podejmuje próbę „uporządkowania” systemu funkcjonowania gospodarki w celu zahamowania niekorzystnych procesów ekonomicznych. Władza żywi przekonanie, że w ten sposób zapobiegnie dryfowaniu systemu i ograniczy dysproporcje gospodarcze. Oznacza to położenie akcentu na wzrost znaczenia decyzji centralnych, które niekoniecznie muszą przybierać postać tradycyjnych nakazów, mogą to być programy operacyjne, zamówienia rządowe, umowy zadaniowe itp. Jednocześnie występuje dążenie do uporządkowania i uniformizacji struktury organizacyjnej według układów branżowych, którymi istnieje ułatwia oddziaływanie administracji centralnej na procesy gospodarcze w skali mikro.

Postulat wprowadzenia ładu centralnego jest wyrazem braku zaufania władzy gospodarczej do skuteczności działania mechanizmów samoregulacji. Konsekwencją tego jest przyjęcie tradycyjnego wzorca mechanizmu ekonomicznego opartego na dominacji inicjatywy odgórnej (mechanizm ładowania).

Oceniając skuteczność rozwiązań zarysowanych w tym scenariuszu trzeba przyznać, że mogą one przyczynić się do uporządkowania niektórych dziedzin gospodarki. Można tego dokonać przez koncentrację wysiłku inwestycyjnego w dziedzinach uznanych za priorytetowe dla gospodarki narodowej. Należy jednak mieć na względzie fakt, że scenariusz ładu centralnego prowadzi do poważnego osłabienia oddolnej inicjatywy przedsiębiorstw, która jest nieodzownym warunkiem skuteczności mechanizmu ekonomicznego gospodarstwa. Krótko mówiąc przyjęcie tego scenariusza oznacza recydywę starego systemu.

SCENARIUSZ KONSEKWENTNYCH ZMIAN

Kierunkowy postulat tego scenariusza stanowi założenie o zintensyfikowaniu procesu reformy, aby przyniosła ona znacznie większe korzyści ekonomiczne, w szczególności zaś stwarzała trwałe przesłanki zmian jakościowo-strukturalnych w gospodarce narodowej. Oznacza to, że wiodącą linią realizowanych zmian systemowych jest konsekwentne rozwijanie elementów samoregulacji w mechanizmie ekonomicznym gospodarki. Z urzeczywistnieniem tych zmian związane są oczekiwania na wyzwolenie tendencji proefektywnościowych i postaw innowacyjnych w przedsiębiorstwach. Konstrukcja tego scenariusza oparta jest na niektórych rozwiązaniach zawartych w „Tezach”.

Rozważany scenariusz zakłada dokonanie zwrotu w obecnym podejściu do problemu reformy systemu funkcjonowania gospodarki. Przyjęcie kierunku na wyzwolenie sił efektywności i innowacyjności wymaga przeprowadzenia następujących zmian:

1. Przebudowy centralnej administracji gospodarczej, czyli dostosowania jej kształtu i sposobu działania do uwarunkowań nowej logiki systemowej. Niezbędna jest likwidacja kompleksów resortowych jako hierarchicznie zbudowanych systemów decyzyjnych. Centrum powinno wyłącznie kształtować procesy gospodarcze dokonujące się w skali makroekonomicz-

Imperium terroru sukcesywnie rozszerza swoje granice, a historia terroru powiększa się o nowe rozdziały. 17 maja 1987 roku, w niedzielę, ponownie pojechałem do Warszawy i znowu spędziłem kilka dni na międzynarodowym lotnisku Okęcie. Powodem był incydent, jaki wydarzył się w piątek, 15 maja, kiedy to w autobusie relacji Staszów — Warszawa zaczął realizować swój przerażający plan osiemnastoletni terrorysta.

Zastanawiam się, czy jest jakiś związek między ostatnią katastrofą lotniczą, a próbą porwania samolotu przez smarkacza. Pozostaje fakt, iż Okęcie ciągle jeszcze drży, a pracownicy Lotu wciąż powracają do dramatu roztrzaskanego IL-62M. Hall pasażerski wygląda normalnie, ale w pokoju załóg, budynku do którego nie zaglądają podróżni, wiszą tu i ówdzie na ścianach klepsydry ze zdjęciami jedenastu członków załogi kapitana Zygmunta Pawlaczka oraz czterech innych pracowników Polskich Linii Lotniczych udających się do Nowego Jorku prywatnie.

Działają cały czas, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, biuro informacyjne dla rodzin ofiar katastrofy. Nie zaprzestano poszukiwań w Lasach Kabackich. W poniedziałek, 18 maja, zaczęła się na Wólcę Węglowej pierwsza oficjalna identyfikacja zwłok z udziałem krewnych. Szefowie LOTu zarządzili, aby ceremonii tej towarzyszyli lekarze i aby nie zabrakło karetek pogotowia i noszy. Obawiano się zemleń, zawałów, nawet zgnoń. Wypada dodać, że ekipy specjalne, oswojone z wszelkimi możliwymi okropnościami podobnie jak grabarz oswojony jest z dołem mogiłym, wykonywały swoją rutynową na pozór pracę zbierania szczątków ludzkich wymiotując i płacząc. Hienę, która chciała ściągnąć złotą bransoletkę z oderwanej ręki, skopano.

Trumny na Wólcę Węglowej są zaplombowane. Rodzinom wolno jedynie oglądać makabryczne fotografie i na tej podstawie ustalić, czy w trumnie opatrzonej takim lub innym numerem, za którym kryje się konkretne nazwisko, spoczywają rzeczywiście fragmenty ciała matki, syna bądź żony. Ktoś poznał grzebielnik, ktoś kurtkę, ktoś torebkę. Zidentyfikowano rzekomo niemal wszystkich pasażerów, lecz jest to w poważnym stopniu postępowanie symboliczne. Ekipa amerykańskich specjalistów, która przybyła z USA, aby rozpoznać obywateli swojego kraju, też nie dokonała cudów. Była to po prostu masakra, a kiedy dotarło wreszcie do kabiny załogi, która została pochowana we wspólnym grobie, była to jedynie maź.

Zatem incydent spowodowany przez osiemnastoletniego ucznia Liceum Ogólnokształcącego w Bodzentynie (Kieleckie), trafił w piątek 15 maja w nastroje pracowników Polskich Linii Lotniczych tak, jak trafiła bomba w bombę. O jedenastej rano, kiedy port funkcjonował spokojnie i planowo, gdzieś tam w rejonach dworca Warszawa Zachodnia zawiązywał się dramat. Ostrzyżony krótko przy skórze osobnik zarzucił śledzącemu przed sobą chłopcu na szyję pęk ładunków wybuchowych i nie wypuszczając z rąk detonatorów zaczął od kierowcy autobusu, Stanisława Millera, aby zawiązał go na Okęcie. Krzykząc. Pościł się. Powtarzał raz po raz, że nie żartuje. Wyglądał przeraźliwie. Oświadczył, że jeśli nie stanie się zadość jego woli, autobus wyleci w powietrze. Jednocześnie zaczął zdradzać ludzkie odruchy, na jakie nie pozwoliłby sobie nigdy prawdziwy terrorysta. Zwalnia na prośbę pasażerów i kierowcy matkę z trzyletnim dzieckiem; po minucie dworca Zachodniego wypuszcza kilka kobiet, parę osób wymyka mu się z autobusu niepostrzeżenie.

Tak czy owak, autobus PKS, nie zwracając na siebie specjalnej uwagi, przejeżdża obok Pomnika Lotników, po czym wygodną szeroką aleją Zwirki i Wigury sunie pośród innych pojazdów w kierunku Międzynarodowego Portu Lotniczego. Podróżni dygocą z przerażenia. Twarz dwudziestoletniego Marka Łosińskiego, na którego piersi zawisły granaty, jest kredowo biała. Terrorysta przywiązał sobie do kłosi końce sznurków detonacyjnych. Na Okęcie wytypował jednego z pasażerów autobusu nakazując mu poinformować władze lotniska o zaistniałej sytuacji i przedstawić im swoje żądania. Były one do prawdy szokujące. Domagał się, aby autobus został niezwłocznie wypuszczony na pas startowy. Domagał się nie jednego, a dwóch samolotów do Monachium, tak jakby miał zamiar rozstawić nogi i lecieć jednocześnie na obydwu pokładach. Domagał się, aby pilotował go konkretny lotnik o konkretnym nazwisku, ten sam, który w 1983 roku lądował z papieżem Janem Pawłem II w Rzymie.

Sztuka często wyprzedza życie. W jednym z odcinków serialu „07 — zgłoś się!” wystąpił gościnnie major Jerzy Dzięwulski, szef brygady antyterrorystycznej. To, czego dokonywał

przed kamerą, było imponujące. Skakał, czeptał się drzwi samolotu, wszedł jakimś cudem na pokład i rozbroił porywacza. Teraz, w południe 15 maja, przyszło mu to zrobić naprawdę. Wywołany przez głosnik, a znajdując się w sali tranzytowej, wysłuchał raportu o stanie rzeczy, wybiegł z budynku dworcowego i wyskoczył bez wahania do stojącego przed wejściem autobusu. Był to z pewnością moment przełomowy. Gdyby próbował rozmawiać z terrorystą przez okno albo przez drzwi, zaalarmowałby jego uwagę i posłał nieufność; działając spontanicznie, z wycuciem psychiki porywacza zakładał, iż chłopak nie pociągnie tak od razu za sznurki. Udało mu się tym, że wcale go nie widzi. Zasuwał, jak to pięknie określa młodzież,

Człowiek, który porwał autobus. Na Okęcie ciągle panuje przynębienie. Rodziny rozpoznają ofiary katastrofy. Jak major Jerzy Dzięwulski obezwładnił terrorystę? Dlaczego nie wolno wywozić spirytusu?

Terror na Okęcie

ANDRZEJ MAKOWIECKI

bajer, dając dowód, że umysł działa mu równie sprawnie jak mięśnie. Bajera polegał na tym, że załamującym się ze zdenerwowania głosem zaczął prosić kierowcę, aby natychmiast pojechał z nim do pewnej leżącej na trasie autobusu miejscowości po zapomniany paszport — w przeciwnym wypadku nie będzie mógł polecieć z rodziną za granicę. Zapłacę za ten kurs, dwadzieścia, a nawet trzydzieści tysięcy — bajerował i robił to tak sugestywnie, że uwierzył mu nie tylko kierowca, ale i terrorysta, zapominając, że na Okęcie są taksówki i że po paszport wygodniej pojechać zwrotną taksówką niż ociężałym autobusem.

Usłyszawszy, że kierowca nie może spełnić jego prośby, major zerknął na terrorystę i wdał się z nim w dialog, z którego wynikało, iż chętnie mu pomoże w pertraktacjach o samolot do Monachium, bo ma w tym swój interes.

Zaczynając się targi z władzami portu. Jednocześnie na lotnisku krajowym formułą ekipę do walki z terroryzmem — kilka psów, strzelec wyborowy, opancerzony oddział funkcjonariuszy. Start wielu samolotów opóźnia się, pasażerowie nie znają przyczyn. Aleja Zwirki i Wigury jest zatłoczona i obstawiona przez milicję. Znajomy pracownik LOTu, który odwiedził przyjaciół na Centralny Dworzec Kolejowy, traci w drodze powrotnej czterdzieści pięć minut. Jego krewni uczestniczą w batalii z terrorystą, który około 13.30 zdradza już pewne oznaki zmęczenia. Zwalnia kobiety, wypuszcza kilku innych zakładników. Rośnie w nim zaufanie do majora Dzięwulskiego. Major gra rolę brata-laty. Proponuje, żeby coś wypić dla uspokojenia nerwów. Autobus jest już w tym czasie na płycie lotniska.

Dyrektor portu, Stanisław Kozieł, przyrzeka terrorystę samolot do Monachium, ale tylko jeden, nie dwa, bo są z tym kłopoty. Prosi, aby terrorysta przekazał za jakimkolwiek pośrednikiem dowody osobiste podróżnych autobusu, bo tylko na tej podstawie będzie można wyrobić im karty przekroczenia granicy. Prosi również, aby szalenie uduśpiony swój dowód albo przynajmniej podał swoje dane.

Terrorysta nie ujawnia ich, godzi się jednak na zebranie dowodów osobistych od zakładników, których liczba topnieje z minuty na minutę. Catering dostarcza ludziom w autobusie lunch boxy z jedzeniem, jakie serwuje się na pokładach samolotów. Jest wódka. Podróżni Piotr Kaczmarek wyciąga z bagażnika autobusu walizkę i stawia trzy czwarte litra rakii. Ludzie posilają się i piją, ale szalenie nie chce się ani pić. Wciąż pochyla się nad swoją ofiarą, zmaltretowanym i półżywym z przerażenia Markiem Łosińskim. Major Dzięwulski zastanawia się półgłosem w mikrofon krótkofalówki, czy granaty na piersi Marka, nie są przypadkiem atrapą. Robi wszystko, aby rozprościć uwagę szaleńca, tak, aby umożliwić akcję kolegom ze swojej brygady. Prosi o proszki od bólu głowy, informuje terrorystę, że babcia Marka chciałaby przynajmniej na chwilę podjechać karetką pogotowia do wnuka, aby przekonać się, czy jest zdrowy i cały. Ubolewa, że nie ma kłamek. Bardzo chciałby mieć kłamek. Kłamek w lotniskowym żargonie to straszna rzecz!

Terrorysta zaczyna niecierpliwie się i fiksować. Trudno mu

skupić na wszystkim uwagę. Przed 18.00, w momencie startu odrzutowca, przebrany w lotniskowy uniform milicjant uprowadza tylnym wyjściem z autobusu czterech podróżnych. Nie ma już także kierowcy. Akt dramatu zawężyła się teraz do trzech tylko osób: obłożonego granatami Marka, zdeterminowanego terrorysty i majora, któremu dostarczono kłamek.

Nikt nie liczył dokładnie czasu. Było to w każdym razie kilkanaście minut po 18.00. Major precyzyjnie wyceLOWał z „kłamek” do szaleńca. Ten odwrócił się, zrozumiał, zasłonił się ciałem ofiary, powiedział: — Musimy razem zginąć, Marku — i pociągnął za detonator.

Już w pięć minut później zakrawiony Marek Łosiński był w szpitalu. Terrorysta i major nie odnieśli w momencie wybuchu obrażeń. Pierwszy dostał się w ręce kolegów Dzięwulskiego. Sprawiedliwie będzie dodać, iż prosił, aby go zabili. Major wyszedł z autobusu, przysiadł na czymś i płakał. Tak przynajmniej powiedział mi jego znajomi. Wierzę znajomym. Wierzę w ogóle, że nie ma ludzi naprawdę twardych. Jest to wiara z odcieniem optymizmu. Ale incydent z Okęcia, który zakończył się tak wspaniale, bez ofiar w ludziach, bez jednego choćby zgnoju, skłania w sumie do ponurych refleksji.

Imperium terroru wzbogaciło się o nowy przyrządek. Osiemnastoletni chłopiec, nie zdając sobie może nawet z tego sprawy, stworzył przerażający precedens, udowodnił bowiem że nie trzeba być wcale na pokładzie samolotu, aby go porwać lub zmienić jego kurs. Wystarczy atakować z ziemi: wsiąść do taksówki, wdrapać się na platformę samochodu ciężarowego...

Sądę, że Artur Ślupski, bo tak brzmi nazwisko szaleńca, planował zamach od dawna i świadomie wybrał moment po wstrząsającej katastrofie lotniczej, która osłabiła psychicznie nard i służbę okęcie. Był smarkaczem i nie dograł zamachu w szczegółach. Zabrakło mu lat, doświadczenia i fantazji. Przyjmując, że za sprawą wielkich agencji prasowych wieść o jego czynie trafiła do najodleglejszych zakątków świata, tylko patrzeć, jak ktoś w Rzymie, Atenach czy Paryżu rozwinie twórcę zamysłu polskiego smarkacza. Na nic psy, komandosi i wyborowi snajperzy, gdyby jakiś desperowany drań, zrobił to samo, co zrobił Artur Ślupski...

Głosnik na Okęcie powtarza co kilkanaście minut:

— Przypominamy podróżnym, że nie wolno wywozić spirytusu. Niedziela, poniedziałek, 18 maja. Wspomnienie aktu terrorystycznego blednie, wciąż żywe jest wspomnienie katastrofy.

W Lasach Kabackich ma powstać pomnik ofiar katastrofy. Siedmiopółtonowe słinki IL-ów pakowane są na pokłady samolotów i lecą do Związku Radzieckiego na testację. Siedmiopółtonowe słinki IL-ów wracają ze Związku Radzieckiego do Warszawy. I na zimne się dmucha. We wtorek, 19 maja zaczęła się o 8.30 odprawa pasażerów do Nowego Jorku. Jakże kurczowo, jakże tragicznie żegnają się rodziny! Jakże niewiele pasażerów! Psychoza trwa. Ludzie przebukowują bilety na inne linie. A mnie się zdaje, że właśnie teraz, w chwilach wzmożonej uwagi i pełnej mobilizacji, można polecieć IL-em najbezpieczniej.

— Przypominamy podróżnym, że nie wolno wywozić spirytusu.

Żyje od kilku dni na Okęcie. Nad moją głową startują i lądują samoloty. Wspaniały, upajający świat odważnych ludzi, o którym napiszę kiedyś książkę. Świat solidarny. Świat okrzykiem teraz najprawdziwszą, nieklamną żałobą.

Do punktu informacyjnego zgłasza się późną nocą pan Sikora z Sosnowca. Mówi, że przyjechał z synem i teściową. Nazajutrz będzie rozpoznawał żonę. LOT załatwia mu hotel. Dyżurny funkcjonariusz proponuje:

— Herbaty? Kawy?

Alkoholu nie ma, ale gdyby pan Sikora go zażądał, dyżurny pobiegłby do Balony. Nigdy nie widziałem tak wstrząśniętego człowieka.

— Przypominamy podróżnym, że nie wolno wywozić spirytusu.

Pytam:

— Czemu nie wolno wywozić spirytusu?

Lena odprawia samolot, w dłoni ma krótkofalówkę. Mówi:

— Kiedyś porywacz stanął nad pasażerami z otwartą butelką spirytusu i z gazową zapalniczką. Strzelił z niej i oświadczył stewardesie, że jeśli samolot nie polec natychmiast tam, gdzie on sobie tego życzy, obieje pasażera spirytusem i podpal.

A więc jeszcze spirytus! Zaprawdę, nieskończone są horyzonty terroru.

„Weź do ręki...”

ze str. 1



Urządzenia szkolnej izby ludowej w ciągu zaledwie czterech miesięcy dla Tadeusza Michalskiego i jego uczniów — w większości dziewcząt — było niewątpliwym sukcesem. Dalo im wiele zadowolenia, wiarę we własne siły i — co chyba najcenniejsze — poczucie niedosytu. Bo choć skończyły się urządzenie izby, to nie ustąpiła przecież zbieracka pasja, nie wygasło zainteresowanie przeszłością, tradycjami i sztuką rodzinną ziemi przedborskiej. Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc przegadywało nadal w izbie eksponatów, które często trzeba było niemalym wysiłkiem naprawiać, konserwować, ratować przed zniszczeniem w ostatniej

dosłownie chwili. Zabytkowe, acz mało efektowne zawlasy od drzwi XIX-wiecznej karczmy we wsi Pohulanka znalezione zostały na przykład w chłopskim... wychodku. Gdyby nie iskra raczona przez Tadeusza Michalskiego, który by się nimi zainteresował? Przypadłoby bezpowrotnie, jak setki innych zabytków kultury materialnej polskiej wsi.

Słowem, „choroba” zamiast ustępować, przybierała jeszcze na sile, a profesor zarażał nią kolejnych uczniów i uczennice. Rosło też owo poczucie niedosytu, gdyż szkolna izba coraz gwałtowniej poczyniała „kpięć” zbiorami. Już nie sposób było pokazywać ich w całości, potem — nawet w połowie, a zamknąć gdzieś w magazynie, skazać na kurz i palący — żal. I tak oto narodziła się idea utworzenia w Przedborzu muzeum.

Nie wszyscy byli jej przychylni, nie wszyscy wierzyli, że da się zrealizować, no bo: kto, gdzie i za co? — pytano. Skąd w małym prowincjonalnym miasteczku wziąć na to pieniądze? Jak znaleźć etnografa, który zgodziłby się tu przyjechać i pracować? I w ogóle, jak to zrobić bez pomocy góry? Tadeusza Michalskiego jednak te pytania wcale nie zniechęcały, ani nie załamwały. Mówił: pieniądze nie są potrzebne, bo prawie wszystko można zrobić społecznie, własnymi siłami, etat dla etnografa — również, a i pomieszczenie odpowiednie w Przedborzu przecież się na pewno znajdzie. I musi! to brzmieć nawet przekonująco, skoro władze administracyjne miasta i gminy potraktowały sprawę poważnie, pomyślały, pomyślały, aż w końcu zdecydowały się oddać na potrzeby muzeum parter świeżo odrestaurowanej XVII-wiecznej kamieniczki w rynku.

Trafili w dziesiątkę, bo ani lepszej lokalizacji, ani lepszego organizatora pierwszego w dziejach Przedborskiego muzeum nie mogłoby chyba znaleźć. Co ciekawsze, początkowo wcale nie myślano o muzeum, a jedynie — o nieco większej niż szkolna izba ludowej. Tak bowiem miała się oficjalnie nazywać ta placówka kulturalna. Tylko Tadeusz Michalski był nieco innego zdania i nie tyle przekonał do niego wszystkich pozostałych, co... postawił ich przed faktem dokonanym. To znaczy na drewnianej tablicy nad wejściem, notabene wykonanej z jego własnych, przyniesionych z domu desek, zamiast napisu „Izba ludowa” zrobił — „Spo-

łeczne muzeum ludowe”. Nazwa może trochę dziwna, to fakt, ale przecież prawdziwa w każdym calu, więc samowolę przyjęto z przymrużeniem oka i tak już pozostało: Społeczne muzeum ludowe w Przedborzu.

Otwarto je dla zwiedzających we wrześniu 1986 roku. Na uroczyste przecięcie wstęgi przybyli licznie zaproszeni goście z przedstawicielami władz wojewódzkich w Piotrkowie Trybunalskim na czele. Była prasa, radio, telewizja. Była radość, że znów się udało — wbrew utartym schematom myślenia i działania, wbrew bezinteresownej zawiści. Bo sukces Tadeusza Michalskiego i jego młodzieży stał się sukcesem całego Przedborska. Bo sukces, to nie tylko zapłata za już, ale również — zaliczka na jeszcze.

Społeczne muzeum ludowe w Przedborzu — evenement w skali kraju — jest rzeczywiście społeczne. Kosztowało grosze, jeśli nie liczyć remontu i adaptacji pomieszczeń, w których pierwotnie chciano widzieć piwiarnię, oraz wielkiego wkładu pracy jednego nauczycielskiego małżeństwa i grupy ich uczniów zrzeszonych w szkolnym kole ZSMP. Nie ma ani jednego etatowego pracownika, mimo że otwarte jest trzy razy w tygodniu: w soboty, niedziele i wtorki, kiedy na przedborskim rynku odbywa się targ, oraz mimo że prowadzone jest zgodnie z wymogami stawianymi każdej prawdziwej muzealnej placówce. Swego czasu Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie proponował Tadeuszowi Michalskiemu stałe wynagrodzenie za dyżury pełnione w muzeum, ale ten odmówił.

— Społecznie to ja mogę otworzyć i pokazać zbiorów nawet jednej osobie, gdy do mnie przyjdzie i to obojętnie kiedy — przyznaje — a za pieniądze na pewno by mi się już nie chciało.

Dyżuruje więc nadal społecznie, w czym aktywnie pomaga mu młodzież, bo przecież oprowadzać wycieczki, prowadzić dokumentację i pilnować ponad dwóch tysięcy cennych eksponatów sam z pewnością nie dałby rady.

Zabiera to, rzecz jasna, dużo czasu. Okazuje się jednak, że nie na tyle dużo, by nie potrafił znaleźć go jeszcze trochę na różne inne, nie mniej ważne — jak mówi — sprawy i tak oprócz normalnej pracy w szkole, pełnienia funkcji społecznego kustosa, jest też Tadeusz Michalski — znowu wspólnie ze swymi uczniami — organizatorem konkursu „Rzeźba Łufowa Polski Środkowej”.

W pierwszym z jego edycji wzięło udział 36 twórców z 8 województw, a na pokonkursowej wystawie pokazano ponad 200 prac, z których część wzbogaciła potem przedborskie muzeum. Dla najlepszych były oczywiście nagrody —

może skromne, ale finansowane przez młodzież i jej opiekuna z własnoręcznie zarobionych pieniędzy na ten cel. Druga edycja konkursu, na który początkowo Ministerstwo Kultury i Sztuki nie chciało wyrazić zgody ze względu na nikłe — jego zdaniem — szanse powodzenia — jeszcze w tym roku.

Z inicjatywy Tadeusza Michalskiego w Przedborzu powstał też młodzieżowy zespół folklorystyczny „Izbioki”, nawiązujący do regionalnych tradycji śpiewu, tańca i gawędziarstwa ludowego. Prowadzona jest systematycznie rejestracja fonograficzna dawnych przysłów i gawęd w oryginalnym wykonaniu pamiętających je jeszcze przedborzan i mieszkańców okolicznych wsi. Zbierane są pieśńolowice stare fotografie, obrazujące przeszłość regionu. Odbywa się cykliczna impreza pod nazwą Spotkania Twórców Ludowych. Pod kierunkiem profesora Michalskiego uczniowie szkoły rolniczej sami przygotowują dla siebie i swych młodziejszych kolegów pomoce naukowe wartości setek tysięcy złotych, uczestniczą w czynach społecznych, itd.

Są ludzie, o których się mówi: człowiek-instytucja. Tadeusz Michalski z Przedborska z pewnością zasługuje na to miano. Jest pedagogiem, wychowawcą, działaczem społecznym i kulturalnym, poetą, etnografem-amatorem, pracuje w PRON, jeździ na spotkania z dziećmi i młodzieżą wiejskich szkół, interesuje się radiestezją, medycyną... Trudno wprost wymienić wszystko to, czym się zajmuje. Niektórzy mówią więc, że on po prostu JEST. I to jedno słowo wystarczy za wszystkie dowody uznania. Tym zaś, którzy pytają ironicznie: Dlaczego?, Tadeusz Michalski odpowiada wierszem:

Zanim pojmięsz teraźniejszość ojczyzny
zanim będziesz narzekał na szczegóły życia
zanim wypowiesz słowa obraźliwe
zdrady

rozważ czy nie ogarnia cie tylko
abstrakcja pustka balamutna
weź do ręki choćby grudek ziemi
znak świętości zapomniany
silny jak macierzanek przywiązany
do swoich płasków
poczujesz jak wernie pachną
ziemia nasza ojczyzna

PAWEŁ TOMASZEWSKI

ca potrzeby środowiska. W 1983 r. doprowadzają do zorganizowania wielkiej imprezy pod nazwą „Łódźstock”.

Zgromadziła ona w jednym miejscu i czasie plejadę wykonawców spośród młodzieży studiującej — reprezentatywnych dla subkultury studenckiej oraz osób wywodzących się z tych kręgów. Był to kawał dobrej roboty — do występów bowiem zaproszono pewną liczbę artystów, którzy po 13 grudnia 1981 r. unikali oficjalnego prezentowania się na estradzie. Aby ich odszukać, organizatorzy zamieniali się niejednokrotnie w myśliwskie ogary. Wszak gwiazdy bojkotujące oficjalny obieg kultury, stały się tym samym nieuchwytnie na skutek częstego zmieniania miejsca pobytu, pozabawione menażerów, którzy mogliby ułatwić spotkania i pertraktacje.

Entuzjasci „Łódźstocku” wiozli w ten niepewny interes dziesiątki tysięcy złotych na przejazdy, kwatery i rozmowy telefoniczne, bez większych nadziei na odzyskanie tych sum. Ale ten wysiłek i użyte środki nie poszły na marne.

Pośród około 30 wykonawców muzyki, piosenki i tekstów kabaretowych nie zabrakło „Kaczkę z Nowej Paczki” z Olsztyna, „B-Compleks” z Wrocławia, Zbigniewa Książka z Krakowa — szefa organizacyjnego występujących, Andrzeja Poniedziałkiego, Ryszarda Krauzego i Grzegorza Rudzińskiego z Łodzi, Przemysława Gintrowskiego — gwiazdy nr 1 pierwszej edycji „Łódźstocku” i Antoniny Krzysztoń.

O stronę techniczną koncertów zadbały specj grupy Akademickiego Centrum Radiowego „Kiks” z „Lumumbowa”. Również ten radiowezel docierający z programami do około 6000 słuchaczy na osiedlu, retransmitował występy. Dla potrzeb wykonawców udostępniono największy klub przy ul. Lumumbi — „Tygrysa” Politechniki Łódzkiej. Zainteresowanie programem było tak duże, że zamiast 400 gości — musieli oni pomieścić i tysiąc osób, co się sprzeciwiało elementarnym przepisom przeciwpożarowym.

Wokół tej ogólnopolskiej imprezy narodziło wiele mówów, co tylko zwiększało jej popularność. Była ona szeroko dostępna, zanizono bowiem ceny biletów — dzięki wydatnej pomocy finansowej m.in. rektora oraz Rady Narodowej ML i Wydziału Kultury i Sztuki UML.

Popularność „Łódźstocku” brała się jednak przede wszystkim z pewnego wydzwieku politycznego, zresztą niezupełnie zamierzającego przez organizatorów i wykonawców. Po mimo tego, że każdy tekst piosenki, żartu i konferansjerki przeszedł przez urząd kontroli widowisk i nie było prowokacyjnych treści, publiczność często doszukiwała się dwuznaczności, aluzji do współczesności i minionej epoki. Takiej interpretacji programów sprzyjał wszechpanujący ton satyryczno-refleksyjny. Często przewijał się również motyw pogrzebania wielkiej szansy.

NICZYM DWIE MAFIE

Życie kulturalne na „Lumumbowie”, opiera się właściwie na dwóch podstawowych ogniwach, jakimi są sieć klubów i „Kiks”. Tradycyjnym szefem klubów był zawsze kierownik z wyboru, pośrednio podległy do 1983 r. Radzie Osiedla i realizujący jej założenia programowe. Formalnie mogła go zmieni Rada Mieszkańców akademika, w jakim działał klub, a której podlegał bezpośrednio. Nie jest tajemnicą, że w związku z tym stosunkiem zależności, kluby bywały miejscem żenujących rozgrywek personalnych o stół Wielkiego Szefa.

Funkcja była prestiżowa: szef miał duży zakres władzy i swobody, począwszy od decydowania o przedłożeniu dyskotek, albo ich wcześniejszym zakończeniu, gdy zbyt wojowniczy element wywoływał tumult na sali — aż po załatwianie wejścia tabunom znających na najbardziej elitarnie imprezy. Sam wiele pracował nad sprawnym funkcjonowaniem podległej mu sali, jeździł, załatwiał, nawiązywał ciekawe i cenne kontakty. Robił to kosztem swego życia osobistego i czasu poświęcanego nauce. Na tym stanowisku nie mógł znaleźć się student słaby. Cze-

sto jednak pojawiali się tzw. wieczni studenci — 7-10 lat związani z uczelnią, ale niekoniecznie dwufakultetowi.

Poza osobistą satysfakcją, szacunkiem otoczenia, niektórzy kierownicy czerpali korzyści materialne — wykorzystując swą funkcję. Dla Rady Mieszkańców był to sygnał, że by natychmiast dokonać zmiany na tym stanowisku, dając szansę następnemu faworytowi. Gdy pewnego razu Komisja Rewizyjna Rady Osiedla, podczas rutynowej kontroli, wykryła nieprawidłowości w prowadzeniu ksiąg rachunkowych, wybuchł skandal i sprawa oparła

ZSMP, który jednak nie posiada tożsamości prawnej. A więc każda impreza działacza musiała tak obgadać ze swymi władzami w „Palacyku”, co wyklucza raczej prężną działalność.

Trudności stwarza wymagania planowania „roku kulturalnego”. Z wyprzedzeniem można mówić tylko o ogólnych ramach programowych, natomiast w planie budżetowym nie sposób sprecyzować terminu i kosztów występu każdej zaproszonej kapeli. Robi się to z małym wyprzedzeniem, ale dochody i wydatki związane z koncertami, zazwyczaj

Nie wszystkich cudzoziemców traktuje się jednakowo. W czasie wakacji kluby zarabiają miliony ze sprzedaży dyskotek Ochotniczym Hufcom Pracy z zaprzyjaźnionego kraju, które kwaterują w akademikach. Ta liczna rzesza gości to w większości białogłowy w wieku 15-30 lat. Wśród łódzian utarło się, że słyną one z łatwości nawiązywania kontaktów, niekoniecznie na stopie koleżeńskej. Mit jest tak rozpowszechniony, że obecność ponętnych cudzoziemców zwała isne tabuny jurnych łódzian. Na parkietach szpilka przy szpilce, buźka przy buźce,

Zniknięcie niepożądanych audycji przywróciło spokój, zwłaszcza że „kiksowcy” sami zwrócili uwagę na działalność orkiestry Ochotniczego Hufcom Pracy z zaprzyjaźnionego kraju. Wszystkich jednak nie zadowolili.

Państwem w państwie pozostała jedynie audycja katolicka, zresztą zupełnie w zgodzie z założeniami centrum radiowego — redagowana jest bowiem przez jego współpracowników, a nie przez duszpasterstwo akademickie. Jest to zresztą jedyna tego rodzaju audycja, emitowana przez świeckie studenckie ośrodki radiowe. Cierpi, jak inne progra-

wersytetu, adresowane do nieopierzonych żaków. ZSP gospodarzy w „Balbinie” i nowotkim, wielkim „Olimpie”, zapowiada działania przywracające świetlicową funkcję klubów — żeby nie były tylko miejscem dyskotek i koncertów, ale aby mieszkańcy mogli w nich robić to, na co mają ochotę w danej chwili. Udało się to na krótko w latach 1983-1985, ale „Balbina” nie ma już dawnego kierownika. Wymieniono tu też Radę Klubu.

Zadanie to ambitne, ale po rozparcelowaniu dziedzin możliwe do zrealizowania w dwóch raptem salach, bo toć to przecież „Sigmę” przejął AZS, „Pretora” — ZSMP, a tamci przecież mają własne projekty. Tymczasem w wielu pokojach zamiera życie społeczne. Coraz częściej można spotkać zamknięte drzwi, choć dobiega zza nich śpiew, hulanki, swawole... Melinierze mają krociowe obroty, a wiadomo AIDS jeszcze nie zawisło nad „chatkami-kopułkami”.

Jeszcze nie tak dawno kwitły „słodowcy” — imprezy z udziałem mieszkańców całej kondygnacji: rozegrane, rozspiewane, rozdyktowane przy kartonie piwa, a nie przy „bełtach” i „Balticu” jak teraz. Dziś samotny gitarzysta przycupnięty na schodach i grający dziewczynie, miast zainteresowania, ściga na siebie gniew sąsiadów, którzy chcą mieć spokój.

Aby odciągnąć ludzi od picia, należy im stwarzać tyle propozycji, żeby mieli na co dzień w czym przebieierać. Konkurencja przecież czuwa! Co prawda „Kiks” zaczyna program późnym wieczorem, ale kina, teatry, filharmonia, „Es-trada” i inne profesjonalne placówki kuszą, szczególnie studentów I i II roku, których opanowuje istny amok konsumowania dóbr duchowych, jako że w miejscach zamieszkania nie mieli możliwości ogrzania się w takim kulturalnym „rozpasaniu”. To właśnie o „rząd dusz” nad nimi starają się kluby na osiedlu.

W tym roku akademickim „Balbina” obchodziła 15 urodziny. Mecenasy uczył się okazję kabaretonem „Olimp”, działający dopiero od października, ale z dużą salą, sceną, nowoczesną aparaturą, już zapisał się chlubnie dwiema edycjami „Wysypiska” — przeglądów prądów muzycznych. W kwietniu 1987 r. gościło w nim 12 kapeł młodzieżowych i „studenckich” na 3-dniowym maratonie „Wysypiska”. Z ważniejszych wydarzeń warto odnotować jeszcze pokazy filmowe w „Pretorze”, ale to już doprawdy wszystko.

Mimo tego, że kluby należą do różnych organizacji Jalekie są na razie od wspólnej organizowania imprez poza zwyczajowymi juvenaliami, to w każdym z nich niemal biega piszczy; nie ma pieniędzy na nowy sprzęt i na większe widowiska, a to grozi utratą — z takim trudem pozyskanej klienteli.

Ustawa z 1983 r. nie sprecyzowała reguł gry dotyczących polityki podatkowej. Z tej przyczyny „Pretor” zawiesił działalność finansową na polecenie rektora, a kwestory uczelniani pielgrzymują w tej sprawie do ministerstwa. Kamieniem niezgody jest wysoki podatek za rozpowszechnianie dzieł, uszczuplający i tak niewielkie środki przekazywane z budżetu Uniwersytetu do kas organizacji. Na domiar złego „doly” zetesponskie są nieza-dowlone ze sposobu podziału pieniędzy przez Radę Osiedlową ZSP.

Jeden rok doświadczeń związanych z konsekwencjami nowej ustawy nie pozwala jeszcze formułować wniosków i ocen, ale obserwowane symptomy świadczą, że kultura na „Lumumbowie” zapadła na przewlekłą chorobę, nie rokującą nadziei na szybkie wyleczenie bez zdecydowanych posunięć uzdrawiających.

Jak studenci uczą się samodzielności i co z tego może wynikać?

się o kwesturę Uniwersytetu. Kierownikowi w uznaniu dotychczasowych zasług, nie robiono „smrodów” — jak to barwnie określają jego kole-dzy — ale musiał sam poprosić o skreślenie z listy studentów. Takie to były nieuniknione negatywy scentralizowanej władzy.

Ustawa z 1983 r. nie wyeliminowała w dostatecznym stopniu nieuczciwych praktyk. W dalszym ciągu istnieje pokusa nadużyć finansowych i przyjmowania łapówek. Również i dziś część bramkarzy, strzegących porządku na dyskotekach, jest skorumpowanych, choć legalnie mogą zarobić do 10 tys.

diametralnie różnią się od zakładanych. Potem szefom organizacji wóś się jeży, gdy oglądają rachunki, które muszą podpisać.

Organizacja nie jest dojmą krową. Nie da tyle, co jeszcze przed 2 laty potrafiły ofiarować Wydział Kultury UML i Rada Narodowa ML, nie mówiąc o Urzędzie Dzielnicowym. Kiedyś rektor dawał — okragłą kwotę Radzie Osiedla z przeznaczeniem na kulturę. Dziś te pieniądze dzielą pomiędzy organizacje społeczno-polityczne, a więc zgodnie z duchem ustawy musi je rozproszyć.

Wracając do meandrów hierarchii — trzeba koniecznie u-

kierownicy klną, że ściany nie mają właściwości gumy.

Dwaj ubiegłoroczni potentaci dyskotekowi: „Pretor” i „Balbina”, pod zarządem Zrzeszenia Studentów Polskich, nie czym dwie rodziny mafijne, doszli do dżentelmeńskiego porozumienia co do określenia strefy wpływów. W lipcu jeden klub bierze wszystkie grupy OHP do siebie, a nadwyżki dopiero kieruje do konkurencji. W sierpniu rolę odwracają się. Gdyby nie ten układ, wpływy rozkładalyby się niepo-sprawiedliwie, a parciot od niedziadku do czwartku nie byłby w pełni wykorzystany. Tylko jedno ogniwo życia

my gościnne, na niedoskonałość formy.

Obniżenie lotów dotknęło jednak cały zespół redakcyjny, pomimo ostrej selekcji nowych — ważne zebranie decyduje o przyznaniu im statusu dziennikarzy, a każdy musi być zarekomendowany przez kierownika programowego bądź szefa redakcji. Jeszcze 2-3 lata temu „Kiks” wygrywał ogólnopolskie konkursy rozgłosni akademickich. Początkujący redaktorzy nie chcą uczyć się montażu, selekcji materiałów, nie potrafią wyszukiwać bulwersujących tematów. Bez takich umiejętności nie mają szans na współpracę z Polskim



Foto: Grzegorz Galasiński

zł miesięcznie. Nowi właściciele klubów nie wypracowali jeszcze systemu prowizyjnego dla kierowników i ich najbardziej aktywnych zastępców oraz szefów sekcji, co mogłoby ukrocić dotychczasowe mactwa.

Od maja 1986 r., tj. od momentu formalnej zmiany statusu klubów — program ich działalności został oczywiście uzależniony od linii ideowej danej organizacji społeczno-politycznej. Dawniej szef zbierał pochwały za każde osiągnięcie — teraz śmiałankę spija mecenas, ten, który dokłada krocie do interesu.

Członkowie poprzedniej Rady Osiedla nie zgłosili akcesu do kandydowania w nowych wyborach — należy się domyślać, że na znak protestu przeciwko anonimowości ich dalszych poczyną. Część z nich działa jeszcze indywidualnie, wykorzystując swe doświadczenie i kontakty z minionego okresu, ale z rzeczywiście ich trud rzadko bywa dostrzegany.

W nowym układzie kierowania poszczególnymi salami, nastąpiło żenujące w skutkach pomnożenie podmiotów zarządzających. Warto to prześledzić na przykładzie „Pretora”. Od niedawna — nabytku ZSMP, organizacji skupiającej w Uniwersytecie Łódzkim 87 członków, czyli o popularności niemal równej ZMW, który był jego konkurentem w staraniach o tę salę.

WALKA O WPŁYW I DUSZE

Na szczycie hierarchii stoi Zarząd Łódzki ZSMP upoważniony do dysponowania majątkiem „Pretora” i zawierania umów z występującymi w nim artystami. W praktyce zarządzania jest to oczywiście zbyt wysoki szczebel. W celu sprawniejszego pokierowania sprawami klubu, dyspozycje wychodzą z Zarządu Uczelnianego

zapełnić rejestr o Radę Klubu, która też ma sporo do powiedzenia, bo planuje i zatwierdza kwartalne programy. Gdy tylko ZSMP został szczęśliwym posiadaczem klubu, mógł „rozbujać” działalność, prowadzoną do tej pory w różnych wynajmowanych salach — rozgorzał spór o podział 6 mandatów w tejże radzie. Organizacja chciała 4 miejsca dla zetesponsów, ale to było zwyczajnie przeginanie pały, bo w całym akademiku mieszka w sumie... 7 jej członków. Stanęło na kompromisie — po połowie głosów.

Rada rada, ale „Pretor” ma jeszcze swój zarząd, którego członkowie, a więc działacze Zarządu Uczelnianego ZSMP, kierownicy, zastępcy, szefowie sekcji, bramkarze, prezenterzy, byli kierownicy i przewodniczący Rady Mieszkańców (też w stanie spoczynku) — są zatwierdzani zgodnie z literą statutu przez Radę Klubu. A statut nie byłby wart funta klaków, jeśli nie zatwierdził go rektor. Policzmy więc, ile władz ma jeden „Pretor”. Palców jednej ręki nie stanie...

Skoró była podnoszona kwestia finansowania działalności klubów, to trzeba wyjaśnić, że nie są tak całkiem na garnuszku organizacji. Zarabają na siebie dyskotekami. Wprawdzie od pewnego czasu na „Lumumbowie” nie sprzedaje się biletów na dyskoteki cudzoziemcom, co sugerowałoby spadek dochodów, ale tak nie jest.

Skąd taka dyskryminacja? Otóż krewcy Arabowie zapominali, że nasze kultury różnią się diametralnie, bili po twarzy dziewczyny odmawiające im tańca, a ponieważ kłody poszkodowanych nie mogli na to pozwolić, więc par-kiet był miejscem potyczek, których usmierzeniem musiała zajmować się milicja. Ponieważ z jej raportów wynikało niezbitcie, z cyfry inspiracji wybuchają awantury, więc zarządzenie wewnątrzuczelniarne położyło kres ekscesom.

kulturalnego „Lumumbowa” pozostało bez większych zmian strukturalnych. Jeszcze długo przed wejściem w życie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, szereg najprzeróżniejszych grup nacisku usiłowało wypertaktować własne programy na antenie. W praktyce groziło to powstaniem państwa w państwie, a więc rozbićciem określonej linii ideowej Akademickiego Centrum Radiowego, dopuszczając różnorodność poglądów, ale tylko tych, wyrażanych przez 30-osobowy zespół redakcyjny. Dobrą tradycją „Kiksa”, jest przestrzeganie zasady, aby nikt z dziennikarzy nie był „tubą propagandową” żadnej organizacji, grupy, zrzeszenia, poza jednym wyjątkiem.

Jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych było emitowanych kilka audycji gościnnych. Ci, którzy zdobyli dostęp do studia poszli „na żywioł”, chcąc wykorzystać sytuację nie dla urozmaicenia propozycji radiowców-rutyniarzy, ale dla zdobywania sympatyków. Swoją 20-minutowy program — raz na kilka tygodni — miało na przykład paxowskie koło młodych, propagujące myśli swego ruchu. Aby zachęcić słuchaczy do ich poznania, wzbogacało czas antenowy publicystyką historyczną dotyczącą lat międzywojnia i funkcjonowania państwa podziemnego oraz typowymi materiałami kulturalnymi.

Audycje gościnne umarły śmiercią naturalną, pomimo prób reanimowania ich przez organizację. Brakowało do-brych lektorów, materiałów na odpowiednim poziomie merytorycznym. Subiektywizm jawnie sprzeciwiał się linii ideowej „kiksowców”. Lata 1983-1985 to okres największej popularności radiowców. Redaktorzy nie mogli sobie pozwolić na obniżenie lotów. Zresztą fakt, że tylko nieliczne grupy miały dostęp do studia, wywoływał animozje w środowisku, prowadzące do jego rozbijania.

Radiem, co kiedyś należało do codzienności.

Aby jednak zachować obiektywizm, trzeba przyznać, że wśród standardowych propozycji codziennie od godziny 21 do 24 i dwa razy w tygodniu w programie nocnym, trwającym do 3.00-3.30, najciekawiej przedstawiają się bloki programowe z kontaktem telefonicznym, poświęcone wybranemu tematowi, takiemu jak zdrowie psychiczne czy życie seksualne. Są to materiały przygotowane perfekcyjnie, dopracowane, bo na realizację autorzy mają... miesiąc.

„Kiks” jest komórką organizacyjną Uniwersytetu. Uczelnia utrzymuje kilku jego współpracowników na półetat. O kształcie audycji decyduje Rada Programowa, złożona z przedstawicieli organizacji społeczno-politycznych. Całość podlega rektorowi.

Po serii audycji popularyzujących nową ustawę o szkolnictwie wyższym z 1985 roku, rektor dopatrzył się niewłaściwej interpretacji tego aktu prawnego. Za pośrednictwem rady wyraził życzenie każdorazowego przesłuchiwania taśm z publicystyką przed ich publiczną prezentacją. Studenci zbojkotowali tę decyzję. Usłuchali jednak ostrzeżenia — do tej pory udostępnili raptem... dwie taśmy, zresztą z niekompletnymi nagraniami. Inna rzecz, że program nie wzbudza obecnie większych zastrzeżeń.

NA SCHODACH I W POKOJU

W nowych warunkach życie kulturalne „Lumumbowa” toczy się starymi torami. Nie ma „Łódźstocku”, integrującego całą społeczność osiedla, ale lukę wypełniają dwie inne skromniejsze imprezy o powszechnym charakterze — juvenalia i dni adaptacyjne Uni-

WŁODZIMIERZ KUPIŚ



NAJLEPSZE W „MAGDZIE” I W KRAJU
Zakończył się ogólnopolski konkurs na najlepsze stoisko spożywcze — oceniane było zarówno zaopatrzenie, jak i ekspozycja towaru oraz kultura obsługi. Pierwsze miejsce zajęło w nim stoisko warzywno-owocowe w sklepie „Magda” przy zbiegu ulic Piórkowskiej i Jaracza. Oprócz wszystkich warzyw i ich przetworów w ciągłej sprzedaży znajdują się tu jabłka z Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, przechowywane w kontrolowanej atmosferze.

GURACE, RUMIANE KURCZAKI
Z różną od kilku dni kupować można w 10 większych sklepach spożywczych dzielnicy Bałuty, m. in. przy ulicy Rydzowej 2. Takie wzbogacenie asortymentu zostało z dużym zadowoleniem przyjęte przez klientów. Kilogram kurczaka z różną kosztuje około 750 zł (mogą być różnice cen w poszczególnych placówkach do 20 zł, w zależności od dostawy kurczaka) — a więc znacznie taniej niż w stoiskach gastronomicznych barów szybkiej obsługi. PSS „Społem” w przyszłości ma zamiar rozszerzyć sieć placówek, handlujących pieczonymi kurczakami — na razie jednak na przeszkodzie stoi brak różn.

TYŁKO TRZY DNI „DANY”
W „Centralu” po raz kolejny organizowane są dni producenta. Tym razem będzie to szczecińska „Dana” — zakład znany wszystkim paniom od lat 15 do wieku mocno dojrzalego. Wśród sukienek, spódnic i innych damskich ciuchów znajdują się modele produkowane na eksport do krajów zachodnich. Sprzedaż odbywać się będzie na 1 pętrze „Centralu”. Dni „Dany” trwać będą od najbliższego czwartku do soboty — w tym czasie przez cały czas otwarcia placówki utrzymana będzie ciągłość sprzedaży, mimo iż, jak przewidują handlowcy, po towar ustawiać się będą bardzo długie kolejki.

KOLEJNY KRZYKSZ SZAMPONOWY?
Od kilku tygodni w sklepach z kosmetykami jest coraz mniejszy wybór szamponów, w niektórych placówkach zdarzają się już nawet przerwy w sprzedaży. O możliwości poprawy sytuacji zapytaliśmy przedstawiciela łódzkiej „Polleny-Ewy”, jednego z największych w kraju producentów szamponów. Jak się jednak okazało — pytać trzeba gdzieś indziej. Zakład dysponuje mocami umożliwiającymi zwiększenie produkcji — brakuje natomiast surowców. Szampony wymagają komponentów z importu — a więc i dewiza na ich zakup. Czy będą i w jakiej ilości — na to pytanie może odpowiedzieć pełnomocnik do spraw zamówień rządowych. W podobnej sytuacji jak „Pollena-Ewa” znajdują się inni producenci. Szampon nie jest byle czym, ale artykułem najpotrzebniejszym, ale powtarzającą się od 7 lat sytuacja, gdy na zmianę albo całkowicie go brakuje, albo też handlowcy zrywają umowy, bowiem magazyny i sklepy pękają w szwach od ilościowego i asortymentowego nadmiaru jest wysoce irytująca, zapewne nie tylko dla klientów, ale także dla handlu i przemysłu. Teraz — wydaje się — wychodzimy w kolejny okres co najmniej kilkumiesięcznego ziego zaopatrzenia. Dla tych, którym skończyła się zgromadzona w domu zapasy i nie zdążają ich uzupełnić, rada jak myć głowę bez szamponu: przy włosach tłustych używamy rozgotowanego na gęstą papkę szarego mydła i spłukujemy głowę wodą zakwaszoną octem, sokiem z cytryny lub kwaskiem cytrynowym, przy włosach suchych do mycia używamy emulsji przygotowanej z dwóch żółtek, łyżeczki soku cytrynowego i łyżeczki czystej wody.

DOPIERO W POŁOWIE LIPCA
będą mogły odebrać letnią sukienkę panie, które teraz zamówiły wykonanie usługi w jednym z punktów krawieckich Spółdzielni Odzieżowej im. Małgorzaty Fornalskiej. Klientek o nadmiernej tuszy bądź innych nieprawidłowościach budowy, uniemożliwiających kupno gotowej konfekcji jest bardzo dużo — a większość z nich dopiero teraz przypomni sobie o nadchodzącym sezonie (zimna terminy były zdecydowanie krótsze). Na zwiększenie sieci punktów usługowych nie ma co liczyć — są one bowiem, mimo wzrostu cen o około 20 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym — bardzo deficytowe. Obecnie uszycie sukni sportowo-fantazyjnej z długim rękawem kosztuje 2.600 zł, spódnicy 1080 zł, bluzki 1420 zł. Nie są to ceny niskie w porównaniu z gotową konfekcją — ale zdecydowanie korzystniejsze od sum, jakich za szycie żądają prywatne krawcowe.

POLECAM: — pizzę z pieczarkami produkcji Chłodni w Grudziądzu. Cena 99 zł, do nabycia w sklepach prowadzących sprzedaż mrożonek. Smaczna, łatwa do przyrządzenia, można ją dość długo przechowywać w lodówce na wypadek niespodziewanych gości.

— Galaretkę owocową domową — cena słoika 98 zł, dostępna we wszystkich prawie sklepach spożywczych. Nadaje się do deserów surowych i pieczonych, a także do herbaty zamiast cytryny. Zawiera wyłącznie składniki naturalne i w smaku nie różni się od niesłychanie pracochłonnej galaretki przygotowanej w domu.

W mieście łopotą na masztach białe flagi z zielonym liściem i białymi koronami, niżej zaś powiewały flagi, na których złociły się trzy korony na błękitnym tle w złotej obwódce. Od Starego Miasta po pabianicki „Central” z megalonów na słupach grzmiała muzyka, od której trzęsły się mury starych fabryk, a panowie Ender i Krusche przewracali się w grobie porażeni straszną myślą, że to jakiś nowy strajk połączony z festynem. Nie mogli przewidzieć, że u progu drugiego etapu reformy klasa robotnicza będzie świętować.

16 maja 1987 r. drugi dzień Dni Pabianic '87, wiązał się ściśle z obchodami trzydziestolecia lokalnego tygodnika pod hasłem krzyżującym z planszą: „Życia Pabianic” już 30 lat z Tobą i Twoją rodziną!

Kiedy rozpoczęła się „Zakiniada” i ulice opanały grupy przebiegających w strojach od epoki kmielci ze „Starej Baśni” począwszy, na kosmitach skończywszy, gdy na stadionie „Włókniarz” wokół bieżni stanęły głosniki, a przed stadionem żaglówka z masztami zdobnym w barwne bandery, Zbigniew Poleski, twórca i pierwszy redaktor naczelny „Życia Pabianic”, przedierał oczy ze zdumienia. Gdy w 1957 roku za pomocą łódzkiego kolejarza, który udało mu się wydebić zezwolenie na druk gazety, a następnie wydrukować na kredyt w Pabianickich Zakładach Graficznych 5 tys. egzemplarzy, które 18

30 lat „Życia Pabianic”. Półkarki nie p rzyjechały. Wielki mecz medyków. Weterani „Życia Pabianic” wspominali. Nie pomogła tajna broń. Z nieba spadły trojczki.

Desant

RYSZARD BINKOWSKI

czwernia 1957 r. ukazywał się w kioskach, Poleskiemu ani się śniło, że po trzydziestu latach gazeta będzie się ukazywać w nakładzie 12 tys. egzemplarzy, i to bez zwrotów, i zasłużył sobie na kosztowną fetę, jakiej jeszcze nie było.

Od rana główni organizatorzy — MRKS „Włókniarz” i ZM TKKF — robili, co mogli, aby feta była udana. Ustawili planszę z hasłem „Sport = Zdrowie”, szlifowali złote deski estrady, stawiali wielkie wojskowe namioty, w których mieli się przebiegać artyści, jeździli „Melexem” i zakładali siatki na bramkach, do których „Włókniarz” wkopał niedawno wielokierowni tabeli drugiej ligi, Stall ze Stalowej Woli, a pięć goli za trzy duże punkty.

Ale Stanisław Czekalski, weteran „ŻP” — 25 lat z długopisem i kamerą jako piszący fotoreporter, aktualnie zastępca sekretarza redakcji — nie był zadowolony. Patrzył w zaspane chmurami niebo i przepowiadał, że nie będzie wesoło. Rypnęła się sprawa z pierwszoligowymi piłkarkami łódzkiego Kolejarza, które miały zagrać po połowcu meczu z chłopami, tzn. z lekarzami i ciałem pedagogicznym Pabianic. Mimo potwierdzenia — nie przyjechały. A były już przygotowane specjalne akcesoria na to historyczne widowisko sportowe.

Andrzej Szalwiński, sympatyczny blondas o pogodnych oczach i usposobieniu zrywuś, pełniący funkcje jednoosobowego kierownictwa artystycznego MRKS, mimo chmur nad głową nie stracił pogody ducha. Pulał chmur 1500 m, przeląc więc z Aeroklubu Ziemi Piórkowskiej, będą akrobacjami, naloży i desant. A piłkarze sami się zorganizują.

Półki co za bramką pod zegarem TKKF organizuje zawody na orientację. Zakładają ci worek na głowę, wręczają coś w rodzaju dzidy, obracają jak do ciuciubabki i każą trafić w tarczę. Przy okazji możesz trafić w prezydenta Pabianic, ale na szczęście nie ma go w pobliżu tarczy, ponieważ obserwuje rajd o ufundowany przez siebie puchar. Czekalski też pogodnie i mówi, że w dziennikarstwie zaczynał jako harcerz. Przyszedł do redakcji w mundurku, chcieli więc wyrzucić dzieciaka za drzwi, bo Czekalski do dryblasów się nie zalicza

A takiego weterana, jak Jerzy Kałużka, to chcieli wyrzucić z ogólniaka u Śniadeckiego, bo napisał w gazecie, że w szkole milczą głosniki i ZMP prowadziło w tej sprawie śledztwo. Dziś Kałużka ma bardziej znane nazwisko niż wszyscy jego profesorowie, któż bowiem nie kocha sygnaliny przezeń krzyżówek? A znowu inna weteranka „ŻP”, pani Ada Jaskulska, królowała ongiś w „Stylowej”, gdzie dzięki wsparciu przystojnych wywiadowców rozgrzała pabianicki element złodziejsko-cinkielarski, aby go potem zdemaskować i zawstydić na łamach prasy.

No, ale na boisko wychodzą piłkarze. Lekarze są na granatowo, zawodnicy ZM TKKF na zielono. Chmurzy się coraz bardziej, zalewając przy mikrofonie Andrzej Szalwiński zastanawia się, kto przedzie zsinieje, a kto zzielenieje. Lekarzem przewodzi dyr. Klimek, a zielonym sam prezes w żółtym swetrze, zajmujący pozycję w bramce. Medycy straszą TKKF termometrami i rozkładają na estradzie stopy białych fartuchów, ale TKKF przyjmuje wyzwanie, ponieważ ma tajną broń. Prezes zapewnia, że ta przygotowana dla piłkarskiej deski, na której medycy wymalowali lekarza badającego serce pięknej futbolistki, jeszcze się przyda.

Sędzia jest na czarno. Ma gwizdek i wielką tablicę ostrzegawczą z dyktym. Z jednej strony jest kartka żółta z napisem „buziak”, z drugiej

żółta czerwona z napisem „łódzko”. Gra toczy się przy muzyce, prezes tańczy w bramce nieczym baletnicą, ale w strasie środkowej boiska coś jakby ospale, więc pan Andrzej zachęca.
— Trzymaj piłkę, pociągaj! Setkę w lewo, dwie setki w prawo! Skulajmy się po kościach, stetoskopem po plecach! Tak jest, w poniedziałek wystawicie zwolnienia!

No i wkrótce jest 1:1. A Czekalski wspomina, nie wypuszczając z rąk aparatu, swoje poważne przemyślenia. Podczas wizyty marszałka Mariana Spychalskiego robił zdjęcia i relacjonował koleżkę przez drzwi przebieg uroczystości, dzięki czemu materiał ukazał się już nazajutrz w „ŻP”. Innym razem, żeby zająć na czas, pan Stasio wpakował się do samochodu wicepremiera Zenona Nowaka, ostatnio zaś przytrzymując się rękawa prezydenta Łodzi i zagadując go fachowo, wdął się na teren budowy Centrum Matki Polki w czasie, gdy dziennikarzy jeszcze tam nie wpuszczano. Wspomina ze łzą w oku najstarszego stażem redaktora naczelnego, Wiesława Wrzesińskiego, i wieloletniego redaktora „Życia”, Zbyszka Wesolowskiego.

A tymczasem zaczyna mżyć, lecz nie to, bo Pabianice zalewa już desant śmiechu, radości i wesołej zabawy. Jakis kibic chwytając za ogon czarnego kundla i wyrzuca za ogrodzenie, bo mu się dobierał do pięknej bassetki, natomiast TKKF ujawnia swą tajną broń, wystawiając na desancie panie Dorotę i Henię. Być może dojdzie do wymiany koszułek na blustonosze i termometry.

Gra robi się bardziej kontaktowa. Szalwiński dopinguje:

— Pani Heniu, piersią do bramki! Faul i buziaka! Medycy do reanimacji! Przytul się panowie, pressing, może one wam popuszczą! No jak, kto, do cholery, pokryje te zalejące kobiety?!

Eskulapi fauluja Dorotę, znoszą ją z boiska, kładą na estradzie, jeden reanimuje metodą usta, po czym wnoszą uratowaną na murawę.

— No, i już po remoncie, pani Doroto! — krzyczy na duchu Szalwiński.

W 18 minucie mecz został przerwany, ponie-

waż na niebie pojawił się lecący z Piórkowa samolot typu AN. Desant był niebezpieczny i nie wiadomo kogo miał wprzędzić: lekarzy czy zas-pół TKKF? Najpierw wyskoczyło dwóch. Jednego wiatr spychał znad stadionu, ktoś wprzędzał, że wyłaził na cmentarz, ale dzięki sprawnym manewrom trafił niemal na środek boiska. Potem ludzie zobaczyli na niebie trojczki. Była to tak zwana trzysobowa kanapa. Skoczkowie lecieli jeden nad drugim, połączeni stopami i czaszą spadochronu kolegi. Nad ziemią rozłączyli się i jeden przekozłokował w okolicach rowu z wodą na trasie biegu z przeszkodami.

Zanim spadochroniarze się pozbiierali, rozpoczęły się ze wszystkich stron groźne naloży Zł-nów, potem zaś pelle, beczki w pionie, korkociagi i inne. Zegnani brawami piloci odlecieli do Piórkowa i rozpoczęła się druga połowa meczu. Bramkarz medyków był strasznie poważny i nie dawał strzelić gola ani mężczyznom, ani pani Dorocie, ale z Henią był chyba w zmoście, bo pozwolił jej wkopać kilka goli. Przybywało lekarzy na boisko, w sukurs przyszedł mały czarny bez kostiumu, czyli wyrzucony za ogon kundel, którego trzeba było reanimować, i sytuacja stawała się w deszczu dramatyczna. Lekarze uciekali się do swej tajnej broni, zakładając fartuchy i ukrywając numery, dyrektor Klimek faulował i całował kobiety, ale medycyna wyraźnie opadła z siły i sędzia co rusz pokazywał czerwona kartkę z napisem „łódzko”, a pan Andrzej dogadywał:

— I co, panowie medycy, w salach operacyjnych ciepło, nie? Fauluj, bo chcę do łódzka, ciwaniacy! Przydałoby się położna w bramce, miałaby do odebrania sporo piłek, no nie?

Redaktor Henryk Górski z „ŻP”, specjalista od futbolu, wypatrywał pilnie bramek, ale i on nie mógł się ich doliczyć, bo sędzia bez przerwy zmieniał decyzje. Naciągawszy kaptur na głowę Górski wrzeszczał na sędziego, żeby zakończył mecz, na co sędzia odwracał się, że potrzebny mu jeszcze jeden gol. I jak było 6:6, zarządził rzuty karne. Padło ponad dwadzieścia goli, bramkarze czuli się jak Kazimierski po голу w Grecji, ale wszystko zakończyło się pobytnym remisem.

Pada deszcz, red. Czekalski suszy aparat i wspomina, jak to w zeszłym roku dzięki pogodzie i samolotom na stadionie zlażyły się tysiące ludzi, a dziś trzeba przenieść imprezę do hali koszykówek, która mieści 400-500 osób. Pan Stasio ma od tej całej organizacji aż „potąd”, więcej niż Pokora z kabaretu, byłby wdzięczny, gdyby ktoś go wreszcie zastąpił. Słucha deszczu, płynącego z głośników muzyki w stylu belcanto, przypomina sobie włoską muzykę z autokaru, gdy oglądał z okna pełzające Bulgari, i ogarnia go nagła tęsknota za latem i słońcem.

A na zalanej wodą estradzie staje milicjant w cywilu i prezentuje trzech przewodników w mundurach ze służbowymi psami tropiącymi. Dwa są z Łodzi, trzecim zaś, bardziej kudłatym i czarnym, opiekuje się kapral Sienkiewicz z Pabianic. To jest nasz miłośnik, mówi cywil, więc należą mu się oklaski. A później, gdy któryś z psów się leniwi, cywil nazywa go pieszczołtliwie skubańcem i bieża łagodnie przewodnika. Musztra zalamuje się, ponieważ milicjant psy atakuje znany nam czarny kundel, ale chłopcy chwytają go i służbowe czworonogi mogą już prawidłowo reagować na sygnały optyczne swych panów, czołgając się i pokonując z wdzikiem przeszkodę.

Następnie kapral Sienkiewicz kryje się w namiocie, żeby pies do ona nie przemógł, pozostali też znikają, pozorant kładzie ślad, klucząc za bramką i chowając się za planszą po drugiej stronie boiska. Pies na linie łapie trop, dopada pozoranta i goní go jak zająca. Pozorant strzela do psa, ale nie trafia, przewodnik rewiduje oprycha, ten go uderza i ucieka, ale pies chwytą go za portki i sa oklaski.

Potem dzieci grają rolę przestępców. Przewodnik bierze od nich w szczyptę po bucie, rzuca pod estradę, pies je obwąchuje, po czym wyciąga z tłumu pojedynczych przestępców.

A w centrum miasta megafony zgłaszają ulawę. Handel wyszedł na ulicę, ale deszcz wypędził handlowców ze stoisk, więc cofnęli się do sklepików i sprzedawali, co mieli, z otwartych okien. MPK przytoczyło się do świateł i tramwaje kursowały mniej więcej co pół godziny.

Przy „Centralu” sprzedawano obuwie, tkaniny, pończochy, hot dogi i pepsi colę. Stoiska z przeciwka stały puste, a stercząca na końcu przymierzalnia wyglądała w deszczu jak połowa latryna ze zmokniętą kurtyną.

W parku Słowackiego mokli pod pałatkami druhowie z „Harlandii”, a przy Zamku dojrzewały pod folią staroście na pchlim targu. Najokazalej prezentowały się rzymskie kolumny głosnikowe i plansze z hasłami: „Handel to jest gra, jednemu weźmie, drugiemu da”, oraz „U nas kupisz nawet pchłę, każdy dzieciak o tym wie”.

Ale co tam deszcz, skoro do dyspozycji była hala koszykówek na „Włókniarzu”. Koncertował „Parasolnik” i „Wesoly Autobus” serwujący do wcipy na temat reformy, natomiast Janusz Krajewski, redaktor naczelny „Życia Pabianic”, wykazywał wstrząśniętość i powagę. Janusz Krajewski nie jest w mównicy Hanką Bielicką, lecz mimo to udzielał płynnie wywiadu, ponieważ korzystał sprytnie ze ściąg. Maj to matura i ściągawki.

Gdy zapowiedziano występ gwiazdy z Warszawy, co miało być niespodzianką, część młodzieży opuściła halę. I niesłusznie, bo gwiazdą był ubrany na czarno i w kapeluszu Bogusław Mec. Śpiewał dobrze, a gdy doszedł do mocnych rytmów, hala rozgrzała się jak diabeł. A kiedy Mec zapowiedział piosenkę Kojaka stwierdzając, iż od Tellego jest o włos przystojniejszy, publiczność miała już za sobą.

Później występował jeszcze ubrany na biało Bulgar Władimir Karawaczew, który mówił i śpiewał po polsku, ponieważ ma żonę Polkę. I tak w nastroju pogody kończyła się deszczowa sobota.

A w niedzielę trochę słońca i desantowa inwazja kultury, ożywionego handlu, sportu i śpiewu. I jak tu, u diabła, nie kochać Pabianic?!



Foto: Stanisław Czekalski

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Po wyzwoleniu obozu w Dachau, z którego udało mi się szczęśliwie wyjść po pięciu długich latach, znalazłem się w Augsburgu. Te czasy Niemcy zajęli Amerykanie. Polacy zostali zgromadzeni w zamkniętych ośrodkach: „Displaced Persons Center” (Obozy dla osób przesiedlonych), których strzegli uzbrojeni amerykańscy żołnierze. Zabrano nam swobodę poruszania się po mieście. Tylko nielicznym udało się zdobyć przepustki wydrukowane w języku angielskim i niemieckim. Przepustka ściśle określala godziny, w których można było przebywać poza obozem.

Oficerowie łącznikowi z armii generała Władysława Andersa skutecznie torpedowali wysiłki Polskiej Misji Repatriacyjnej w Monachium, kierowanej przez majora B. Chmurę-Lazarskiego. Namawia-

wieży Nikity Chruszczowa ostatecznie obalili liczne mity. W zakładach pracy zaprzestano ogólnych szkoleń ideologicznych. „Krótki kurs Historii WKPB” przestał obowiązywać, a nasz dotychczasowy wykładowca, tow. Somszajn spakował manatki i szybko wyjechał do Izraela. Zamilkła w radiu oślawiona wówczas komentatorka Wanda Odolska. Na falach „Głosu Ameryki” występował były wicedyrektor departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Józef Świądo. Demaskował dotychczasowe nieprawdy, w których sam brał aktywny udział.

Po teatrach krążyło mnóstwo kaskadnych dowcipów politycznych. W Domu Literatów na Krakowskim Przedmieściu, siedziby już Jan Parandowski zaciągnął Edwarda Csatę w ustronny kąt i rozglądając się bacznie dokoła, spytał drżącym z przejęcia głosem:

„mnie polechtany tą propozycją, ale nie okazując zbytniego entuzjazmu, usiłowałem wyciągnąć jak najwięcej informacji dotyczących moich ewentualnych obowiązków i kraju, do którego skierowano by mnie. Dowiedziałem się niewiele, poza tym, że miejscem mojej przyszłej pracy miał być jeden z zachodnich krajów anglosaskich. Teraz mam tylko podjąć decyzję, czy wyrażam zgodę na ich propozycję? Oczywiście uczyniłem to bez wahania, mając w perspektywie szansę poznania nowego kraju, nowych ludzi i obyczajów.

Na stole pojawiła się opaska ankieta personalna z wieloma pytaniami dotyczącymi całej rodziny ze strony mojego ojca, mojej matki i całej rodziny mojej żony. Nad każdą rubryką trwała długa dyskusja, bowiem na wiele pytań, mimo najlepszej woli, nie potrafiłem odpowiedzieć. Wreszcie po paru go-

w jakiej sprawie weszliśmy was?

Zaciągnąłem się papierosem i usiłując zachować swobodny ton, odpowiedziałem:

— O ile mi wiadomo, mam zostać wysłany do jednej z naszych ambasad, w którymś zachodnim kraju.

Zapanowała długa cisza.

— Zie was poinformowano, towarzyszu Skoczylas. Wasze zadanie polega na czymś zupełnie innym.

— Dobrze wyjaśniono na czym ma polegać mój wyjazd. Natychmiast straciłem serce do całej sprawy. Gorączkowo szukałem argumentów, które wskazywałyby na absolutną nieprzydatność mojej osoby do tak specyficznych zadań.

— Towarzysze, mam za sobą kilka ról filmowych, co nie będzie sprzyjało mojemu incognito.

— Może nam na tym zależy?

— Ale ja nie mam pojęcia



Mówi: Kazimierz Koźniewski

— Znam pana przede wszystkim jako zadziernego polemistę. Cokolwiek by się działo w naszej kulturze, ba! nawet w polityce, Kazimierz Koźniewski zawsze zabiera głos i to w sposób powiedzianym wcale nie łagodny, skąd ta pasja?

— Wcale nie zawsze i nie na każdy temat. Bardziej zadzierny był Olgierd Terlecki. On nigdy nie przepuszczał swoim polemikom. A ja w gruncie rzeczy nie tyle jestem polemistą, co mi zależy na tym, żeby zawsze wypowiedzieć się na temat, który mnie interesuje. Po prostu wypowiedzieć swoje zdanie. Mało mnie potem interesuje, co się dzieje dalej z tym zdaniem, czy ktoś je aprobuje czy nie. Przykład: dzisiaj przeczytałem w gazecie z dużą złością, że komisja sejmowa zaaprobowala projekt referendum o konstytucji. Cztery dni temu w „Odrodzeniu” ogłosiłem artykuł zdecydowanie przeciwko referendum. Uważam, że zasada referendum, to zasada honorowania ilości nad jakością. To jest dla mnie absolutną bzdurą. Miałem nadzieję, że po przeczytaniu mojego artykułu członkowie komisji sejmowej odstąpią od swego orzeczenia, tak jak udało mi się ugrobić parę lat temu pomysłu reanimowania instytucji współzawodnictwa pracy.

— I pan twierdzi, że nie jest polemistą?

— Polemistą na temat dla mnie ważne.

— A sprawa literatury, tej eksperymentalnej, uduziwionej...

— Właśnie jest wywiad Łozińskiego w „Polityce”, który mówi, że Kazimierz Koźniewski itd. itd.

— Ostatnio w „Trybunie Ludu” dobrał się pan do „Kaden-

cji” Jana Józefa Szczepańskiego...

— To on mnie zaczepił! Jestem jednym z trzech głównych bohaterów tej książki. Wiele odpłacam pięknym za nadobne.

— A czy Kazimierz Koźniewski oprócz zadziernych polemik ma jakieś prywatne hobby?

— Bo ja wiem? Nie zbieram znaczków pocztowych i nie cierpię ich zbierać od urodzenia, choć ojciec chciał mnie tego nauczyć. Nie znoszę sportu i nie znoszę go od urodzenia, to znaczy lubiłem uprawiać sporty, sam jeździłem na nartach, uprawiałem turystykę.

— Nie ogląda pan meczów, nawet w telewizji?

— Nigdy nie byłem na żadnym meczu piłkarskim. Nic mnie to nie obchodzi. Na sport wyrzekam tylko jako na pewien ob-
jaw zdziczenia społecznego. A czy Polacy dostaną w tyłek czy nie, to nie ma znaczenia. To mnie bito w gimnazjum za to, że na złość kolegom cieszyłem się, jak Polacy przegrywali jakiś mecz.

— Czego pan jeszcze nie lubi?

— Piosenek nie lubię, muzyka mnie nie interesuje. Kiedyś namiegnie chodząc do teatru, teraz mniej. Film interesuje mnie raczej od strony pracy niż od strony oglądania. Tv mnie nie interesuje od strony oglądania wcale: mogę w niej zarabiać pieniądze i traktować jako sposób wypowiadania swoich myśli. Wódki nie znoszę, piwa nie cierpię i nie biorę do ust. Jest to wynik mego harcerskiego wychowania. Byłem bardzo rygorystycznym harcerzem i myślę, że coś we mnie z harcerstwa zostało.

— A co pan lubi?

— Dobrze zjeść w dobrych restauracjach. Lubię kobiety i to niekoniecznie młode, ale ładne i inteligentne.

— Jaki jest pański stosunek do książek?

— Nie mam pasji bibliofilskiej. Mam bardzo dużo książek ale są to książki potrzebne publicystyce. Natomiast sama książka jest dla mnie warsztatem pracy: ja książkę potrafię podrzeć, pociąć na kawałki, czytając zakreślam strasznie dużo, a jeśli mi się zdarzy kupić w antykwariacie książkę, w której są cude podkreślenia, to na tym egzemplarzu zaznaczam, że to są nie moje podkreślenia, żeby ktoś nie pomyślał, że to są moje pochwały np. Romana Dmowskiego.

— Zapomniał pan o polityce, która jest pańskim hobby.

— Ale nie w sensie czynnym. Nie czuję się działaczem politycznym. Mnie interesuje w polityce nie władza, ale komentowanie. Dlatego jestem polemistą. Mój ojciec, architekt, był typowym kawiarnianym politykiem, ja posunąłem się kawałek dalej: tamto kawiarniane posunąłem do publicznego.

— A pisarstwo?

— Czuję się przede wszystkim publicystą, a dopiero potem pisarzem. Dla mnie pisanie powieści czy pamiętników, to też jest sposób wyrażania moich poglądów na świat. Dla mnie idealnym publicystą, chociaż przekonania mi różniły zawsze, był Stanisław Cat-Mackiewicz. Jak miałem 19 lat napisałem entuzjastyczny szkic o Cacie-Mackiewicz, a wtedy kręciłem się między młodzieżą socjalistyczną a ludowców, a on był wstrętnym konserwatystą.

— Czy nie z tego bierze się pańskie zainteresowanie historią dziennikarstwa?

— Jestem człowiekiem tygodnika, od szczeniaka czytałem „Wiadomości Literackie”, „Prosto z mostu”, „Sygnały”, „Kulturę” itp. To była moja szkoła. Moim wielkim marzeniem jest zdążyć napisać następne trzy tomy „Historii co tydzień”. Mam już trzeci — będą to tygodniki lat pięćdziesiątych, potem będzie tom czwarty poświęcony wyłącznie „Polityce”, a piąty będzie tomem piątym „a” i będzie zawierał tygodniki warszawskie od 1850 do 11 listopada 1918. A potem będę mógł już umrzeć.

— Czy pan chciał być jako młody chłopiec?

— Do piętnastego roku życia chciałem być detektywem, od piętnastego roku zacząłem marzyć o publicystyce. Już jako szczeniak w gimnazjum masę pisałem w różnych pismach szkolnych.

— Potem zaczął pan uprawiać literaturę...

— Byłem ostatnim kurierem pieszym rządu londyńskiego, więc złapał mnie na Węgrzech i siedziałem 18 miesięcy w guście. I wtedy wymyśliłem moją pierwszą książkę, z której rzecz jasna nic nie wyszło. Reportaż o Polakach w Anglii ukazał się dopiero po wojnie i nosił tytuł „Rok ziemi obcej”. A co napisania mojej pierwszej książki namówił mnie Elie. I tak powstała „Szczotka do butów”.

— Karierę wszakże zrobiła dopiero „Piątka z ulicy Barskiej”...

— Książka była niedobra, film o wiele lepszy. Wyświetlano go w 56 krajach, w Cannes zdobył nagrodę. Chciałbym jeszcze wymienić dwie, dla mnie najważniejsze książki: „Rehabilitacja” i „Bunt w więzieniu”.

— Co jeszcze mógłby pan powiedzieć o Kazimierzu Koźniewskim?

— Jestem dziadkiem, mam uroczą wnuczkę, w której jestem zakochany. Ale nie czuję się emerytem, piszę dużo i nawet w Warszawie krąży dowcip, że skoro Kazimierz Koźniewskiego nie chciano w jednym piśmie, to on teraz jest w stu pismach, i kłóci się z ludźmi.

— Dziękuję panu i życzę jak najdłuższych kłótni.

Opowieść tylko trochę zabawna.

Dlaczego nie zostałem ambasadorem?

WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS

Ii wszystkich Polaków, kusząc powrotem do kraju wraz z armią, na czele której miał wjechać sam Anders na „białym koniu”. Było to powodem, że z Augsburga do końca lutego 1946 nie zorganizowano ani jednego transportu.

Zmęczony długim wyczekiwaniem powrotu sam pojechałem do Monachium. Tam, dzięki pomocy kolegów z Dachau, zapisałem mnie na transport odcho-
dzący do Polski. Rankiem 6 marca 1946 roku, po kilkukiln-
owej podróży w towarowych wagonach, pociąg osiągnął graniczną stację w Dziedziach.

W nocny dotarłem do stacji Łódź-Fabryczna. Po sześciu la-
tach nieobecności znowu znalazłem się w rodzinnym mieście.

Łódź była już miastem akademickim, z wieloma wyższymi uczelniami, wśród których była moja wymarzona szkoła teatralna. Był zdać egzamin na wydział aktorski, musiałem zrobić maturę. Robiliśmy te matu-
ry w ekspresowym tempie.

W tym czasie spotkałem Romana Pietraka, mojego nauczyciela ze szkoły powszechnej. W rozmowie zaproponował mi wstąpienie do Polskiej Partii Socjalistycznej. Był sekretarzem Komitetu Dzielnicowego Łódź-Sródmieście-Lewa. Z ochotą przystałem na jego propozycję i już na drugi dzień zameldowałem się na dzielnicy. Komitet mieścił się w budynku przy ulicy Gabriela Narutowicza, gdzie potem przez wiele lat funkcjonowało Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckiej, a dziś zajmuje go „Estrada Łódźka”.

Z miejsca wpadłem w nurt działalności partyjnej jako lektor, wygłaszałem, w różnych zakładach pracy, referaty popierające zbliżające się referendum, słynne 3Xtak.

Po uzyskaniu matury i podjęciu studiów w Szkole Teatralnej, moja aktywność partyjna musiała, siłą rzeczy, ulec znacznym ograniczeniom. Potem odbył się Kongres Zjednoczeniowy, a ja pochłonięty studiami nie przystąpiłem do zjednoczonej i zawiąsałem w próżni politycznej.

Dopiero po śmierci Józefa Stalina, jako że idea była mi bliska, wstąpiłem w szeregi partii. W roku 1955 wybrano mnie sekretarzem POP w Teatrze im. Stefana Jaracza. Właśnie wtedy wielka kariera robiło słowo „odwile”. Zaowładniało zmienny w systemie sprawowania władzy i bardziej liberalny kurs repertuarowy w teatrach. „Ła-
żnia” Włodzimierza Małakowskiego, wystawiona w Teatrze Nowym, była tego najlepszym przykładem.

W buforze teatralnym żywo dyskutowaliśmy śmiałe artykuły ukazujące się w „Po prostu” XX Zjazd KPZR był dla wszystkich wstrząsem. Wypo-

— Czy to prawda, że jakiś Chruszczuk mówił coś przeciw Stalinowi?

Ten wielki pisarz, tkwiący po uszy w umiłowanej przez siebie starożytności, nie nadążał za współczesnością.

Wybrano mnie delegatem na Dzielnicową Konferencję Partijną. Komitet Dzielnicowy PZPR mieścił się wówczas w budynku usytuowanym na rogu alei Tadeusza Kościuszki i Zielonej. Dziś zajmuje go Akademia Medyczna. Zgromadzenie odbywało się w wielkiej sali. Wypowiedzi delegatów, jak na owe czasy, były bardzo śmiałe, a niektóre wręcz obrazoburcze. Niemniej jednak znaleźli się żarliwi obrońcy mitowanego etapu.

Zabrałem głos. Byłem przeciwny noszeniu przez siebie legitymacji partyjnej. Zwyczaj ten był obowiązkiem każdego członka partii, a przetrwał z czasów wojny w Związku Radzieckim i, jako uświęcony tradycją, był kultywowany w szeregach PZPR. Uważałem, że jest to zbyt cenny i ważny dokument, by narażać go na zgubienie lub kradzież. Drugą sprawą, postawioną w formie wniosku, było podniesienie poziomu intelektualnego lektorów, którzy z ramienia Komitetu Dzielnicowego obsługiwali zebrania POP. Domagałem się, jeśli już nie wniosków analiz społeczno-politycznych, to przynajmniej poprawnej polszczyzny honorującej prawdziwa gramatykę naszego języka. Przeciwnie wystąpiło kilka rozjątrzonych towarzyszek, zarzucając mi „intelektualne ciągłoty” i lekceważący stosunek do „prostych słów klasy robotniczej”. Chociaż sala przyjęła moją wypowiedź oklaskami, to pod brzmieniem postawionych mi zarzutów zwątpiłem w słuszność mego wystąpienia. Na szczęście poparł mnie ówczesny naczelny redaktor „Głosu Robotniczego” Tadeusz Gutkowski. Sprawa rozplynęła się w toku dalszej dyskusji.

W maju 1956 r. wezwano mnie do Komitetu Dzielnicowego PZPR. Siedziałem tam oczekując reprimendy za marcowe wystąpienie. W osobnym gabinecie przyjęło mnie dwóch towarzyszy. Nie znalazłem ich i nie pamiętałem, bym ich kiedyś przedtem spotkał. Ku mojemu zdziwieniu dużo i długo mówili o nadchodzących zmianach kadrowych, które rzekomo, miały nie ominąć kadr naszej dyplomacji.

Jako przykład wymienili przypadek jakoby w jednym z państw zachodnich ataché kulturalnym był dawny win-
dłiarz z Wojewódzkiego Domu Kultury. Potem wprost zapyta-
li mnie, czy nie zdecydowałbym się podjąć pracy w jednej z naszych ambasad. Poczułem się

dzinach, dzięki pomocy indagujących mnie towarzyszy, odpowiedziałem na ostatnie pytanie ankiety, składając pod nią mój podpis. O dalszym ciągu sprawy miałem być poinformowany w odpowiednim czasie. Podeskcytowany wróciłem do domu.

Ponieważ nie zastrzegano żadnej tajemnicy rozmowy, już na drugi dzień cały teatr wiedział o moim wyjeździe na placówkę dyplomatyczną. Niektórzy kole-
dzy, w nadziei, że część splendoru spadnie i na nich, zaczęli moja żonę tytułować „panią ambasadorką”. Długo czekałem na interesującą mnie wiadomość.

Przyszły dzień 1956 r., a wraz z nim „wypadki poznafskie”. W kraju wzrastało napięcie. Wyglądało na to, że bieg historii pozbawił mnie możliwości odkrywania nowych światów. Przestałem o tym myśleć i spokojnie podpisałem umowę do filmu Wandy Jakubowskiej „Król Maciusz I”. Po ukończeniu scen w filmie, wyjechałem na Mazury, gdzie w Kruliń, wraz z Igonem Sikiryskim polowaliśmy z powodzeniem na szczupaki. Urlop spędzony w miłym towarzystwie Igora pogłębił moje umiejętności wędkarskie i dostarczył mi wielu ciekawych doznań.

Minęło kilka dni od mego powrotu z urlopu. W Teatrze im. Stefana Jaracza obsadzono mnie w sztuce J. Górczyckiej pt. „Szpieg”, w której grałem rolę tytułową. Niespodziewanie dostałem pismo wywołujące mnie do Warszawy.

Uzbrojeni w pepesze, członkowie Milicji Robotniczej, stano-
wili w tych niespokojnych dniach ochronę ważnych budynków w stolicy, zatrzymali mnie przy wejściu. Po przedstawieniu wezwania, zawieźli windą na najwyższe piętro budynku i wskazując właściwe drzwi zniknęli bezszelestnie. Przez chwilę rozglądałem się bacznie, mając nadzieję, że spotkam jakąś ważną osobistość. Na korytarzu było pusto. Lekko zapukałem.

— A więc już jesteście to-
warzysz Skoczylas — powitał mnie ktoś, gdy stanąłem w progu. W gabinecie było kilka osób.

— Siadajcie — powiedział jeden z uczestników spotkania i zerknąwszy na zegarek, dodał — Chwali się wasza punktualność.

— To przyzwyczajenie zawo-
dowe — odparłem, siadając. Znalazły się papierosy „Biełomorzy”, kawa i gruziński koniak. Niepokoił mnie tylko sposób, w jaki usadowili się moi rozmówcy. Siedzieli na tle okna oświetlonego ostrymi promieniami słońca. Widziałem przed sobą ciemne sylwetki nie rozróżniając ich twarzy. Sam byłem w pełnym świetle.

— Mam nadzieję, że wiecie,

o charakterze takiej pracy.

— Nie szkodzi. Przed wyja-
zdem odebrałem dwuletni kurs.

— Tak... ale ja mam... bardzo

długi język.

— Tego też nauczyła was na

kursie.

Jeszcze przez moment han-

dryczyłem się o warunki finan-

sowe i kontakt z rodziną. I je-

dne, i drugie były dalekie od

godziwej rekompensaty za to,

co tracię.

Jestem zaskoczony tą na-
głą propozycją. Poza tym moim

najważniejszym celem życio-
wym jest aktorstwo. Wątpię

czy wasz wybór padł na wła-

ściwą osobę. Proszę o czas do

namysłu.

Z góry wiedziałem, że nie

podjęję się tego zadania, ale

grałem na zwłokę.

Oczywiście — uspokoił

mnie jeden z nich, dolewając

koniacu. — Macie dwa tygod-

nie. Myślę, że w tym terminie

podjęcie właściwą decyzję.

Tu jest kartka z numerem tele-

fonu. W Łodzi z każdego apar-

atu uzyskacie bezpośrednie po-

łączenie z nami. Jedyną osobą,

z którą możecie się naradzić,

to wasza żona.

Podenerwowany wróciłem do

domu. Sprawa była śliska. Wie-

dział, że się tego nie podejmę,

obawiałem się konsekwencji, jak-

że może spowodować odmowę.

Niedoszła „pani ambasadorka”

urządziła piekielną awanturę,

określając precyzyjnie miejsce,

gdzie ma taką propozycję. Po-

tem przez resztę wieczoru

tklika co mniej cenne sztuki na-

szej zastawy. W niepewności i

podenerwowany wyrwałem do

końca naznaczonego terminu. W

teatrze, w czasie prób, zaczy-

nałem coraz głębiej rozumieć,

grana przeze mnie rolę „Szpie-

ga”. Wreszcie postanowiłem

sprawę zakończyć. Przygotowa-

łem sobie długą argumentację

odmowy. Wykreśliłem pojanya

mi numer telefonu. Po drugiej stro-

nie przerwało moje wywoły.

— Rozumiemy. Dziękujemy

za telefon — połączenie zostało

przerwane.

Byłem uwolniony od ciężaru,

ale niepewny dalszej egzysten-

cji. Minęło kilkanaście nerwo-

wych dni, a potem nastąpił

„paźniernik”. Nigdy nie zostałem

ani ambasadorem, ani tym

drugim. Została mi scena. Wszy-

stko ułożyło się pomyślnie, aż

wreszcie przyszedł czas, że i

kolędy przestali tytułować mo-
ją żonę „panią ambasadorką”.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANIČKI

Żyje umarłe

książka której nie zdążyłeś przeczytać
spójra zarys nie istniejącej od wieków
galo-rymskiej
wili ujawniony przez biały szron
albo to zdjęcie: trawa rysuje przeszłość
tu twierdza tu dziedziniec tu obóz rzymski
lazaret
w puszczy w kielkującym życie umarło
leżysz przy mnie tak blisko
na moim przedśmierdnie przysypianym
pierwszym śniegiem
złazone oddech
oczy wpatrzone w siebie niewidzące

XII 1985

Kochanek

któregoś zimowego dnia na lekcji angielskiego
słownictwo nauczyciel stał się moim
kochankiem
choć wydawało się oczywiste że był nim
zawsze
bile chore serce na tle czarnej tablicy
powtórka z czasów
tamto spojrzenie w tym obcym oku palce
rozprostowane
w cudzych palcach ach to podniecające
jak egzekucja
usta wydęte innymi ustami żywy umarły
kochanek
noga w nodze uda lódzkie wywłaszczono
przywłaszczono
bladłość skóry żebrząca o porównanie
przewrotność porównań
które natychmiast wypierają się siebie
oczy nieoczy
śmiał się a ja patrzyłam
i widziałam biologicznie która przedstawienie
występowały: mawie oko kochanka umarłe
ucho
dłoń uleciała rękawem usta kochanka kawałek
lewego uda
był to wampiryzm naturalny i obustronny
zdwojony
i gdy wydawało się że nieżyjące zaczyna
górować nad żywym
wstał i ręką z trudem wyszarpiętą śmierci
zamknął
leżącą na stole książkę

I 1987

Plakać i szydzić

moja nowa spódnica w czerwono-czarnej kratę
z czerwonego w czarne pole — skok
miłość która widziała śmierć jest zupełnie
zdezorientowana
mówię sobie wyglądasz jak modelka
czy nie za wcześnie na czerwień
więc odpowiadam to tylko spódnica ty krowo
a to tylko nogi nie składają przysięgi
podniesienie spódnicy rozchylenie nóg
i ta hostia nie ma blasku świętości
choć w domu wdowy cicho jak w kościele
precz z wdową
powykreslać powyrzucać spuchnięte powieki
bezsenne noce żale
współczucie trzymać z daleka jak wściekłego
osa
Du-Lyrik moich wierszy żyje podwójnym
życiem
każe mi plakać i szydzić z tego płaczu

Skazać się

skazać się znów na świergot ptaków za oknem
na światło i zapach lata na śmiech
na posiadanie ciała i skóry która zapagnie
dotyku
na niecierpliwość i lekkomyślność
i chociaż wspomnienie twojej miłości
jest czymś skończonym pewnym
skazać się na niepewność i niepokój

II 87



chcę stać w kurzu podnoszonym przez
szczołkę salowej
w smrodzie szczyń i środków dezynfekcyjnych
otoczona głosem papieża który przejrzyście
wypelnia — wszystkie sale i korytarze
chcę rozumieć że ani żal ani gniew
że święty i wzniosły jest tylko śmiech
który drwi i nie chce rozumieć

II 1987

Sadler's Wells

Historia powstania zespołu baletowego Sadler's Wells Royal Ballet, sięgająca początku lat trzydziestych i przeplatająca się z nowszymi dziejami Covent Garden, nie da się streścić w paru zdaniach i jest dość szczegółowo omówiona w programie teatralnym, warto jednak tu przypomnieć, że patronowały jej wielkie, a znane i u nas, nazwiska: Ninon de Valois, Fredericka Ashton, czy Margot Fonteyn, a po obecnym dyrektora zespołu Petera Wrighta.

Jeśli właściwie odczytałem informację, to zespół pod wymienioną wyżej nazwą jest w pewnym stopniu wydzieloną sceną objazdową, dającą nawet i dwieście przedstawień w sezonie, adresowanych głównie do szerokiego kręgu odbiorców. Ma to zapewne jakiś wpływ na dobór repertuaru i sposób jego realizacji, przypuszczalnie więc zaprezentowane nam widowisko „Królowa Śniegu”, powstałe równo rok temu, ma służyć przede wszystkim popularyzacji sztuki baletowej we własnym kraju, dobrze jednak, że otrzymało ono najwyższe moralne placet od swojej honorowej przewodniczącej, księżniczki Maigorzaty, na pierwsze w swoich dziejach tournée po Czechosłowacji, NRD, Bułgarii i Polsce, czemu zawdzięczamy w konsekwencji udział londyńskich tancerzy w naszej baletowej imprezie.

No i w najlepszej zgodzie ze swoimi założeniami zespół dał nam widowisko klarowne i przystępne, o czytelnej symbo-

lice, a nade wszystko posługujące się tradycyjnymi, żeby nie powiedzieć konwencjonalnymi środkami wyrazu, ale za to oglądaliśmy spektakl solidnie przygotowany od strony warsztatowej i wyrównany wykonawczo. Niewątpliwie kilkoro tancerzy wybiło się umiejętnościami ponad tę wysoką przeciętną, jak przede wszystkim GRAHAM LUSTIG w roli Białego Karla, ponadto SAMIRA SANDI balerina o szlachetnym wyrazie jako Królowa Śniegu, a w roli zakochanych Kaja i Gerdy MICHAEL O'HARE i pełna wdzięku MARION TAIT, a wreszcie główny z trzech wykonawców świetnie ułożonego „Tańca z butelką”.

Przedstawienie otrzymało zharmonizowaną oprawę sceniczną (najlepsza wydała mi się chińska izba weselna w surowym drewnie) i toczyło się, z małymi wyjątkami, dość umiarkowanym tempem. Po oryginalnie pomyślanym, zwięzłym Prologu (ze stworzonym lustrem) niezbyt ciekawie zaprezentował się jako całość, przynajmniej do sceny z lalką, akt I, utrzymany nie tylko ze w charakterze baśniowej opowieści, ale jak gdyby przeznaczony głównie dla małego widza. Miałam zaskoczeniem być więc akt II, w którym zarówno choreografia, jak i tancerze wykazywali, że najlepiej czują się tańcząc po prostu... tańce, bo przecież one były osnową obrządku weselno-tanecznego. Nie będą się zresztą spierać, czy weselisko, inspirowane rosyjskimi rytmami (oraz ukraińskim ho-

pakiem) wywodziło się istotnie z ducha rosyjskiego folkloru... W akcie III byliśmy znów świadkami sprawnych i pełnych orku popisów tanecznych, z doskonałą grupą Śnieżynki oraz nastrojowego klasycznego pas de deux Królowej i Kaja, a także Kaja i Gerdy, a wreszcie z niezrównanym Białym Karlem, imponującym precyzją i miękkością swoich napowietrznych skoków. Myślę jednak, że z powodu zbyt wielkiej ilustracyjności końcowych scen, przedstawiających rozterkę Kaja, łapiącego się to za oko, w którym tkwił jeszcze odprysk zgnębzonego zwierciadła, to za serce, miotane rozdwojenym uczuciem, finałowy triumf „nieodrobnej miłości” nie uzyskał dostatecznej siły wyrazu.

Zakończenie to, sprzeczne zresztą z literackim oryginałem, gdzie serce Kaja topnieje od lez litości nad nieszczęsną Gerdą, jest zapewne koncesją na rzecz dorosłego widza (oprócz weselej popijawy), który wie doskonale, iż takie odesłania i porzucenia bywają w życiu bezpowrotne.

Przedstawienie przypadło do gustu publiczności, która dość gromko oklaskiwała wykonawców wraz z dyrygentem Ormsby Wilkinsem, któremu przypada nie do pozazdroszczenia rola poprowadzenia naszej orkiestry nie całkowicie jeszcze przygotowanej do wykonywania tej skomplikowanej rytmicznie muzyki, mocno synkopowanej i naszpikowanej trudnościami technicznymi dla grupy instrumentów dętych.

„Królowa Śniegu”. Balet w 3 aktach z prologiem, wg baśni Andersena, muzyka — Bramwell Tovey wg Mussorgskiego, choreografia — David Bintley, scenografia — Terry Bartlett, partia wokalna — Elżbieta Nizioł.

Praski Balet Kameralny

Prawdźwie błyskotliwą drogę przebył w ciągu niespełna dwunastu lat istnienia Praski Balet Kameralny, założony i kierowany przez Pavla Smoka, który zresztą wybrał zawód tancerza, a następnie choreografa stosunkowo późno. Zespół ten gościł już przed kilku laty, również z okazji spotkań baletowych, ale niewiele wówczas było nas chętnych, którzy z Teatru Wielkiego przeszli późnym wieczorem do sali Teatru Muzycznego, nie wiedząc, że przeżyjemy nie małe zaskoczenie znakomitym wykonaniem przez czeskich gości szeregu utworów z różnego repertuaru, z niezapomnianym „Dublerem”, zmuszającym widzów do głośnego śmiechu, jaki niezmiennie rzadko daje się słyszeć na występach baletów.

No i znów sympatyczny zespół wyruszył w tournée po Polsce i uświetnił swoim występem (tylko jednym) nasze spotkania, Czeszy goście zaprezentowali jak zwykle utwory swego kierownika artystycznego do dzieł muzyki rodzimej. W otwierającej program wieczoru „Sinfonietcie”, do muzyki wielkiego kompozytora z Moraw Leosa Janacka zwróciły na siebie uwagę pomysłowe i precyzyjne przeprowadzone kompozycje ruchowe, organizujące działania zespołu

w zgodzie z inspiracjami muzyki. Początkowo więc grupowy ruch tancerzy oddawał przede wszystkim motoryczny charakter muzyki, później pojawiły się momenty lirycznej zadumy i ciepłego humoru. Najogólniej rzecz ujmując, można powiedzieć, że przez cały czas wyraźny był zamiar choreografa, jakby paralelnego ukazania struktury muzycznej i baletowej i nawet powracanie tych samych rozwiązań ruchowych przy każdym nawrocie tej samej frazy muzycznej. Dużo zawdzięczamy tu wykonaniu Johany Kavkovej i Ludwika Vidlaka.

Następnie w utworze „Z mojego życia”, do kwartetu e-moll Bedricha Smetany, którego muzyka nasycona jest żarliwą namietnością, a cała sfera ruchowo-mimiczna nacechowana była wyjątkowo silną ekspresją, która w scenach miłosnych napięć przybierała niekiedy charakter zmysłowej namietności. Choreograf wydał się bardziej wrażliwy na treść i emocjonalne muzyki niż na inspirację literackie podpowiadające gotową fabułę, zamiast więc akcji, którą dalaoby się o powieścić mamy całe sekwencje przedstawiające nastrój oczarowania miłosnego i chwilowych zawodów, aż po końcowe odnalezienie się poróżnionych, co znalazło bardzo wyrazistych

wykonawców w osobach przede wszystkim Kateriny Frankovej i Ladislava Rajna.

Uwieńczeniem występu wspaniałych prażan stała się pozorna białostka pt. „Zarty”, stanowiąca ciąg przezbawnych sytuacji w światku tancerzy i choreografów, i to jako swobodnie przedstawione perypetie trzech par tancerzy na kanwie „Muzycznego żartu” Mozarta. Co ciekawe i godne uznania, że główne działania o humorystycznym zacięciu, wypełniały przerwy pomiędzy poszczególnymi częściami utworu, kiedy wchodziła muzyka, a tańiec, choć nadal w służbie frywolnej historyjki, wykonywany był z dużą starannością. Pavel Smok potwierdził tu, że jest mistrzem baletowego żartu, nie mającym z pewnością wielu godnych siebie konkurentów. Tu znów wyróżnił się świetnym wykonaniem tańca: Jana Szabowa, Hona Felgrova i Ivana Etzlerova.

Publiczność potwierdziła gorącym aplauzem, jak bardzo sztuka choreograficzna Pavla Smoka i umiejętności jego tancerzy przypadły widzom do gustu.

JERZY KWIECIŃSKI



Sinfonietta — na zdjęciu: Johana Kavkova i Ludvík Vidlák.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowa

O DOROTKACH

Najpopularniejsza jest Dorotka, obchodząca imieniny 6 lutego, a ponieważ tego dnia zima potrafi być dokuczliwa, więc starzy ludzie powiadają wówczas: „na dzień świętej Doroty bywa śniegu nad ploty” lub inaczej: „rzadki dzień świętej Doroty bez mrozu albo śloty”. Mniej święta, a za to życzliwsza ludziom a panom szczególnie pojawiła się jakaś piękna Dorotka szesnastowiecznemu poecie Janowi Smolikowi: *Wesół-em dosyć z ochoty, Skoro się dotknę Doroty. Zaraz precz wszystkie kłopoty, Gdy siedzę pod Doroty. Fraszka złota i klejnoty, Gdy leżę pod Doroty. Zgola wszystko jest, prócz enoty, U mej szlachetnej Doroty.*

Figlarka to była, szelmutka, ta Smolikowa Dorotka czy też inna imienniczka, jeśli Opaliński w XVII w. pisał: „Nie Dorotkam (...), nie dam się ja przekonać prosić ani groźbę”, zaś Stanisław Niewieśki w kalendarzu na rok 1699 wzywał: „Śłodko, Dorotko, ale droga, niebo-go”. Podobno żyła sobie kiedyś nadobna Dorotka, którą za nadmierną dla panów nieobojętność osadzono wreszcie w lochu pod zamkową wieżą i na tę pamiątkę inne wieści w całym kraju zaczęto wkrótce nazywać „dorotkami”. Paprocki a za nim Niesiecki wywodzą nazwę „dorotki” od niejakej Doroty Łacynskiej, żywcem zamurowanej przez krewnych za złoczyni i nierządne życie. A jednak Dorotka to ładne imię, prawda?

NIEPEWNY ŚWIADEK

Borowski był sprytny szlachcie i Radziwiłł bardzo go lubił, choć ulubieniec czasem pisał mu figle. I tak na przykład książkę twierdził na obiedzie u hetmana Ogińskiego, że za czasów konfederacji w jednej potyczce własną ręką pięćdziesięciu Moskali trupem położył:

— Jak to, aż pięćdziesięciu? — zaobserwował hetman z uśmiechem.

— Borowski! powiedz że, panie kochanku, czy tak nie było?

— Po raz pierwszy w życiu — odrzekł interpelowany — nie będę mógł słyszeć za świadka, bo jeśli sobie JO książkę przypomniał, ja to onej bitwie od pierwszej kuli nieprzyjacielskiej zginęłam.

K. Gaszyński: Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia. Paryż 1851.

NA WSZYSTKO JEST SPOSÓB

Pewny natręt nie będąc na obiad proszony, siadł z innymi gośćmi do stołu, a gdy nie mając sobie położonej łyżki, nie miał czym jeść zupy, gospodarz domu, chcąc sobie z niego zażartować, rzekł:

— Wielkiej ten dokaże sztuki, który bez łyżki jeść zupę potrafi.

— Ale ten jeszcze większej — odpowie natręt — który zjadłszy zupę, zje jeszcze i łyżkę. I wykroiwszy sobie ze skórki chleba łyżkę, najprzód nią zupę, a potem samą zjadł łyżkę.

Zebrał się gładkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1870.

MARSZ POGRZEBOWY

W bitwie pod Racławicami Józef Damara, szlachcic z Wołynia, został silnie raniony. Złożono go w publiczkiej chacie i felczer polny począł mu puls badać.

— I cóż, mospanie — zapytał ranny — na jaką nutę mój puls bije?

— Nie wiem — odpowiedział zakłopotany felczer.

— No, to ja ci powiem, mospanie — odparł szlachcic z uśmiechem — na nutę marsza pogrzebowego.

Ilustrowana Biblioteka Rozmaitości, 1891.

KOMENDA

Najlepiej pamiętam nazwisko podpułkownika Scherera z pułku Ożarowskiego, bo się z niego śmiały oficerowie, jak zapowiadał komendę zią polszczyzną: „Bieśmy masierowali jak usioraj, a kto będzie feler zrobić, to będzie siedział na koza”.

Pamiętki Ludwika hr. de Laveaux. Kraków 1879.

AERONAUTKA

Loty balonem, zapoczątkowane przez braci Montgolfier w 1783 r., a kontynuowane przez następców (jednym z nich był J. P. F. Blanchard, któremu w napowietrznej podróży nad Warszawą towarzyszył w 1788 r. Jan Potocki autor „Rękopisu znalezionego w Saragossie”), z upływem lat spowszedniały. Wśród śmiałości unoszonych przez „banie powietrzne” znalazły się kobiety. Mimo podziwu dla ich odwagi zdążyło się o nich już pisać.

W Ługdunie pani Margot tak nieszczęśliwie puściła się balonem, że ledwo wyniesiona w powietrze, lódka przechyliła się tak bardzo, iż napowrót spuścić się musiała do pobliskiego ogrodu. Publiczność tak się o to rozniewała, że nie tylko podarła balon, ale nadto gonila panią Margot, sykając i krzycząc, która prawie bez duszy zdążyła mogła do swego mieszkanka.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

O filmowych Konfrontacjach bez entuzjazmu

WITOLD SOBCZYK

Konfrontacje rozpoczął film polski, czyli głośny już „Magnat” Filipa Bajona, twórca znanego z urzekającej inwencji plastycznej, niezwykłych pomysłów inscenizacyjnych i zaskakującej wrażliwości. „Kino jest dla mnie wspaniałym, suwerennym światem, w którym można wszystko pokazać: ważna jest tu pojemność dzieła, wielość ukazanych w nim warunków społecznych, artystycznych, mitologicznych, archetypicznych. Tak widzę funkcję kina — jako ukazywanie bogatej, skomplikowanej w wielu planach siatki zależności (...). Czy na ekranie jest historia czy współczesność — to już nie ma szczególnego znaczenia”. Słowa reżysera dobrze przystają do struktury „Magnata”, ukazującego historię upadku potężnego niemieckiego rodu von Teussów, księcia pruskiego. Podstawą scenariusza stały się wspomnienia księżki Daisy. Żony księcia Jana Henryka XV, wydane w 1929 roku pod tytułem „Taniec na wulkanie”. Bajon kreuje świat drwiny, odchodzący i schyłkowy, rozpięty między wykluczającymi się skrajnościami. Granice owego świata wyznacza sprzeczność charakterystyczna nie tylko dla danego miejsca i czasu, a prezentowana sceneria dotyczy nie tylko zjawisk historycznych. Tematem wiadomym stało się ograniczenie kultury, postaw, wartości moralnych i ideałów. Ekranowa rzeczywistość pojęcia swym pięknem, epatując zarazem okrucieństwem. Owo rozbicie narracyjno-estetyczne powoduje jednak w „Magnacie” pewien chaos i dezorientację. Jak się wydaje — radykalniejsze cięcia montażowe przyszyłyby filmowi tempa i klarowności, nie gubiąc jego ideału.

„Wsi moja, sielska, anielska” to kolejny film Jirgo Menzla powtarzający znane i uznane już motywy w twórczości reżysera. Choć twórca „Podług pod specjalnym nadzorem” tym razem nie miał oparcia w dziełach Vladislawa Vancury czy Bohumila Hrabala, stworzył balladę, będącą zarówno tragedią, jak i swoistym moralitetem. Widz, znający filmy Menzla, bez trudu identyfikuje postacie i tematy z wcześniejszych dokonań reżysera. Niestety każdy jego kolejny utwór wydaje się coraz słabszy, tak jest

z filmem „Wsi moja, sielska, anielska”: ironia nie jest zbyt ostrą, problem jakby płytki i sztuczny, moralitet chybły, nadmierne uproszczenie, całe zaś przesłanie dzieła nie wychodzi poza powszechnie znane prawdy. Film jest utworem niespójnym, rozpada się na wiele epizodów, które choć same w sobie świadczą o wielkim talencie Menzla, jednak w całości ogląda się je z nadzieją ustępującą szybko miejsca rozczarowaniu.

Z dwóch filmów radzieckich duże wrażenie wywołuje ośmioletni „Półkownik”. „Temat” Gleba Panfilowa. Owa skromna opowieść, zaczynająca się nieczym prostą historią o beztrojskim poetyce pisarza Kima Jesienina i jego przyjaciela w starym Sztadlu, przetrwała się w gorzkiej wizji związku twórcy — państwa i twórcy — życia. Jesienin, artysta znany i szanowany przez władzę oraz odbiorców, przekazuje się, iż jego twórczość jest pusta i chybiona, tak odległa od realnego bytu mieszkańców Związku Radzieckiego, że traci rację istnienia. Ludzom zagubionym, przegranym, pozbawionym perspektywy potrzebne są inne wartości, żyją oni innymi porażkami. W każdym układzie geopolitycznym i kulturowym nader ważne są korzenie, źródła tożsamości twórcy; jego najważniejszą obowiązkiem jest głoszenie prawdy o swym narodzie, nie tracąc z pola widzenia jego problemów. Postać, która pośrednio a zarazem ostatecznie odzwierciedla Jesieninowi oczu na jego konformizm jest pozbawiony możliwości pracy naukowej, węgłujący na miejscowym emigrancie w charakterze grabarza. Owego człowieka, tak głęboko przywiązany do ziemi rodzinnej, na skutek szczytności i zaszczucia decyduje się na wyjazd do Izraela.

„Pożegnanie” Elema Klimowa, adaptacja powieści W. Rasputina, mimo swego słabego przesłania, jest filmem wartościowym. Problem znany i rozumiany w całym cywilizowanym świecie: los ludzi zmuszonych do opuszczenia swego przetrwałego miejsca na ziemi — znajduje tu wyraz w pełnych symboli obrazach. Spowolniona narracja, skomponowana w takt czołowych dokonań literatury rosyjskiej i radzieckiej, ukazuje podświadome archetypy

bytu człowieka: poczucie wspólnoty ludzkiej, odwieczne przywiązanie do Ziemi-kamień, pamięć po zmarłych i miłość do Matki-przyrody. Jednakowoż język symboli Klimowa nie zawsze jest najszczęśliwszy, częstokroć sprawia wrażenie, iż jest to sztuka dla sztuki, rzecz martwa. Pewne zachowania bohaterów „Pożegnania” są tak hermetyczne i właściwie kulturowo niezrozumiałe, iż w ludziach z innego kręgu kulturowego wywołują mogą uśmiech bądź brak zrozumienia.

Drapiącym natomiast i bulwersującym filmem jest dzieło Bory Draskowicza „Piękne jest życie”. Jugosłowiańskie kino, znane głównie z nurtu partyzanckiego, od kilku lat stara się wzbogacić swą gamę tematyczną. Jest więc i seks, jest i polityka, są też porachunki z najsłynniejszą historią, tak bardzo specyficzną dla tego wielonarodowościowego państwa i tak bardzo skomplikowaną. Obraz Draskowicza należy do tego ostatniego nurtu, stanowi jedno z silniejszych wrażeń Konfrontacji. Reżyser wykreował opartą na zasadach klasycznej tragedii antycznej opowieść, dziejącą się od świata do zmierzchu, gdzieś w prowincjonalnej, obskurnej gospodzie, w zakątku zapomnianym przez Boga. Przypadek każe grupie pasażerów zsiść na pastwie miejscowego „wataki”, który wymachując pięścią i pistoletem, zmienia ludzi w bezwolne i poniżone kukły. Wszystko to jest przygotowaniem do wiecznego przyjęcia gdzie przy tych samych słodkich, przy których jeszcze przed chwilą szczytowało się upodlenie i strach, zbierają się na uczcie miejscowi sybarcy, notabie władzy, by wśród plebejczy pacy zatać cenne interesy. Film ten jest wstrząsającym protestem-apelem o godność człowieka.

Kompletnym nieporozumieniem stał się udział w Konfrontacjach filmu Rolanda Grafa „Dom nad rzeką”. Ten schematycznie zrealizowany obraz, nieczym zabójnym dziełem postaci i zachowania na jednoznacznie dobre i złe jest irytujący w swej naiwnej agitacyjności i prymitywnym moralizatorstwem.

Z całkowicie odmienionego kręgu kulturowego wywodzi swój rodowod utwór Masahito Shinody „Gonza” — wo-

jownik”. Nakreślony w obłej nam poetyce, zbliżonej do dworskiego teatru No, w którym bogata i nader skomplikowana symbolika gestów łączy się z celebrowaną konwencją. Zdzławia w „Gonzie” wysmakowanie plastyczne kolejnych kadrow oraz harmonijnie ukształtowaną kompozycję. Jednakowoż opowieść o miłości, namietności, małżeńskich zdradzie i karze zbytnio jest rozciągnięta i koturnowa, a przeraźliwie powolne tempo narracji osłabia ogólnokulturową wymowę dzieła.

Bulwersuje widza swym kolejnym filmem Federico Fellini „Ginger i Fred” to opowieść o podziarzalach tanecznych, którzy w latach czterdziestych przeżyli krótki okres sławy jako imitatorzy Ginger Rogers i Freda Astaire’a. Postarzali i całkowicie zapomniani, powracają do Rzymu, aby wziąć udział w monstrualnym widowisku telewizyjnym przygotowywanym na Gwiazdkę. Wraz z nimi wypełnia ekran słynna menażeria Felliniego, zbierająca osobliwości, malowniczych i niesamowitych postaci, wśród których nie brak i faworytów, karłów, lewitujących księżdz i mężczyzny zaplaniających wzrokiem. Owa zjadliwa satyra na wynaturzenia współczesnego świata telewizyjnego, w której nie brak i symbolu kultury masowej, wyrażającego dobitnie płaskość, trywialność i banalność mediów, gdzie wszystko jest udawane i wszystko jest na sprzedaż. Kultura Starożytności stała się coraz bardziej stara i zmęczona, cierpi na zadykację, żyje, jak zabrakło w studiu, echem młotek sław. Jej przypomnienie i egzystencja wyglądała żałosnie i trywialnie. W tym obcenieniu, współczesnym cyrkowi, para starych artystów wydaje się czymś niezwykle. Mają swoje śmieśnosc i wady, ale oboje są także głęboko wzruszający i ludzcy w swym zagubieniu wobec tego, co osacza ich w telewizji. I oboje, jako jedyni, do końca zachowują godność. „Ginger i Fred” to nowa wartość w twórczości Felliniego, najbardziej współgrająca z głębokim humanizmem „La Strada”. Choć całkowicie odmienna formalnie. Nostalgia, łagodny smutek i liryczne ciepło spleśniały się ze specyficznym poczuciem humoru i optymizmem. Zaś kreacje Giulietty Masiny i Marcello Mastroianniego na długo pozostają w pamięci, emanując siłą wywodzącą się z niezachwianej harmonii i pogody ducha.

„Mona Lisa” Neila Jordana ma coś z romansem, czarnego kryminału i ironicznej komedii. Bohaterem filmu jest George, wiekowy nieudacznik i frajer, z jednej strony postać na swój sposób pościwa, prozaična, nawet toporna; z drugiej strony to człowiek wrażliwy, nawet romantyczny. George zostaje zszokowany ciemnotą, lukusowej call girl Simonoy, o ośmiawiającej urodzie i

tajemniczym uśmiechu. Istotą filmu jest dyskretny, zarazem dwuznaczny romans między Georgem a Simoną. Świat „Mony Lisy”, owa nowoczesna baśń wielokompleksowa, rysuje subtelny światłocień uczucia i perwersji, komizm i najprawdziwsze ludzkie tragedie, zdradę i szantaż uczuciowy. Walorem filmu są doskonałe dialogi, znakomite zdjęcia Rogera Pratta, stylizowane według poetyki ekspresjonizmu i przede wszystkim aktorstwo, będące bezspornie najmocniejszym atutem dzieła.

W pewnym sensie koresponduje z „Mona Lisa” najnowszy film Martina Scorsese „Po godzinach”. Oba obrazy zbliżone są, jeśli chodzi o poetykę — równoprawnym partnerem aktorów jest miasto-moloch, groźne, zimne i zwodnicze; dzieło Scorsese w sposób błyskotliwy i ekwilibrystyczny ukazuje również fascynujący, jak i dręczący świat nocnego życia Nowego Jorku. Bohaterem opowieści, w stylu i charakterze zbliżonej do świata absurdu Kafki jest Paul, urzędnik bankowy, wiodący nudny i schematyczny żywot. Tak jak Alleja w Krainie Czarów, przechodzi on na drugą stronę lustra; jazda tak-sówką rozpoczyna pasmo nieprawdopodobnych przygód. Paul zostaje uwieczony w świecie nie-możności, w którym ludzie ulegają gwałtownym przeobrażeniom, żyjącym, bezroska i uśmiechem przemieniają się w agresję i żądze mordu. Owego świata malowany jest w poetyce surrealistycznej, halucynacyjnego snu, gdzie wszystko jest możliwe: od kelnerek odpowiadających pirzetami na pytania gości, po żywą rzeźbę, gdy przebrany za posag Paul umyka z rak prześladowców. Obojętny wybrany reżyserii Scorsese i sztuki operatorskiej Michaela Ballhausu dodatkowa zaleta filmu jest aktorstwo, zwłaszcza kreującą główną rolę Griffina Dunne; widz na długo zapamiętuje jego szeroko otwarte oczy, gdy nierzeczywisty Kandyd, ze zdumieniem uczy się reguł Nowego Świata.

„Pożegnanie z Afryką” to czarna satyra Sidneya Pollacka, z której osiem figuruje na liście przeobrażeń kasowych wszechświata. I to dzieło liczyć może na obywatelską popularność u widzów, w czym zapewne pomoże śledem Oscarów. Jest to z pewnością utwór zrobiony na najwyższym poziomie profesjonalnym z trzema świetnymi kreacjami, urokliwymi zdjęciami i dobrą muzyką. Jednakowoż ów pełen rozmachu fresk rozczarowuje, gdyż jego przesłanie intelektualne jest słabe; nie polecać Karen Blixen, sentymentalnego zapisu i interesującego studium afrykańskiego folkloru, obyczajów, stosunków kolonizator-tubylce, Pollack wykreślił marginalne wątki melodramatyczne i przygodowe, przez co pod bardzo „ładnym”, estetycznym opakowaniem kryje się pustka.

Jednym z najwybitniejszych filmów Konfrontacji była „Misja” Rollanda Joffe’a, twórca również wspaniałych „Pół śmierci”. Jest to opowieść o misji jezuitów nawracających Indian, jednocześnie dająca im schronienie przed handlarzami niewolników; jest to refleksja nad znaczeniem Starej Europy, nad jej wszechwładną ekspansją i utracą wpływu; powraca też tu elementarny dekalog wartości humanistycznych oraz pytanie czy zawsze cel uświęca środki. „Misja” stanowi jakby mistrzowskie połączenie intelektualnych i etycznych rozważań z prawdziwie piękną formą. Widowiskowość dzieła jest wprost oszałamiająca. Joffe wywarował zmysłowy świat, poczarował od pierwszej sceny, gdy krzyż z przywiązaniem do kapłana runie w dół kipiącego wodospadu, po finałowej scenie bitwy, gdzie obaj przyjaciele protagonistów, jeden — zwolennik pokory drugiego sili, wplątani w diabelne interesy, podzieli polityczne i intrygi między dworami europejskimi, giną od kul wspólnego wroga. Porywa swą urodą i symboliką scena, w której Jeremi Irons grą na flecie pozyskuje zaufanie Indian. Prosta muzyka oddziaływała i w swolsty sposób ujarzmiła tych, którym nie znane są wszelkie fałszywe deklaracje, poglądy i przyjaźnie. Istną kreacją aktorską twórcy Robert de Niro w roli najemnika, dobowolnie przynajmującego pokutę i wstępującego w szeregi jezuitów. Zakonny habit jest obcy temu przyzwyczajonemu do żołnierski człowiekowi czynu, u-wiera, niczym zbyt ciasny but; zachwycą zwłaszcza sekwencja podróży de Niro do odległych terenów misyjnych, gdy ciałem za sobą potężny wór ze zbroją i bronią, atrybutami dawnego, odrzuconego życia.

Po obejrzeniu Konfrontacji rozdzieli się smutna refleksja: kino artystyczne przechodzi poważny kryzys, jest to deflacja obrazów przez deflację techniczną, pod względem technicznym, jak i konwencjonalnym, bądź akademickim i w rezultacie pustych. Na ile repertuar, który dominuje w kinach na całym świecie (tytuły tegorocznych Konfrontacji) sprawia wrażenie wyboru dokonanego przez dziełca niedyktującego DKF. I wydaje się, że od idealizacji w swych intencjach działy tracą z roku na rok kontakt z filmową rzeczywistością za szkodą dla samych Konfrontacji i dla coraz bardziej zdezorientowanych widzów.

XXVII Kaliskie Spotkania Teatralne

MAREK BIELACKI

Dziesięć dni (od 2 do 11 maja 1987 roku) przyjął uwagę publiczną, serwując w tym roku widzom pokątną dawkę rozmaitych propozycji w różnym guście i gatunku. Główny nurt tworzyły — jak zawsze — przedstawienia konkursowe, w których ocenie podlegała przede wszystkim gra aktorska. Stwierdzenie, że przedstawienie jest oceniane, jest osierdzeniem, w którym kryje się istota sztuki teatralnej. W szranki kaliskiego turnieju stanęli aktorzy siedmiu teatrów: Polskiego z Warszawy, Polskiego z Bydgoszczy (po raz pierwszy), Starego z Krakowa, Powszechnego, Nowego oraz im. Jaracza z Łodzi, a także ekipa gospodarzy z Teatru im. W. Bogusławskiego. Kryteria doboru repertuaru konkursowego zawsze pozostają tajemnicą organizatorów, a zdziwienie wywołane jego kształtem będzie udziałem widzów i krytyki.

Za całkowite nieporozumienie uważa należy prezentację Teatru Polskiego z Bydgoszczy, która była sztuką Aleksandra Gelmiana „Stuknięta”, wyreżyserowana przez Aleksandra Grigorjana. Rzecz ta — opowiadająca o losach młodej dziewczyny, Zinuli (dyspozycji na wielkiej budowie) usunętej z pracy w wyniku intrygi i dochodzącej swej racji i szukającej sprawiedliwości — pozbawiona jest całkowicie dramatycznej nerwu, a w inscenizacji (pomysłowej raczej jako filmowy montaż, a nie teatralny spektakl) razi natrętnym, „ostinatowym” powtarzaniem tych samych, niewiele znaczących w istocie kwestii („Beton, gdzie jest beton? co jest do cholery z tym betonem? dajcie beton”, bądź też „Zinula, no chodź Zinula, no co się wygłupiasz? Zinula, no chodź Zinula”, „Zinula” Gelmiana wydaje się w swej warstwie literackiej i problemowej tylko słabym cieniem wcześniejszych sztuk tego pisarza. Za osobliwy udział wypadła ponadto fakt powierzenia funkcji przewodniczącego jury Jerzemu Koenigowi — autorowi przekładu „Stukniętej”, mającemu tym samym wyrokować o realizacji swego — po części — dzieła.

Rittnerowski „Wilki w nocy” w reżyserii Andrzeja Łapickiego i z jego udziałem (postać Prokuratora) zainaugurowały tegoroczny festiwal, będąc jednak dla kaliszzan w większym stopniu okazją do zobaczenia znanych aktorów Teatru Polskiego (m.in. Haliny Labonarskiej, Barbary Rachwałskiej, Marka Barbasiewicz, Janusza Zakrzęskiego) niż prawdziwej sztuki aktorskiej. W kuluarowych rozmowach i podczas sesji towarzyszącej festiwalowi wielokrotnie powtarzano słowo „bibiłot” jako synonim znaczenia, rangi i charakteru tego spektaklu i tak właśnie należałoby chyba całą rzecz skwitować. Odmienne odczucia przyniosła natomiast kameralna „Dom Bernardy Alba” w reżyserii Macieja Korwina, reprezentujący gospodarzy festiwalu. Niezwykle ascetyczny spektakl

ukazał istotę dramatu Lorke, obrazującego atmosferę domu pełnego kobiet nawzajem nienawidzących siebie i sobie złośliwych, skazanych na współzawziętą pod dyktando okiem tytułowej Bernardy (gościnnie wystąpiła Jadwiga Siennicka), spod której pieczy wyłameje się w rzeczywistości jedynie Adela (dojrziała rola młodej Aleksandry Ziubrak). Zbiórka kreacji dziełniczek aktorskich szczególnie dobrze wypadła w oryginalnych wnętrzach teatralnego foyer, które przy zwykłej oszczędnej scenografii sugestywnie oddawało charakter wnętrza hiszpańskiego domu. Zbyt słodko brzmiała natomiast w tej surowej scenerii muzyka, która pełniej harmonizowałaby z całością przedstawienia, przyjmując kształt oryginalnego flamenco, a nie licznych stylizacji melodii Północy i Beryjskiego.

Łódzkie spektakle wysypały się w Kaliszu jak z rogu obfitości, stanowiąc prawie połowę konkursowego repertuaru. Nie zawsze były to jednak najlepsze przedstawienia spośród spektakli pozostających w repertuarze poszczególnych teatrów. Teatr Nowy pokazał „Skapca” Moliera wyreżyserowanego przez Marię Kaniewską na jubileuszowy benefit Ludwika Benoit, Teatr Powszechny Corneille’owsko-Morystynowski „Cyda” w reżyserii Adama Hanuszewicza z udziałem Henryka Macalicy, a Teatr im. Jaracza — grana już od dość dawna — propozycja swej Małej Sceny: „Gorzkie i zły Petry von Kant” Rainera Wernera Fassbinder’a w reżyserii Grzegorza Mielickiego, epatujące widza scenograficznymi efektami tegoż, z którym w żaden sposób nie chciała korespondować walizkowa maszyną do pisania marki „Lucznik”. Prawdziwy entuzjazm wzbudziła natomiast — nagrodzona już wcześniej na tegorocznych Konfrontacjach Opolskich — komedia Adolfa Nowaczyńskiego „Wiosna Narodów w Cichym Bractwie”, wyreżyserowana przez Teatr. Utwór ten stanowi żartobliwa kwintesencja naszych narodowych postaw i zachowań, obrazując krakowskie społeczeństwo w przełomowych dniach kwietnia roku 1848. Reprezentanci wszystkich grup etnicznej społeczności uczestniczą — bądź chcą uczestniczyć — w narodowym zryw, sejmując, kłócąc się, flirtując, próbując pertraktować z urzędującymi reprezentantami władz austriackich (Tadeusz Huk jako baron Kriegl). Istotny element spektaklu stał się humor, słowny, wynikający z językowych kalamburów, tworzonych po mistrzowsku przez Nowaczyńskiego w dialogu reprezentantów różnych grup narodowościowych (Polacy, Czesi, Austriacy, Żydzi).

Na szczególną uwagę zasługują w widowisku parodia narodowego korowodu (kończącego akt drugi), w którym majestatyczny krok uczestników powstałych obrad (albo raczej powstańców targów) współbrzmia z przedziwną harmonią chórow, podejmujących kolejne wątki melodyczne

romantycznych patriotycznych pieśni (opracowanie Stanisława Radwana). Niezwykle funkcjonalna okazała się też scenograficzna konstrukcja autorstwa Urszuli Kenar. Obie prezentacje „Wiosny” w Kaliszu (8 i 9 maja) przyjęto owacją na stojąco.

Drugą nurt festiwalowych prezentacji stanowiły imprezy towarzyszące — w niektórych przypadkach o wiele ciekawsze od spektakli boryganych udział w konkursie. Prawdziwą furorę zrobił, prowadzony przez Andrzeja Dziuka, Teatr im. Stanisława Ignacego Witkiewicza z Zakopanego, dając w ciągu dwu dni aż cztery różne przedstawienia. Zakopaniecy rozpoczęli swą występy od „Cepersko-góralskiego skeczu”, czyli „Autoparodii” opartej na tekstach Witkacego, a pokazanej w sali Miejskiego Ośrodka Kultury. Spektakl ten (prezentowany m.in. przed rokiem w Łodzi podczas Dni Województwa Nowosądeckiego) wolał uległa przeobrażeniom, zachowując jednak swój zasadniczy schemat konstrukcyjny. Aurę całkowicie odmienną od niej przyniósł natomiast spektakl prezentowany tego samego dnia (4 maja) o północy: „Sic et non” — misterium oparte na tekstach korespondencji scenicznej Ronald’a Duncana „Abelard i Heloiza” w przekładzie Jerzego Sity. Miłośnicy dialogu dwójki kochanków zmuszonych do przywdziania szat zakonnych, prowadzony był w atmosferze klasztornej zamknięcia i liturgicznych śpiewów. Ten kameralny spektakl przeznaczony dla dwudziestu widzów oglądano w Kaliszu około sześćdziesięciu osób, a dla wielu gości festiwalowych zabrakło po prostu miejsca. Starczyło go natomiast na szczęście dla wszystkich dnia następnego, wieczorem na rynku, gdzie zakopaniecy przedstawiali plenerową widowiskową „Wielką teatr świata” według Calderona.

Ostatnim zakopanieckim spektaklem był „Caharet Voltaire”, który zgodnie z tytułem ukazywał kolejną sceniczną konwencję. Elementy komiksów i czarnego humoru, parodia kabaretowych chwytów teatralnych budowały nastrojów znakomitej zabawy. Kabaretowa aura tworzyła zresztą nie tylko poezję, „numery” spektaklu, ale i wystrój widowiska, gdzie publiczność posadzone przy okrągłych stołach, serwując sok porzeczkowy i nowaliki. Początek stanowił zresztą część prawie każdej prezentacji tego teatru, którego twórcy od początku do końca poważnie traktują swe zadania, solidnie przygotowując się do kolejnych występów. Sam sposób przyjęcia widza jest niezwykle zachęcającą formą zaproszenia do obejrzenia sztuki. Także przy wyjściu z teatru niemal każdy widz zegnany jest osobistym ukłonem, podziękowaniem i zaproszeniem do ponownego przyjęcia. Ten szacunek dla odbiorcy, wyrażony gestem i słowem przed spektaklem i po jego zakończeniu, znajduje swe potwierdzenie w solidności teatralnego rozmowa, zbiorowej pracy zespołu obejmującej nie tylko przygotowanie spektaklu od strony artystycznej, ale także wszelkie czynności związane z funkcjonowaniem tej placówki przywódczej na myśl dawne korporacje aktorów.

Entuzjazmu towarzyszącego występom zakopanieckich nie mogły niestety wywołać wszystkie pozakonkursowe prezentacje w Kaliszu. Rozczarowanie przyniósł wyreżyserowany przez Urszulę Mordewską-Bisłą spektakl Teatru Muzycznego z Gdyni „Brel” — w znanym także już z innych inscenizacji układzie tekstów Wojciecha Młynarskiego. Widownia to było raczej „odpiewaniem” i „odtańczeniem” piosenek Jacquesa Brel’a, a nie pełnym dramatycznym spektaklem teatralnym. Także recital Jacka Różańskiego z Poznania dowodził jednostronnością środków interpretacyjnych tego aktora (piosenki Włodzimierza Wysockiego), któremu osobiste śpiewanie nie polecam — zwłaszcza,

gdy musi on zenkać co chwila na plik leżących na podłodze kartek z tekstami.

Odwolane podczas Przeglądu Spektakli Dyplomowych w Łodzi przedstawienie „Mirandoliny” Goldoniego z krakowskiej PWSi w reżyserii Anny Polony, także nie musiało być prezentowane w Kaliszu. Zapewne „Bal w oparzu” Tuwima byłby w tym wypadku lepszą propozycją repertuarową spośród tegorocznych dyplomów tej szkoły.

Wśród imprez towarzyszących festiwalowi znalazły się także spotkania z aktorami (Andrzejem Łapickim i Anną Polony) oraz wystawy: „Dwadzieścia fotografii teatralnych” Romualda Sakowicza, „Malarstwo” Lidii Olaszyn-Mikolajczak oraz znane z Łodzi wystawy fotografii autorstwa Tomasza Machcińskiego „Człowiek o stu twarzach”. Jak co roku kaliskim spotkaniom towarzyszyła sesja teatrolologiczna, poświęcona zagadnieniom sztuki aktorskiej — organizowana tym razem pod hasłem „Konwencje teatralne i rzeczywistość”. Stanowiła ona przedwzięte przemierzanie rzeczy, pojęć i języków. Przybył na nią przede wszystkim krytycy oraz reżyserzy, próbując — raczej intuicyjnie — rozmawiać z sobą na „zadany” przez organizatorów temat. Pierwszego dnia sesji o „Konwencjach scenicznych” mówił Jacek Siemradzki, pojęcie młut aktora próbował scharakteryzować Janusz Majcherek, a Juliusz Tyszkiewicz starał się przybliżyć jeszcze raz „żelazny” temat — „metodę” Stanisława Wyspiańskiego. Tegoż dnia wieczorem w stylowych wnętrzach dworcu w Antoninie odbyło się uroczyste spotkanie uczestników sesji, przypominające trochę Hyde Park — jako że opuszczający już festiwal niektórzy reżyserzy za wszelką cenę pragneli zabrać głos w dyskusji, powtarzając to, co już zaryczywać udało im się powiedzieć podczas obrad przedpołudniowych. Mimo początkowych roźności krytycy i reżyserzy osiągnęli wreszcie consensus, stwierdzając, iż nie mogą żywić do siebie nawzajem żadnych pretensji — gdyż zgromadzeni tutaj osoby reprezentują jedynie prawdziwą krytykę (w odróżnieniu od „recenzentów podłej maści”) i dziennikarzy uprawiających „recenzentwo” oraz jedynie prawdziwą sztukę reżyserką. Po rzuceniu mickiewiczowskiego hasła z XII księgi „Pana Tadeusza” „Kochajmy się!” i wypiciu strzemiennego kółeczka o północy pierwszy dzień obrad. Dzień trzeci i ostatni to kolejne referaty: Elżbiety Baniewicz, Małgorzaty Dzieduszyckiej, Krzysztofa Kopki oraz Macieja Nowaka. Funkcje intermedium spełnił — odwołany z tamtych magnetowidów — ciekawy film Krzysztofa Domagallika o Grotowskim, zatytułowany „Pelen gusłarski obrzęd świętokradzki”. Zbyt duża liczba referatów praktycznie uniemożliwiła rzeczową i uporządkowaną rozmowę na ich temat — do czego przyczyniła się chyba także specyficzna „felletonowo-dygresyjna” poetyka wypowiedzi, których autorzy z góry zastrzegali, iż ich referaty nie pretendują do miana tezy, syntezy, uogólnienia, systemu etc. etc. Trudno oczywiście kwestionować potrzebę organizowania tego rodzaju sesji oraz konfrontacji krytyków z reżyserami — zadbaj o należałoby jednak w przyszłości o bardziej uporządkowany charakter programu i przebiegu obrad.

Mimo opóźnionej wloty także podczas tegorocznych spotkań w Kaliszu panowała na ogół dobra pogoda — co w połączeniu z pogodą ducha ich uczestników i jak zawsze gościnnymi gospodarzami tworzyło dobrą atmosferę festiwalu. Czekajmy zatem teraz tylko na jego następną 28 edycję do roku przyszłego.

— Ukłonił się nóżką, powiedział wujowi: dzień dobry, wuju — strofowała Helena, pochylając się.

— Dobry, wuju — niepewnie, z westchnieniem powiedział Myszajewskiemu Pietka Szczegół.

— Dzień dobry — ponuro odpowiedział mu Myszajewski, potem spojrział na niego z góry i dodał: — Sądząc z twojej fizjonomii, niezły z ciebie gasek.

Pietka Szczegół natychmiast złapał się za Helenę spodnie, siadając na niej, usta wydał jak balonik, nadasał się.

— Ach ty dragalu, no ty dragalu zdrajco, dlaczego drażnisz się z dzieckiem?

— Cego drażnisz? — wyrykiwał nieprzyjaciół Pietka.

Szerwiński, Karaś, nawet Helena zaśmiali się. Pietka schował się za spódnicę, tak że wystawała tylko jego lewa noga w trzewiku z tępych nosów i odświętnych białych spodenkach.

— Nie słuchaj ich, nie słuchaj, malutki, oni są niegrzeczni — mówiła Helena, wyłuskując Pietkę z fałd spódnicy — spójrz na choinkę, zobacz, jakie świąteczna.

Pietka wygrzebał się ze spódnicy, skierował wzrok ku światłom choinkowym. W ich blasku cały pokój lśnił, mieniał się, rozciągając zapach lasu, lśnił. Dziś.

— Dać mu pomarańczę — Wzruszył się Myszajewski. — Dać.

— Potem pomarańczę — rozporządziła Helena — a teraz chodźmy tańczyć. Wszyscy. Chcesz tańczyć? No, dobrze.

Zakolysała się portiera i do pokoju wszedł Turbin. Był w smokingu odświeżającym szeroki biały kołnierz, z czarnymi spinkami. Włosy, ostrzyżone do góry skóry w czasie tyfusy, zaczęły już odrastać, gładka wygolona twarz miała cytrynowy odcień, podpieriał się łaską. Byszczące oczy od choinkowych światełek rozbiły się jeszcze mocniej. W ślad za Turbinem pojawił się Lariosik, i też w smokingu. I co najważniejsze — zdobył nie wiadomo gdzie; wszyscy wiedzieli doskonale, że bagaż Lariosika takiej garderyby nie zawierał. Jak wielkie chomato wisiał na jego szyi wykładany krochmalony kołnierz z czarną wstążką zawiązaną w muszkę, a z rekawów wylazły sztywne mankiety ze spinkami w kształcie końskiego pyska ze szpicrutą. Lariosik dwa dni biegał po całym mieście w końcu zdobył smokingu, dowiedziawszy się, że jest to kwestia pryncypalna. Petlura — to kamalia. Niech nawet dziesięciu Petlurów będzie w mieście, lecz tutaj, pod dachem Anny Władimirowny, nie mają żadnej władzy. Chociaż ściany jeszcze czuć formalinę, chociaż przez tę diabelną formalinę nie udało się pierwszą choinkę w Wigilię, wyjdzie druga, i ostatnia, dzisiaj, w Wigilię Święta Chrztu Pańskiego. Będzie, jest i oto on, Turbin, wstał wczoraj, żółty, i jego rana cudownie się goi. Nadzwyczajnie. To nawet Janczewski powiedział, a on, że niejedno już w swoim życiu widział, wie, że cudów nie ma. Bo wszystko jest cudem.

Na nikim smokingu tak nie leżał, jak na Myszajewskim. I nie wiadomo, w czym tkwi sedno sprawy. I nienow, i plastrony raczej klepskie, a i tak wszystko razem jest w dobrym stylu. Na pewno spodnie ma świetnie krojone. Wzrost takiego Lariosika — temu jakos nie dobrać w smokingu, wyraz twarzy trudno dopasować do smokingu, i cały czas ma się wrażenie, że szelki wyskoczą przez rozcięcie kamizelki, a Myszajewski porusza się swobodnie, zamasyżuje, nie przybiera umyślnych wyrazów twarzy, a i tak od razu można go brać do fil-

Nazwisko Michaiła Bulhakowa (1891-1940) łączy się najczęściej z „Mistrzem i Malgorzatą”. Ta powieść wydana w dwadzieścia siedem lat po śmierci pisarza stała się przedmiotem czytelnich uwielbienia, analitycznych rozróżnień badaczy i krytyków na całym świecie. Jakby przesłoniła wszystko inne, co w dorobku Bulhakowa jest równie ciekawe i ważne. Gdyby chcieć wartościować całościowo literackie dokonania tego wybitnego pisarza podobnie wysoko jak „Mistrza i Malgorzatę” należałoby ocenić „Białą gwardię”. Dzieje tej powieści są również dramatyczne i powikłane jak arcydzieło o Mistrzu i Malgorzacie.

Miała być początkiem trylogii, którą zaczął pisać Bulhakow w 1923 roku. Pierwsze rozdziały ukazały się w dwa lata później w czasopiśmie „Rossija”. Pisarz mając kłopoty z dokończeniem publikacji pierwszej części zamierzonej trylogii zrezygnował z jej pisania. Na kanwie gotowego pierwszego tomu, czyli „Białej gwardii”, powstał dramat „Dni Turbiny”, a sama powieść — czy właściwiej — jej zakończenie uległo rozmaitym autorskim przeróbkom. Ostatnia, trzecia część „Białej Gwardii” ukazała się w 1929 roku w Paryżu z akceptacją pisarza. I to jest ostatni tekst autorski, według którego drukuje się powieść po dziś dzień (polski przekład I. Lewandowskiej i W. Dąbrowskiego ukazał się w 1972 roku, II wyd. w 1974). Tyle tylko, że to publikowane dotąd zakończenie „Białej gwardii” zostało zdezorientowane finałem sztuki „Dni Turbiny”.

Dopiero ostatnio Marietta Czudakowa, wybitna znawczyni twórczości Michaiła Bulhakowa, ogłosiła na łamach „Nowego Mira” (nr 2 z r. 1987) zakończenie powieści według pierwotnego tekstu, który powstał zanim pisarz stworzył „Dni Turbiny” (tam też szczegółowo objaśnia perypetie związane z „Białą gwardią”). Uważam, podobnie jak M. Czudakowa, że będzie interesujące dla Czytelników zobaczyć bohaterów „Białej Gwardii” zanim jeszcze padli na nich blaski światła rampy w spektaklu „Dni Turbiny”.

Rozdział 19, który „Odgłosy” drukują po raz pierwszy po polsku, wchodził po rozdziale 18 kończącym się akapitem: „Wygołony lekarz niezbyt pewnymi palcami zebrał resztki mięśni i wbił Turbinowi w ramię igłę małej strzykawki. Na czoło wystąpiły lekarzowi drobne kropelki. Był wzruszony i wstrząśnięty” (s. 296 według II wydania z r. 1974) i zastępował w znanej dotąd wersji rozdziały 19 i 20.

(GRZEG.)

Po raz pierwszy po polsku nieznane dotąd, pierwotne zakończenie znakomitej powieści.

Biała gwardia

MICHAŁ BULHAKOW

mu, i tylko jedno psuje ten obraz: obce Myszajewskiemu zamieszanie, podstępne niepokojem. Zagnieżdżyło się w trzech zmarszczkach na paterystycznym czole i w niespokojnym wzroku. No i tak: to ożywił się Myszajewski, to nagle zachmurzył i zamyślił. O co chodził — nikt nie wie. W każdym razie, kiedy Nikołka na piecu w jadalni wykonał aktualny napis chińskim tuszem:

„Por. Myszajewski dokonał próby wychowania dziecka w wigilię Święta Chrztu Pańskiego 1919 roku. Rodzinny z niego człowiek” — Myszajewskiemu ten napis się nie spodobał. Zachmurzył się jak obłok, poruszył ustami.

— Ty coś ostatnio zacząłeś dowcipkować.

Nikołka mocno się zaczerwienił.

— Witienka, jeśli ci się nie podoba, to zetrę. Obrazileś się?

— Nie, nie obrazilem się, tylko po prostu ciekaw jestem, co się tak rozkazywało. Jakś chorobliwie wesół jesteś. Mankietki wysunęły. Wyglądasz jak pan młody.

Nikołka zapłonął malinowym ogniem, a jego oczy utonęły w jeziorze zmieszania.

— Na Mało-Prowalną za często chodzisz — Myszajewski kontynuował dobijanie przeciwnika sześciolowymi kulami — zresztą, to do brzo. Bądź rycerzem, podtrzymuj tradycje Turbinów.

— Nie rozumiem, Witienka, o czym mówisz — wymamrotał Nikołka. — Na jaką znowu Prowalną?...

— Na tę samą... Wyjdź do gości.

Dzwonek zagrzechotał wysoko w przedpokoju i w sercu Nikołki. W salonie urwały się pod palcami Heleny akordy 2 rapsodii.

— Bardzo się cieszę, bardzo. Pozwoli pani sobie przedstawić. Sami białogwardziści.

— Tak u państwa odświeżenie, nie byłam na to przygotowana. Czuję się wprost skłębowana.

— Ależ o pani. Proszę nie zwracać uwagi. Sami swoi. Smokingu to dla zasady. Z powodu Petlury.

— Rewolucji społecznej — wtrącił Myszajewski.

Irina Nay, cała w czerni i kirze, szczupła, biała obok wspaniałej Heleny, mieniącej się złotem i w choinkowych ognach przypominała świecę spowitą w krepę. Nikołka płatał się gdzieś bez sensu za plecami przedstawiających się. Zdało mu się, że ręce i nogi ma niewygodnie i niezgrabnie przykrecone i to w niewłaściwym miejscu. Kołnierz wrzynał się w szyję. Był w mundurze uczniowskim: Karaś też nie miał smokingu, lecz krótki surdut i pasiaste spodnie, przez co też Karaś przypominał młodego fortunnego przeciwnika. Szerwiński też nie był w smokingu. Ale za to tylko Szerwiński mógł zaćmić wszystkich tamtych w smokingu. Szerwiński we fraku. Ale bo też to był frak. Litosc. Po pierwsze, prawa strona płaszczy pokaźniejsza, z przeproszeniem, jak papierowa falbanka na szynce, w półkieszyu kamizelki tkwiło coś błyszczącego kolorowym jedwabiem, przypominającego gwiazdysty sztabar prześwietlonych Stanów Zjednoczonych. Spina-

kie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Oznaczało to przykład, że ja, dziecko samotne, byłem dosłownie przekazywany z rąk do rąk po to, abym mógł przeżyć. Pomagano mi, i to była opozycja wobec zła. Ale lu-

dzie, którzy wprowadzili w życie politykę terroru to nie były aniołki. Oni doskonale wiedzieli, że ta ich straszna polityka terroru mogła być prowadzona w bardziej ludzki sposób. A jednak dodawali do niej niepotrzebne okrucieństwo. Były przypadki sadyzmu. Pamiętam pewnego majora KGB, który gdy moja matka miała być uwolniona, przetrzymywał ją jeszcze przez miesiąc, zanim dał jej zezwolenie na powrót do Moskwy i ponowne spotkanie z synem. Niektórzy popełniali samobójstwa, ponieważ sądzili, że już nigdy nie będą mogli powrócić do domu. Oto dlaczego sądzę, że chociaż w filmie tym dokonano ogromnego kroku naprzód, należy jeszcze zbadać naturę władzy, dyktatury, kultu jednostki, tak jak wyglądało to w różnych krajach. Chciałbym, aby sztuka zrodziła jeszcze dzieła, nie jedno, ale wiele dzieł, które podjęłyby studium nad typowymi cechami naszej dyktatury.

— „Pokuta” to nadzwyczajny film. To ogromny krok dokonany przez naszą kulturę i sztukę. Ja sam jako dziecko przeżyłem takie same doświadczenia, jak dziecko będące bohaterem filmu: wiem, co oznacza najście ludzi na dom, którzy uprowadzają ze sobą członków rodziny. Wiem, co to znaczy sterczeć gdzieś w koleżkę, aby dowiedzieć się czegoś o swych najbliższych. Wszystko to można zobaczyć w tym filmie i dlatego jest to film rewelacyjny, ale mnie jeszcze tego mało. Chciałbym zobaczyć realistyczny film na ten sam temat, aby moja córka i mój wnuczek zatrzęśli się ze strachu. W filmie ciągle jeszcze zło ukazywane jest jako coś fantastycznego, pięknego. Rozumiem wszelkie racje, ale ja dobrze pamiętam tych ludzi, i nie byli oni pięknymi. Również w ówczesnych warunkach były różne tendencje. Byli też tacy, którzy przeciwstawiali się. Co wówczas oznaczało to przeciwstawianie się? Ozn

Polemiki • Listy • Opinie

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE CZYLI SAVONAROLA ŁÓDZKI

Od czasu do czasu któryś z publicystów łódzkich jak zbudzony nagle lew zaryczy i pocnie obelgami obrażać miasto swoje. A już osobliwie, jeśli jest publicystą kulturalnym (tj. pisuje o kulturze, sam niekoniecznie będąc uosobieniem kultury ani w życiu prywatnym, ani w swej twórczości), to będzie ci młotał przekleństwa i najgorsze wyrazy powtarzał po kilka razy. A to mu teatr nie dogodzi, a to filharmonia, a to znów wystawa czy wydawnictwo. I dobrze, jego (tj. publicysty kulturalnego) prawo. Przez te jego obelgi i ryki nikomu krzywda się nie stanie, a może się stać co, do tego: a to decydują jak się wzruszy, iż uroń nad ubóstwem kulturalnym naszego „grodu nad Łódką”, jak to cudnie piszą co wytrawniejsi mistrzowie pióra, a to ktoś trzosem potrząchnie i wyściuboli jakie stypendium czy co.

Toteż publicystów, co to gniazda kałaja popieram i za krytykę się opowiadam. Ale... Ale zdarza się, że któregoś, zwłaszcza co młodszych, temperament poniesie, talent mu czaszek rozsądzi, przez co „oleum” z tejsze wycieknie i wtedy mamy do czynienia z krytyką totalną i bezkompromisową, z której jedna tylko konkluzja się wyłania: Łódź jest trójkątem (?) bermudzkim kultury, tu się nigdy nic dobrego nie zdarzyło, nie zdarzy i zdarzyć nie ma prawa. Miasto zaraża, miejska radę co do jednego wystrzelać, resztę mieszkanców ciupaszem deportować do Suwałk albo Przasnysza, niech się tam kultury wielkomięskiej ucza!

Już był — przynajmniej ostatnio — spokojny pewien, już się wydawało, że ten gatunek wymarł, rozjechał się do miast godniejszych, albo też znalazł sobie zajęcie bliższe mu intelektualnie i bardziej dochodowe, jako to pasanie bydła, albo zmywanie garów w drugiej strefie płatniczej.

Niestety, jest to gatunek żywotny i by mu odrastać jak Hydrze mitologicznej. Ostatnio lew mu nagle odrósł w miejscu najmniej oczekiwanym, bo w „Biuletynie Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego”. Napisał ci był w tymże. Składają szanownym wydawnictwie wielce szanownej organizacji politycznej, paszkwił na kulturę łódzką niejaki J.O. Nie jest, o nie jest ów J.O. demokratą, przeciwnie, istny to arystokrata ducha, tak, iż mniemam, że literki „J.O.” tłumaczyć należy na „Jaśnie Oświecony”. Jaśnie Oświeconemu Łódź kulturalna śmiesz i do wzdęcia ów smrodek wykazuje w uroczonym essay'u pod pokrętnym tytułem „Łódź bez ciągów do kultury”. Na wstępie J.O. podiera się wykoślawionym cytatem z Tuwima i sugeruje czytelnikowi (chytra sztuka), że Tuwim akurat łódzian miał na myśli pisząc o „strasznych mieszkaniach” i „strasznych mieszczanach”. Że to igrzawo i manipulacja dowodzi lektura wiersza Juliana Tuwima. Tamże nieprzekreślony cytat.

Potem następuje drugi cytat, bez wymieniania autora. Tusze, że J.O. cytuję siebie, pewnikiem z publikacji poważnej swego autorstwa i tylko skromność nie pozwoliła mu zlokalizować cytatu. Cytat ów brzmi: „No to pospacerujcie sobie ludziska po mieście Łódź. Wejdźcie proszę do kilku łódzkich podwórek-studni. Latem idźcie do łódzkich parków w ciepłe, niedzielne popołudnie i zobaczcie te baby w halkach. Wstąpię następnie do łódzkich teatrów, obejrzyjcie łódzkie wystawy, poczytajcie „Odgłosy”, a sami przekonacie się, co to jest Łódź”. Zacytowałem te trzy zdania in extenso, aby czytelnikowi dać próbkę wykładowego stylu J.O., który w innym miejscu tak pożytych nowatorstwa stylistycznego ukazuje śmiało: „...opinia o Łódzi jest taka ponura. Mówi się wręcz: Ten kołos przygniata szaryzną.”

Priest! niewoobrazajma... to krótkie, męskie „Mówi się wręcz”. I krótko. I nowe zdanie...

Jest J.O. miłośnikiem administracyjnych metod uzdrawiania życia kulturalnego. Pisz m.in. „Tu się ludzie rodzą, podrastają a potem... hul do Warszawy”. A nieco dalej: „Łódź jest miastem filmu polskiego (ale żaden z twórców tej sztuki nie mieszka w Łódzi)”. Recepta J.O. jest prosta: przymusowe zameldowanie artystów i już nie będzie żadnych „hulów do Warszawy”. Robisz w Łodzi? W Łodzi mieszkaj!

Najbardziej dręczący wrażliwego J.O. przemysł i piłka nożna. W nich — powiada — największe zagrożenie dla kultury! Jakże to taki: gazety piszą o sporcie codziennie, a po co — pyta J.O. — „obnosić się z każdym golem — jak z czymś świętym? Każdego strzelca bramki pokazywać w telewizji?”

Piłkarz szczerze przyłacza nie tylko kulturze. Naukę też: „gdzieś za bajorkiem, za połamanym piórem na peryferiach miasta i większych zainteresowań ze strony przemysłu żyją sobie i pracują łódzcy uczeni...”

Za bajorkiem! Za połamanym piórem! Wielka jest potęga słowa pisanego przez J.O.! Czytelnik gotów uwierzyć w demoniczną potęgę piłki nożnej. No bo — jak pisze J.O. — „jeszcze się nie zdarzyło, żeby pożytkany piłkarz dla pierwszoligowej drużyny piłkarskiej od ręki nie otrzymał godziwego mieszkania. Z podobnych przywilejów w dziejach powojennej Łodzi nigdy nie korzystał żaden uczonec ani artysta. To także miara poziomu miasta”.

Pomijając drobna bełkotliwość pierwszego zdania: „piłkarz dla pierwszoligowej drużyny piłkarskiej od ręki...” (interpunkcja i szyk oryginalne), to przyznać trzeba, że jest to sąd równie sugestywny jak kłamliwy...

Im dalej, tym śmieszniej. Kolejny akapit poematu heroicznego pióra J.O. zawiera program autora. Program do realizacji przez decydentów łódzkich. Program ma poetycką formę, formę marzenia...

Oto znaczący fragment (marszy poeta J.O.): „Jeden z łódzkich decydentów był po prostu szalony na teatr. Ze wszystkich aktorami był na ty, chadzał na premiery i najgłośniej oklaskiwał. Wpadał za kulisy i posyłał kwiaty aktorom. Ba, chadzał z aktorami na wódkę. A z tej szalonej miłości do teatru — zbudowano w Łodzi jeden teatr, drugi, trzeci, czwarty i piąty... Zmilił się pan, panie J.O.! Ile tych teatrów ma przedstawiać szalony decydent? Przy okazji: zejść pan na ziemię — teatry buduje się, jak dotąd przynajmniej, z cegły raczej i żelbetu, niż „z miłości”. Nie wiem, jak tam czytelnicy, ale ja bym wolał, żeby łódzki decydent miał więcej zdrowego rozsądku, postawił np. jeden teatr, czy lepiej filharmonię, a poza tym trochę mieszkań, jakiś szpital, przedszkole i może kilka sklepów? A na wódkę to niech on chodzi z kim chce. Chocby z J.O. Kwiaty też mu może posyłać, jego sprawą...”

Obiektów kultury się w Łodzi nie buduje. Dlaczego — wyjaśnia to J.O. tonem nie znoszącym sprzeciwu: „Ani to młyny, ani młeczarnie, ani przedalnie”. Gdzieś pan, panie J.O. widział w Łodzi jakiś nowy młyn?

Dajny spokój drobiazgom. Kończy swoje wypracowanie zacytowany J.O. tzw. apelem do sumienia. Do czyich? Ano, wie pan autor na czym chlebnie żyje i liczy wyłącznie na... rzemieślników. Wszak już postawił pomnik Reymontowi! Może postawi i te pięć teatrów? J.O. załatwi! Zrobi co może: „Trzeba pogadać z któryś z radnych miasta Łódź. Może z klubu SD? Pogadam”. Póki J.O. nie pogada, nadal straszny nas będzie ponura wizja „baby w halce” czytającej „Odgłosy” na „podwórku-studni”. Koszmar... Może się przysnił. Mnie się już przysnił. I jeszcze śnił mi się J.O. jak robi „hul” aż do Warszawy. Tak! „hul”! Jak z Łodzi do Warszawy...

ANDRZEJ KAROL

RAPIER I PIÓRO

Jestem zagorzałym zwolennikiem talentu Andrzeja Makowieckiego, zawsze jednak wolaniem jego dźwięki zwarte, niż tak zwane enuncjacje prasowe. Kiedy wszakże znajomi powiadomili mnie, że zostalem zaszczyczony relacją Maksa na łamach „Odgłosów”

(nr 19/1519), szarpnąłem się na 25 zł i zakupiłem łódzki tygodnik, którego poczynania śledzę od paru lat za pośrednictwem „Polityki”. O ile więc mój powrót do Związku Literatów Polskich miał charakter dobrowolny, o tyle na kolumnie polemiki „Odgłosów” drukuje się nie z własnej bynajmniej inicjatywy, lecz wywołany niejako do tablicy. Z lekiem też myślę, że rapierowi Makowieckiego mogę przeciwstawić jedynie własne pióro, a piórku Janusza Szymańskiego-Glancza literalnie nie.

Gawęda jest uprawianym gatunkiem dziennikarskim, nawet wówczas, gdy chce się dzięki niej odzyskać zgubioną w nocnej taksówce brazylijską torbę i powiadomić czytelnika o zjedzeniu z Ryszardem Kapuścińskim śniadania w hotelu „Europejskim” w Warszawie. Sama w sobie jest to informacja dość banalna, rzetelność dziennikarska nie pozwoliła jednak Makowieckiemu napisać, że schrupał tam Ryszarda Kapuścińskiego i popił piwem, choć dopiero to byłoby wydarzeniem godnym druku. Wrodzona skromność powstrzymała też Maksa przed cytowaniem jadłospisu, toteż ku memu żalowi nie dowiedziałem się, czy spał zował Eier auf Wiener Art, czy też zadowolili się Rührreier mit Butter. Ze względu na reformę gospodarczą, dobrze też byłoby wiedzieć, ile ta przyjemność kosztowała i kto płacił. A może, jak przystało na dzentelmenów, każdy wniósł swoją dolę?

Napisałem „swoją dolę” i przeraziłem się nieco, że moje pióro zaczyna „szepieć”. Cóż, nie dziwnego, język Makowieckiego jest tak sugestywny, iż mimo woli gdzieś w podświadomości zaczyna się odkładać charakterystyczne dla stylu tego autora epitet i związki łączliwe. „Dobrowa zgrała bramkarzy, szatniarzy i kelnerów”, „srogi wykiadało”, „szczerzące się zęby” (czasem użebienie) itd. itp. Nie mogę mieć więc szczególnych pretensji, że relacjonując moją wypowiedź w Związku Literatów, Maks robi to z właściwą mu elegancją. „Styl to człowiek”, miał oświadczyć jeden z francuskich monarchów, a casus Makowieckiego potwierdza nieśmiertelną prawdę tego stwierdzenia.

Jeśli więc w ogóle zabieram głos, to jedynie dlatego, że chciałbym w skrócie powtórzyć swoje argumenty przemawiające za przyznaniem Nagrody Miasta Łodzi Antoniemu Szramowi, które podniosłem na zebraniu ZLP. Pomijając fakt, że jest autorem pomnikowego albumu „Architektura Łodzi przemysłowej” i paru innych publikacji znaczących nie tylko dla naszej lokalnej kultury, położył nieocenione wprost zasługi w dziedzinie ochrony łódzkich zabytków. To on, dzięki swojej pasji, ale także i rozległej wiedzy uratował przed zagładą ulicę Piotrkowską i inne ewklawy Łodzi o niezaprzeczalnej wartości architektonicznej inspirowanej siłą uchwalej Rady Narodowej. Następnie stworzył od podstaw Muzeum Historii Miasta Łodzi czyniąc je żywą placówką oddziaływania kulturalnego. Z równą pasją wziął się teraz za tworzenie Muzeum Kinematografii.

Pomijanie takich ludzi przy rozdawaniu nagród miejskich jest wyzywaniem raczonemu całej Łodzi kulturalnej i artystycznej i nie najlepiej świadczy o kompetencjach osób decydujących o przyznawaniu tych laurów. Wadliwy musi być regulamin tych nagród, skoro możliwe są takie błędy, a mogłoby podać wiele innych krzywdzących sygnałów niekompetencji komisji selekcyjnej (szkoda, że anonimowej). Przykład Szrama posłużył mi do ukazania mechanizmu marnowania od lat szansy uczynienia z wyróżnień miejskich precyzyjnego instrumentu polityki kulturalnej. I to właśnie wyartykułowałem w swojej wypowiedzi.

Aż dziw, że Makowiecki tego nie zrozumiał. Albo się w tym momencie zdręźniał, albo tak bardzo przeżywał utratę brazylijskiej torby, że przeszło mu to w koncentrację. Jego lekceważąca wypowiedź utrzymana jest w takim tonie, iż właściwie powinno się pominąć ją milczeniem. Nie robię tego dla dobra sprawy: bo prestiż łódzkiej kultury jest dla mnie ważniejszy niż drwiny i polajanki, na które w przyszłości, być może, naprawdę zasłuży.

KONRAD FREJDLICH

CZEGO OCZEKUJĘ?

Spełnieniem moich marzeń byłoby móc przeczytać w „Odgłosach” artykuł o zanieczyszczeniu powietrza atmosferycznego na terenie łódzkiej aglomeracji, ze szczególnym uwzględnieniem związku przyczynowego, jaki zachodzi między funkcjonowaniem komunikacji autobusowej MPK a stanem naszego zdrowia.

Serdecznie zapraszam na ulicę — dla przykładu Próchnika w chwili, gdy z autobusowego przystanku ruszy jednocześnie kilka czerwonych pojazdów. Wspomniany artykuł mógłby zwrócić powszechną uwagę na powolny i na razie nieuchronny proces umierania. Nie pomylił się chyba głosząc tezę, że zafundowaliśmy sobie badaj najdroższy transport — placąc zań zdrowiem własnym i naszych dzieci.

Prasa — to jedyna możliwa droga w chwili obecnej. W chwili, gdy nikt nie śledzi w podobnej sprawie do środków prawnych, przewidzianych nie tylko w ustawie o ochronie i kształtowaniu środowiska z 1980 r., ale i od dawna w kodeksie cywilnym. Urząd przyzywał nas do swej bierności i nikt już o nim nie myśli jak o sprzymierzeńcu. Społeczeństwo przyzwyczało mnie do swej obojętności, więc nie jestem na tyle naiwna, by sądzić, że stać jej na masową akcję protestacyjną (najlepiej przemarsz ulicami Łodzi w maskach przeciwwydechowych). Pozostaje nadzieja, że wspomniany artykuł wywoła burzę równą tej, którą wywołał cykl artykułów „Nasz Bełchatów”. Byłaby to moja (wprawdzie połowiczna — ale!) satysfakcja. Oto czego oczekuję.

BEATA K.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

W WALCE O SZKOŁĘ ŻYCIA

W „Konkursie na wspomnienia działaczy ruchu młodzieżowego”, ogłoszonym przez Komisję Historyczną Rady Wojewódzkiej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach w roku 1981, pierwszą nagrodę za wspomnienia o Włodzisławie Strzeleckim w Bryskach koło Łęczycy zdobył Włodzisław Strzelecki. Pracę tę pod tytułem „Tacy byliśmy” wydał Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach w roku 1986.

Idea uniwersytetu ludowego, przeniesiona na początku XX wieku z Danii na teren Polski została przetworzona i przystosowana głównie do potrzeb wsi i stała się specyficznym polskim typem uniwersytetu ludowego.

Spośród wielu wzorem społeczno-ideowym, organizacyjnym i wychowawczym stał się Wiejski Uniwersytet Orkanowy, działający w latach 1924–1939, najpierw w Szycah pod Krakowem, a potem w Gaci Przeworskiej, kierowany przez wybitnego pedagoga, inżyniera-rolnika Ignacego Solarza.

Wspomnienia Włodzisława Strzeleckiego, zawarte w pracy „Tacy byliśmy”, świadczą, jak szeroko i jak silnie oddziaływał program Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego. Autor jakby spełniał wolę twórcy Wiejskiego Uniwersytetu Ludowego, głosząc we wstępie do wspomnień: — „Chcę przyczynić się do ukazania rewolucyjnej przeszłości młodzieżowego ruchu ludowego Ziemi Łęczyckiej. Chcę pisać o Wiejskim Uniwersytecie Ludowym w Bryskach, o jego walce i pracy”.

„Tacy byliśmy” Włodzisława Strzeleckiego, to zapis jego autentycznego udziału w walce o istnienie i utrwalenie „szkoły życia” w Bryskach, atakowanej zawzięcie przez zorganizowane siły wsteczne.

Już po pierwszym roku istnienia — ocenia Włodzisław Strzelecki — Wiejski Uniwersytet Ludowy w Bryskach zdobył sobie miasto siedliska wszystkich, co postepowe w myślach i czynach, do którego z całego powiatu łęczyckiego, z całego województwa łódzkiego ciągnęły gromady odważnych, niespokojnych ludzi, by czerpać wiedzę i siłę do walki o lepsze życie wsi i Polski.

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

Spostrzeżenie Włodzisława Strzeleckiego, w tym przypadku jednostkowe, można zgeneralizować w odniesieniu do systemu uniwersytetów ludowych, działających w Polsce międzywojennej. Okazało się bowiem po pierwszych latach pracy uniwersytetów ludowych, że ich słuchacze stanowią jakby nowy typ młodzieży wiejskiej, aktywnej społecznie i wykazującej znajomość aktualnych spraw publicznych.

Można zatem również stwierdzić, że uniwersytety ludowe dorobiły się w omawianym okresie znaczących osiągnięć programowych i pedagogicznych.

W walce i pracy przedstawionej w „Tacy byliśmy” Włodzisław Strzelecki nie był sam. Autor pisze o współtwórcach Wiejskiego Uniwersytetu Ludowego w Bryskach, kierowniku tej placówki Franciszku Białasie i wykładowcy, prezesie Zarządu Powiatowego Związku Młodzieży Wiejskiej — Stanisławie Piotrowskim.

W okresie międzywojennym słuchacze uniwersytetów ludowych dążyli do przebudowy gospodarczej wsi w oparciu o nowe zasady ekonomiczne, organizowali ruch kulturalno-oświatowy i artystyczny na wsi, wnosili do niewyczerpanego źródła kultury ludowej swoiste wartości do kultury narodowej.

To oni przodowali w walce z hitlerowskim okupantem przez swój masowy udział w Batalionach Chłopskich, przodowali podniej w utrwalaniu władzy robotników i chłopów.

Tacy byliśmy — pisze Włodzisław Strzelecki. Dodajmy: — Tak ukształtowani przez wiejską „szkołę życia”.

EUZEBIUSZ STAŃCZYKOWSKI

INFORMUJEMY O KONKURSACH

REGULAMIN

II Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jerzego Szaniawskiego

Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Szaniawskiego w Zdunskiej Woli, Towarzystwo Przyjaciół Zdunskiej Woli wraz z „Tygodnikiem Kulturalnym” ogłaszają II Ogólnopolski Konkurs Literacki na opowiadanie, nowelę o tematyce współczesnej.

Konkurs ma charakter otwarty, mogą zatem wziąć w nim udział członkowie związków twórczych oraz nie stowarzyszeni. Jury rozpatrywać będzie prace dotychczas nigdzie nie publikowane, nie przekraczające 20 stron maszynopisu. Ilość prac jednego autora — dowolna.

Prace należy nadsyłać pod adresem: MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA 98-220 Zdunská Wola, ul. Łaska 12, z dopiskiem „Konkurs Literacki”, w nieprzekraczalnym terminie do 31 lipca 1987 r. w 3 egzemplarzach.

Maszynopisy winny być opatrzone godłem z dołączoną samąknietą kopertą, zawierającą imię, nazwisko i adres autora. Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

- I — 30 tys. zł
 - II — 20 tys. zł
 - III — 12 tys. zł
- oraz trzy wyróżnienia po 7 tys. zł.

Jury zastrzega sobie inny podział nagród. Ogłoszenie wyników nastąpi we wrześniu 1987 r. Nagrodzone prace stają się własnością organizatorów z prawem pierwszeństwa druku na łamach „Tygodnika Kulturalnego”. Planuje się wydanie nagrodzonych prac w formie książkowej.

KONKURS LITERACKI NA PRZEKŁAD Z JĘZYKA FRANCUSKIEGO

Kontynuując wielowiekowe tradycje związków kultury polskiej i francuskiej Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich Oddział w Łodzi ogłasza konkurs otwarty na przekład literacki z języka francuskiego.

1. W konkursie może wziąć udział każdy, kto nadesłanie przelożone przez siebie z oryginału francuskiego:

- a) 3 wiersze lub poemat — do 10 stron maszynopisu łącznie
- b) krótkie opowiadanie albo esej — do 10 stron maszynopisu.

2. Uczestnik może nadesłać dwa zestawy w każdym z gatunków. Obowiązuje dołączenie oryginału francuskiego (z podaniem źródła: wydawca i rok wydania; czasopismo, numer, rocznik itp.), aby umożliwić jury ocenę jakości przekładu.

3. Konkurs jest anonimowy. Prace konkursowe w trzech egzemplarzach (maszynopisy) opatrzone godłem, należy nadsyłać pod adresem: Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, Oddział w Łodzi, ul. Wschodnia 32 90-271 Łódź z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na przekład literacki”. W drugiej, zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem i dołączonej do tłumaczenia należy podać swoje dane personalne: nazwisko i imię, wiek, zawód oraz adres. Jeżeli udział w konkursie jest debiutem literackim, należy zaznaczyć to w danych personalnych.

4. Nadesłane prace będą oceniane przez jury w składzie: Sławomira Chwałkowska, Wacław L. Kobiela oraz Marian M'salski. Sąd konkursowy przynajmniej z największą starannością następujące nagrody

a) w dziedzinie poezji:

I nagroda — 12 tys. zł; II nagroda 8 tys. zł; III nagroda — 5 tys. zł.

b) w dziedzinie prozy:

I nagroda — 12 tys. zł; II nagroda — 8 tys. zł; III nagroda — 5 tys. zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród lub nieprzyznania ich wcale.

5. Termin składania prac konkursowych upływa z dniem 30 października 1987 r. Przy wysyłce prac pocztą decyduje data nadania przesyłki uwidoczniona na stemplu.

6. Konkurs zostanie rozstrzygnięty do 15 grudnia 1987 r.

7. Tłumacze zachowują wszystkie prawa autorskie do przelożonych przez siebie utworów. Prace wyróżnione i nagrodzone będą rekomendowane do druku za osobnym wynagrodzeniem.

8. Laureatowi konkursu nie zrzeczonym przysługuje pierwszeństwo we wstąpieniu do Koła Młodych przy Oddziale Łódzkim Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich.

Głośno jest w Polsce o Łódzkim Klubie Sportowym i jego byłym prezesie do spraw piłki nożnej, Edwardzie Gliszczyńskim. Szkoda tylko, że nie z powodu nadzwyczajnych sukcesów sportowych, a raczej wręcz przeciwnie. Sprawa jest znana. Pisano o tym w „Przeglądzie Sportowym”: — „Gliszczyński sobie pogadał, a oni pili dalej”, pisano w „Sportowcu”: — „Pomóżmy”, w krakowskim „Temple”: — „Otrzeźwienie piłki, LKS: porażka wroga bankietów”, wspominał o tym również Jerzy Całuskiński w „Expressie Ilustrowanym”: — „Piłka w kieliszku”. Sprawa zatem jest znana, ale nie od rzeczy będzie choć w skrócie ją przedstawić.

BYŁO TO PO MECZU LKS Z OLIMPIĄ POZNAŃ

Łódzianie mecz wygrali wysoko, bo 5:2. Na drugi dzień, wieczorem w mieszkaniu wiceprezesa Zarządu LKS, a w „cywilu” dyrektora CPN w Łodzi — Edwarda Gliszczyńskiego zadzwonił telefon. — Okazało się, że żona jednego z piłkarzy szuka trenera. Chciała go zawiadomić, że trzej zawodnicy LKS: Krzysztof Baran, Sławomir Różycki i Grzegorz Węziak baliu i są już „pod dobrą datą”.

— Akurat był u mnie — mówi Edward Gliszczyński — trener Zygmunt Gutowski, zadzwonił.

ROZPOCZYNAMY CYKL ARTYKUŁÓW O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ. W pierwszym prezentujemy poglądy byłego wiceprezesa LKS — Edwarda Gliszczyńskiego. Dlaczego piłkarze źle grają i czym się głównie interesują?

„Znow poszło tyle szmalu”

BOGDA MADEJ

niliśmy do kierownika drużyny Wiesława Gólbrowskiego i razem w trójkę udaliśmy się pod znany nam adres, gdzie się wszystko potwodziło.

Edward Gliszczyński z LKS związany jest od 19 lat, w 1975 roku był kierownikiem sekcji piłki nożnej. Trenerem był wówczas Stanisław Stachura. Wspólnie opracowano plan szkolenia aż do 1980 roku. Lista piłkarzy LKS obejmowała przeszło 200 nazwisk, ale faktycznie można ich było zebrać około 30. Postawiono więc na szkolenie młodzieży. I to się opłaciło, bo dziś na 20 piłkarzy pierwszej drużyny, 13 jest wychowankami klubu.

Na początku 1987 roku opracowano program dla pierwszego zespołu. Postawiono sobie cel: zająć co najmniej 8 miejsce w ligowej tabeli i walczyć o finał Pucharu Polski. Akurat na początku maja — przed meczem z Węgrami w Budapeszcie — LKS plasował się na 8 miejscu ligowej tabeli i nadal walczył o finał Pucharu Polski. Cele jakby były realizowane. Ale warunki nie.

— Postawiłem zawodnikom dwa warunki — mówi Edward Gliszczyński — że będą prowadzili sportowe życie i będą solidnie wykonywali obowiązki piłkarskie.

— Co na to piłkarze?

— Zapewnili, że z ich strony nie będzie trudności.

— Przeprowadził pan rozmowę z 9 piłkarzami. Co było tematem tej rozmowy?

— Wspólnie z byłym piłkarzem LKS i trenerem, Stanisławem Baranem, a obecnie członkiem Zarządu LKS, rozmawialiśmy z 9 zawodnikami przede wszystkim o picciu i „pyskowaniu” na boisku. Nie ukrywam, że większość piłkarzy płaciła kary za picie.

— Jak to są kary?

— Pierwsza — 15.000 złotych, druga — 50.000 złotych.

— W rozmowie z Tomaszem Jagodzińskim w „Przeglądzie Sportowym” powiedział pan, że „zapominam o wydarzeniach w roku 1986”. Jak to były wydarzenia?

— Podobne. Ponieważ piłkarze już zapłacili kary za picie, nie było powodu, aby do tych spraw wracać. Chodziło raczej o to, aby się nie powtarzało. Powiedziałem piłkarzom, powiedziałem w Zarządzie LKS i na konferencji prasowej dziennikarzom, że bez względu na to, czy ktoś jest reprezentantem kraju, czy tylko członkiem pierwszej drużyny będą występował do Zarządu klubu w wnioskiem o bezwzględną półroczną dyskwalifikację. Będą również informował trenerów reprezentacji o takich faktach. Jeśli nie znajdzie zrozumienia, to odejdzie.

KOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE

Walka podjęta. Edward Gliszczyński zawiadomił Wojciecha Łazarkę o przejawach niesportowego trybu życia Krzysztofa Barana i ten powołał ze zgrupowania kadry w Oliwie do domu w Łodzi. Trener kadry olimpijskiej również zrezygnował z usług Grzegorza Węziaka. Wystąpił też Edward Gliszczyński z wnioskiem o ukaranie całej trójki bezwzględną dyskwalifikacją.

„Dyskwalifikowanym piłkarzom — pisze w „Temple” Zbigniew Wojciechowski — którzy by w tym czasie nie otrzymywali żadnych świadczeń, gwarantował możliwość treningu oraz dobre płatną pracę w stacjach CPN”.

Nie z tego nie wyszło.

3 kwietnia 1987 roku odbyło się zebranie Prezydium Zarządu LKS. Edward Gliszczyński — zgodnie z poprzednimi oświadczeniami — postawił wnioski o bezwzględną półroczną dyskwalifikację. Wniosek poddano pod głosowanie. Wynik: 10:1. Zatem całe Prezydium LKS było temu przeciwnie. 7 kwietnia po przegranej meczu z Widzewem, Prezydium postanowiło natomiast ukarać trzech piłkarzy: Krzysztofa Barana, Sławomira Różyckiego i Grzegorza Węziaka finansowo, czyli regulaminową karą za picie, po 50.000 złotych. Była więc to już kolejna taka kara. Piłkarzy na to stać. Pieniądz im łatwo przychodził, łatwo się im i z pieniędzy rozsta-

wał. Tylko nieliczni, którzy poważnie traktują swoją przyszłość lokują pieniądze w banku. Inni wolą je wydawać lekką ręką.

— Bardzo lubię — powiedział mi Edward Gliszczyński — chodzić na mecze juniorów, młodzików, na mecze klasy okręgowej, bo tam jest autentyczny futbol, tam się piłkarze szczerze cieszą z sukcesu, poważnie martwią porażką. Natomiast gdy się wejdzie do szatni drużyny pierwszej ligi po przegranej meczu, to się na ogół tylko słyszy: „znów poszło tyle szmalu”.

W wypowiedzi dla „Przeglądu Sportowego” Edward Gliszczyński oświadczył:

— Ponieważ nikąd nie otrzymałem poparcia oświadczyłem: — Panowie, po waszej decyzji o karze finansowej nie mam po co więcej pokazywać się w zespole, gdyż w ten sposób straciłem autorytet. Gdybym udawał, że zapomniałem jakie były ustalenia, zawodnicy skomentowaliby to następująco: — „Gliszczyński może sobie gadać, a my gramy dalej”.

Zarząd LKS — jak z tego widać — wolął poświęcić wiceprezesa niż zrezygnować z piłkarzy. No, bo akurat zbliżał się mecz z Widzewem — w Łodzi zawsze duże przeżycie dla kibiców i grają też ambicje, kto będzie lepszy? — a poza tym były równie ważne mecze ligowe i w Pucharze Polski. W tych meczach nieśli grać piłkarze, a nie wiceprezes. Wiceprezes został sam.

Inny wiceprezes LKS, tym razem od spraw ideowo-wychowawczych — Leszek Surowiecki powiedział Zbigniewowi Wojciechowskiemu, a ten wydrukował to w „Temple”:

— Niepotrzebnie sprawa wyszła na zewnątrz, bez konsultacji z zarządem. Taka jest opinia środowiska. Takie sprawy powinno się załatwiać we własnym gronie.

Stanisław Wieteska — odpowiedzialny w LKS za pracę ideowo-wychowawczą w sekcji piłki nożnej — powiedział temuż Zbigniewowi Wojciechowskiemu:

— Chocierż trudny problem. Niedobrze się stało, że LKS jako pierwszy podjął walkę z pijanstwem i teraz cała Polska patrzy, co z tego wyniknie. Winni chowają się w cień. Można zacząć walczyć z pijanstwem wśród piłkarzy, jeśli się podejmie walkę we wszystkich klubach. Ale kluby wolą milczeć, nie ujawniać co wprawdzie piszczy...

— Jak przyjęto pańskie wypowiedzi? — zapytałam Edwarda Gliszczyńskiego.

— Chyba dobrze. Miałem sporo telefonów. Ludzie solidaryzowali się ze mną. Uważają, że w innych klubach działacze też powinni wziąć się za pijanstwo. Dotyczy to 95 procent klubów piłkarskich w Polsce. Odbija się to również na grze reprezentacji Polski. Denerwuje kibiców.

— Słabą grę reprezentacji wiąże pan z pijanstwem?

— Nie tylko, ale między innymi. Piłkarz musi włożyć ogromny wysiłek w walkę na boisku i musi się solidnie do tego przygotować. Wymaga to odpowiedniego — dobrze przemyślanego i przeprowadzonego — cyklu szkolenia. Jeśli piłkarz w tym czasie nadużywa alkoholu, to musi się to odbić na jego refleksie, kondycji, a w rezultacie na jego grze. Dotyczy to zarówno piłkarzy w klubach, jak i w reprezentacji. I jeśli się za to ostro nie weźmiemy, to nie będzie żadnych spodziewanych rezultatów. To przecież — nie oszukujmy się — jest zawodem i oni biorą za to duże pieniądze.

— Czy u siebie w CPN jest pan też taki ry-

gorczyk?

— Przede wszystkim konsekwentny. Jeśli coś zapowiadałem, to realizuję. Nikt mi w tym nie przeszkadza, a raczej pomaga. Ale ja nie widzę dużej różnicy. Przecież tu i tu idzie walka o nasze wspólne — społeczne — pieniądze. Gdyby piłkarze byli na garnuszku prywatnego sponsora, to by mnie to nie obchodziło. On byłby już odpowiedzialnie bardziej wymagający. Ale to są nasze pieniądze. I nie stać nas na to, aby tolerować ludzi, którzy te pieniądze biorą i nie potrafią należycie wywiązać się ze swoich obowiązków.

Jestem sam tym, aby za dobre widowisko, za dobrą grę dobrze płacić. Ale nie wolno płacić ludziom, którzy się na boisku staniają na nocy. Kibice są już niecierpliwymi taką tolerancją i — proszę popatrzeć — coraz mniej chodzą na mecze. Jak się ludzie odwrócą od stadionów piłkarskich, to kto będzie chciał finansować polską piłkę nożną?

— A jak odeszli się do pana postawy i pozycji działacza sportowego?

— Niektórzy są ze mną zgodni.

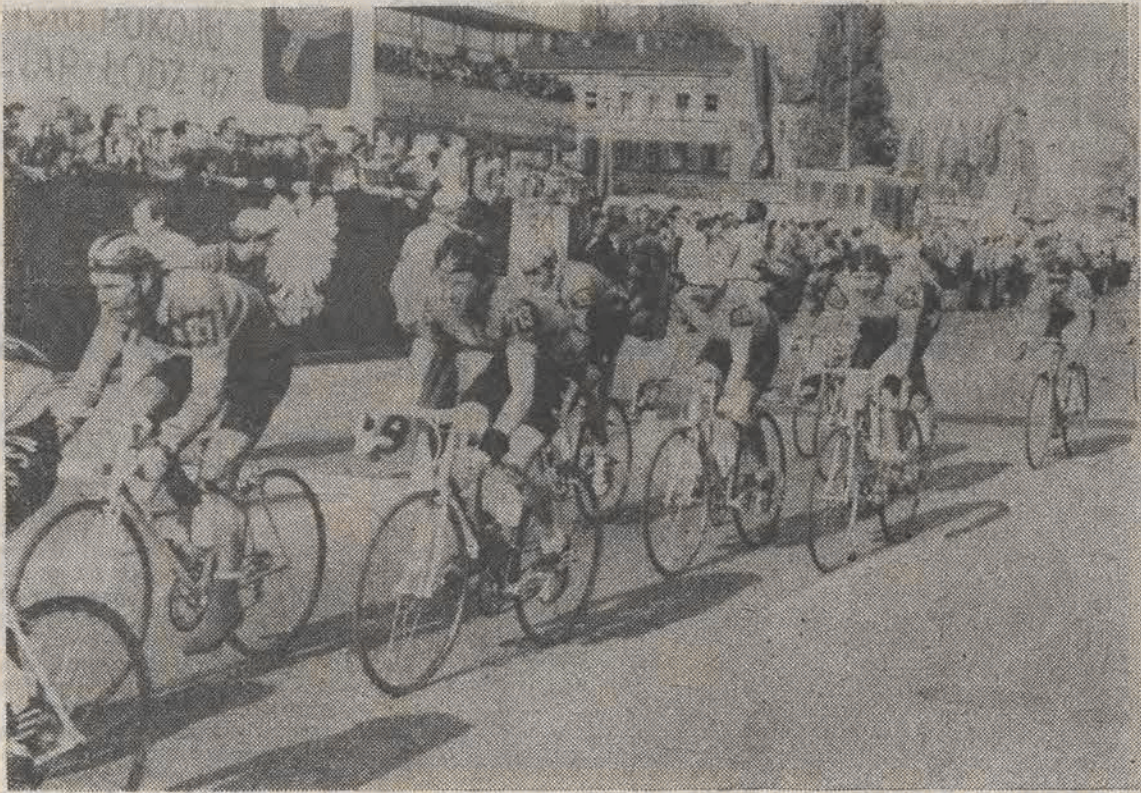
— Jest pan zadowolony z tego, co zrobił, ma pan satysfakcję?

— Po miłości do swojej piłki nożnej jest moja druga wielka miłość. Wraz z innymi działaczami i szkoleniowcami włożyłem wiele pracy w prowadzenie piłki nożnej w LKS. Na moich oczach rośli tacy piłkarze, jak: Ziobor, Węziak, Plachta, Kruszyński. Załatwiałem setki różnych spraw, poświęciłem mnóstwo prywatnego czasu.

— I ktoś to docenił?

— Przecież, ale nie. Dla piłkarzy najważniejsza jest to, ile dziś zarobili lub stracili szmalu.

Czas zatem udać się do piłkarzy i ich zapytać o zdanie, a potem przedstawić je Czytelnikom.



Rozczarowania nie było

Zapewne w ciszy ducha wielu kibiców marzyło, że nasi chłopcy przyjadą do Warszawy w szóstkę, a daleko za nimi cała reszta. Ale to marzenie nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, z realiami naszego kolarstwa, kolarstwa w ogóle i z prawami rządzącymi wysiłkami kolarzskimi, a Wyścigiem Pokoju w szczególności. Ryszard Szurkowski, który na kolarstwie zna się znakomicie, zakładał, że powinniśmy się zmieścić jako drużyna „na pudło”, a jeden z naszych powinien być w pierwszej szóstce. Było zatem lepiej, bo i drużyna zmieściła się „na pudło”, zajmując trzecie miejsce i Andrzej Mierzejewski — po różnych perypetiach — też zajął trzecie miejsce.

Czołówka 40 Wyścigu Pokoju była niebywale silna. Bano się poważnie drużynę ZSRR, ale ci pojechali znacznie gorzej niż oczekiwano. Nie potrafili tak skutecznie zaatakować — drużynę NRD. Drugie miejsce ZSRR „na pudło” w Warszawie to i tak dobrze, ale mniej niż oczekiwano.

Kolarze NRD, którzy do 40 Wyścigu Pokoju przygotowali się w swoim kraju i nikt

nie miał porównania, jak jeżdżą, okazali się bezkonkurencyjni. Jeździli jak chcieli i zajęli — jak wiadomo — pierwsze miejsce w klasyfikacji zespołowej i indywidualnej. Inaczej: bezapelacyjnie wygrali 40 Wyścig Pokoju. Dysponowali znakomicie przygotowanymi kolarzami i... znakomitą tym sprzętem.

Być może ten i ów z kibiców wrzucił ramionami i powie, że nasi byli źle przygotowani. Popelnił błąd. Rozumiem doskonale, że każdemu z nas marzy się taka zbiorowa terapia naszych kompleksów i niemożności. Sukces kolarzy podniósłby nas na duchu. Proszę! A jednak Polak potrafił. Nie wzruszałabym jednak ramionami. Bo na przykład Zdzisław Wrona, którego uważa się za wroga wszelkich gór, bo góry „mu nie leżą” i on nie lubi jeździć po górach, tu nagle okazuje się najlepszym z Polaków w górskiej klasyfikacji. Lepszym nawet od tych, których uważa się za „górali”. Starali się więc chłopcy jak mogli i robili wszystko, co potrafili i na ile im sił starczyło. A że czasem nie starczyło...

Nie rozczarowałam się i wielu rozsądnie myślących kibiców

— mam nadzieję — też nie. Ale martwi mnie przyszłość. Ze słów Ryszarda Szurkowskiego — wypowiedzianych przed kamerami TVP — wynika, że za naszą czołówką nie stoi duża kolejka chętnych, że już z trzecią zmianą są kłopoty, że — co ważne — nie bardzo jest na czym jeździć, że na dobrym sprzęcie jeżdżą tylko kadrowicze. Aby naszego najlepszego kolarza wyposażyć w dobry sprzęt w jeździe na czas w Harrachovie, trzeba było biegać do przyjaciół po pożyczki, co i tak nie dało spodziewanego rezultatu. Przyjaciółom natomiast niczego nie brakowało. Mając dobry sprzęt i dobrze przygotowanych zawodników będą i w przyszłości odnosili sukcesy. A my?

My cieszymy się tym, co nasi kolarze osiągnęli i martwny się o to jak wypadną na mistrzostwach świata. Bo — moim zdaniem — cieniutko.

BOGDA MADEJ

Gdy prawo wkracza w biologię zaczyna się kłopoty i większe niż zazwyczaj rozbieżności w doktrynie. Tak jest chyba w przypadku pornografii?

— W przypadku pornografii nie zupełnie, chodzi o biologię, ale i o kulturę. Niemniej wszelkie styki prawa z biologią są zawsze niebezpieczne z bardzo prostej przyczyny. Prawo ze swej natury jest nastawione na tworzenie konkluzji typu „tak”, „nie”. Natomiast biologia jako nauka przyrodnicza nie zawsze jest adekwatna do dawania takich odpowiedzi.

— Co właściwie oznacza termin „pornografia”?

— Patrząc na sprawę czysto językowo, termin „pornografia” to dziewiętnastowieczna sztuczna zbitka dwóch greckich słów: „porno” — prostytucja i „grapho” — pisać co oczywiście niczego nie wyjaśnia. Najogólniej można powiedzieć, że pornografia w tym rozumieniu to przedstawianie za pomocą różnych środków przekazu — pisma, obrazu, fonu przestrzennych — pewnych fenomenów ze sfery życia seksualnego.

— Skąd różnica między zdrowym antycznym podejściem do spraw seksu a chrześcijańskim zawstyżeniem?

— Tak kranowo nie stawiałbym sprawy. Bo i w antycznym podejściu nie zawsze wszystko było tak do końca zdrowe i w chrześcijańskim nie wszystko było takie zawstyżone. W antyku seks był na ogół plasowany w swoim naturalnym, biologicznym kontekście. Bez przesady w jedną ani w drugą stronę. Jeśli sięgnąć do mitologii, to można zauważyć, że Olimp był zaludniony bogami, którzy mieli różne ludzkie słabości i dla których seks stanowił ważny element egzystencji. Natomiast jeśli mówimy o chrześcijańskim zawstyżeniu, to na dobrą sprawę to, co stało się w tym zakresie jest w gruncie rzeczy przyjęte z protestantyzmu po Soborze Trydenckim. Chrześcijaństwo w swym pierwotnym etapie nie było bynajmniej pruderyjne i jak każda religia miało dwie możliwości albo wciągnąć seks na swoje usługi, jak to się w wielu innych religiach działo, albo pominąć mieleniem traktując go jako ziemską czynność. Ze względu na ideologiczne założenia chrześcijaństwa, jak choćby przejęta z judaizmu idea człowieka — „młotu ziemi” połączona z nieśmiertelną duszą — odpowiedź była prosta. Seks musiał być sprowadzony do rangi prozaicznej ziemskiej czynności, którą w zasadzie religia nadmiernie się nie interesowała. I jeśli zacytować niektóre wypowiedzi Ojców Kościoła jak na przykład świętego Tomasza z Akwinu: „Skoro Bóg chce śmieienia rodzaju ludzkiego, skoro dla płodzenia potomstwa zaangażował popęd płciowy, byłaby walka przeciwko niemu rebella wobec Pana na Niebie”, to powstaje zdziwienie, iż w zakresie seksu były one tak liberalne. Proszę mi wskazać inną religię, która by z byleż nierządnic, jak była Maria Magdalena, uczyniła tak ważną postać. Tak więc z tym chrześcijańskim przewrażliwieniem różnie bywało. Na pewno nastąpiło ono w okresie Kontrreformacji. Ale to odbyło się na zasadzie przelicytowania przeciwnika. Bo jeśli protestanci lansowali określoną ideologię w stosunku do seksu, to w takim razie Kościół katolicki musiał być, jak w każdej walce ideologicznej, od przeciwnika „lepszy”.

— A więc chrześcijański światopogląd, który zaciążył nad świadomością naszego kręgu kulturowego, w dziedzinie seksu był w założeniu inny niż ten, jaki obowiązywał w Europie przynajmniej do końca XIX wieku?

— Chrześcijaństwo nigdy nie wypracowało swojej kompleksowej ideologii seksualnej. Niemniej można wyróżnić trzy okresy w zakresie podejścia do seksu: pierwszy do Soboru Trydenckiego, kiedy Kościół tolerował seks jako prozaiczną ziemską czynność, następnie okres Kontrreformacji, o którym my już sobie powiedzieliśmy i wreszcie wiek XVIII i XIX ze swoją burżuazyjną ideologią. Na seks nie było w niej miejsca, ponieważ był on zawsze tym czynnikiem, który wymykał się spod kontroli rozumu — tego burżuazyjno-owsienicowego idola — i funkcjonował w sferze emocji. Tak zwana teologia ciała, którą tworzy obecnie Kościół katolicki, notabene głównie dzięki Karolowi Wojtyła, to w istocie „wynalazek” ostatnich kilkuset lat.

— Listek figowy, który zakrył części łonowe Adama i Ewy to pierwszy objaw wstydu oraz impuls do pozanaturalnych podnieci.

— Był to problem nagości w konfrontacji z otcoczeniem. Nagość jako kategoria społeczno-kulturowa funkcjonuje tylko wtedy, gdy występuje na tle otcoczenia, że tak powiem, ubranego. Na tej zasadzie funkcjonuje striptiz: osoba, która publicznie się obnaża jest inna od pozostałych. W naszej kulturze osoba, która publicznie się obnaża jest „gorsza” od ubranych. Ludzie nie chodzą na striptiz, aby zobaczyć nagą kobietę, ale po to, aby poczuć się lepszym.

— Przedstawianie nagości i aktów płciowych w wickach dawnych spełniało chyba inną funkcję niż obecnie?

— Prezentacja nagości miała na celu także i estetyczne dowartościowanie odbiorcy. Higiena, jak wiadomo, nie była mocną stroną naszych przodków i na przykład próchnica sprawiała, iż miłoścy cielesna wymagała nieraz wielkiego samozaparcia. Jak można zauważyć, śledząc ikonografię, zasadniczo zmieniała się konwencja nagości, zaś badania antropologiczne potwierdzają, że ludzie byli zawsze mniej więcej tacy sami. Na przykład ideal nagości w gotyku — wysmukła kobieta o szczupłych udach, z małymi piersiami i brzuchem nieco podanym do przodu. Albo barok i dzieła Rubensa. Zmieniał się ideał piękności i nagość prezentowana na obrazach mistrzów stanowiła dokładnie to samo, czym są dzisiaj panienki przedstawiane w „Playboyu”, które mają się do rzeczywistości nieestety tak jak miały się do niej bohaterki obrazów Cranacha czy Rubensa, choć może ostatnimi czasy dystans ten odrobinę się skrócił.

— Powiedział Pan o „licytacji” między kościołem rzymskokatolickim a protestantami. Ale czy, aby nie raczej brak higieny i zmora chorób wenerycznych nie przesądziły, iż kult dzieciństwa i ościanca moralności mogły znaleźć pozytywny oddźwięk?

— W pewnym zakresie. W historii obyczajów nie ma prostych przebiegów. Wszystko odbywa się w kontekście szeregu różnych okolicz-

ności. Ogromne znaczenie dla rozwoju określonej ideologii w sprawach seksualnych miało rozprzestrzenienie się w 1484 roku wśród stacjonujących w Neapolu żołnierzy francuskich syfilisu, co było preludium do wielkiej epidemii, która szalała w Europie przez następne kilkadziesiąt lat. Niedługo potem Sobór Trydencki. To nie jest przypadkowa zbieżność w czasie. Nic dziwnego, że w związku z takim stanem rzeczy ludzie, którzy rozmawiali bardzo prosto, wnioskowali tak: seks to ciało, choroba to kara za grzechy, a skoro seks powoduje śmiertelne choroby, to widać seks i ciało są grzeszne.

Zresztą prawie dokładnie ten model rozumowania pojawia się w dzisiejszych czasach w związku z AIDS i należy uznać za pewne, iż fala „rewolucji seksualnej” z lat sześćdziesiątych niewątpliwie się skończyła.

Konkludując, relacja seks — choroba miała wpływ na obyczajowość, regulację prawną i dogmaty kościelne.

— Postęp techniczny i osiągnięcia medycyny w naszym wieku sprawiły, iż obyczaje mogły ulec rozluźnieniu, a przynajmniej skala zjawiska jest większa. Pornografia stała się palącym problemem. Ale co jest pornografią? Z samych definicji pornografii można by ułożyć księgę. Co składa się na „kręgosłup” każdej z nich?

— Mój, jeśli można tak powiedzieć, poprzednik w zakresie naukowych rozważań na temat pornografii Johannes Schreber w rozprawie „De libris obscenis” napisanej w połowie XVII wieku stworzył próbę „strategicznej” definicji pornografii, która na dobrą sprawę do dzisiaj się nie zmieniła. Wedle jego ujęcia o pornogra-

deg indywidualnego człowieka od przymusu w aspekcie seksualnym.

— Powiedział Pan o wolności „od”. Tymczasem brak u nas wolności „do”.

— W szczytowym okresie tak zwanej rewolucji seksualnej pojawiły się tezy o „wolności seksualnej” w sensie wolności „do”. Pytanie: do czego? Krótko mówiąc, do pełnej swobody życia seksualnego. Takiej wolności nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Z bardzo prostej przyczyny. Otóż we współczesnej kulturze zbyt wielką rolę odgrywa małżeństwo i to bynajmniej nie ze względu na jego funkcje seksualne. Ważniejsze są funkcje społeczne, polityczne itd. i dlatego żaden system we współczesnym ustawionym świecie nie może z tej instytucji zrezygnować.

— A jak te wolności mają się do nauki i sztuki?

— Problem był właściwie tylko ze sztuką i błąkał się on zawsze po periferiach problemu pornografii. Mawiano się tak: artysta jest wolny i ma prawo zaprezentować to, co mu jego inspiracja artystyczna nakazuje. I mieliśmy tu natychmiast zderzenie się dwóch racji. Truizmem jest stwierdzenie, że artyści wszelkich epok eksploatowali erotyzm pełnymi garściami. Zacytować można choćby Jana Kochanowskiego:

„Albo Staś, albo Gąska, zasie ktoś
niemądry
częstował Panią (nie wiem jak to
rzecz) jądry...”

Jeśli spojrzymy na Wenus z Milo, to jeżeli nie jesteśmy tragicznie kalecy, widzimy, że jest

Różne definicje pornografii i co z tego wynika? Czy chrześcijanie byli na-
prawdę pruderyjni? Choroby weneryczne a swoboda seksualna. Czy pornogra-
fia sprzyja przestępstwom seksualnym, czy wręcz przeciwnie? Nie ma skaza-
nych za rozpowszechnianie pornografii, a jest rozpowszechnianie.

Pornografia - co to takiego?

Rozmowa z doc. dr. hab. MARIANEM FILAREM — kierownikiem Katedry Prawa
Karnego Materialnego Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

ficzności dzieła decydować mogą dwie podstawowe okoliczności. Pierwsza to zamiar twórcy — jeśli twórca danej prezentacji miał na celu wzbudzenie poprzez nią podniecenia płciowego u odbiorcy, to jest to pornografia. I druga z nich to kryterium obiektywnej zawartości dzieła — nie intencja autora, ale faktyczna treść dzieła. Tu oczywiście były dziesiątki wariantów tego ujęcia. Jedni patrzyli na to w sposób skrajnie obiektywizujący, zwłaszcza Anglosasi, którzy lubują się w precyzyjnych definicjach. Sąd Najwyższy w Australii w swoim czasie wniósł na pomysł, że wizerunek kobiety jest wtedy pornograficzny, gdy można odróżnić poszczególne włosy na jej łonie. Treść była niekiedy ujmowana z punktu widzenia zdolności do wywołania podniecenia seksualnego u odbiorcy. Jeden z sądów angielskich wymyślił test, według którego dzieło jest wtedy pornograficzne, gdy powoduje erekcję u siedmiu spośród dwunastu normalnych mężczyzn. Z kolei inni mówili, że to zależy od zdolności dzieła do korumpowania obyczajów, czyli wywołania demoralizującego wpływu na otcoczenie. W każdym razie, niezależnie od szczegółowych wariantów, o których można by tu długo mówić, funkcjonowały dwa podstawowe nurty: albo definicje pornografii orientowane były na zamiar twórcy, albo na obiektywną treść danej prezentacji.

— Polski kodeks karny z 1969 roku w art. 173 czyni karalnym rozpowszechnianie pornografii. Co składa się na przedmiot ochrony?

— To jest właściwie klucz do całego zagadnienia. Według tradycyjnych ujęć, które legły u podstaw konwencji genewskiej z początku wieku, a która zakreśliła „pejzaz antypornograficzny” w naszym stuleciu, jak i w ujęciu naszego uregulowania kodeksowego, przedmiotem ochrony jest ogólnie rozumiana obyczajowość. Mówiąc mniej pompatycznie, rozmawianiem było także: między korzystaniem z pornografii a przestępstwami seksualnymi istnieje związek przyczynowy. I to była istota racjonalizacji karalności pornografii. Tymczasem żadne poważne światowe badania nie potwierdzają takiego związku. Wręcz przeciwnie. Istnieją bardzo poważne przesłanki po temu, aby uważać, że ten związek jest raczej odwrotny niż wprost proporcjonalny. Jak wykazują badania, przestępstwa seksualnymi są raczej ludzie, którzy mieli małą styczność z tego typu prezentacjami. To działa na zasadzie butelki i korka, który jest tak mocno wbity, że w butelce wszystko kotłuje i w końcu wystrzela. Natomiast używanie artykułów pornograficznych bywa wentylem, przez który ta para, może ze sporym gwizdem, ale bez specjalnej szkody, uchodzi. Odwołajmy się do przykładu. Jeśli rozmiar i ilość nagości byłoby wprost proporcjonalne do stopnia podniecenia obserwatora, to najbardziej podniecającymi miejscami na świecie powinny być plaże nudystów czy łaźnie tureckie, bo tam tych gołosów jest najwięcej. A z potocnej wręcz obserwacji wiadomo, że są to właśnie najbardziej asekualne miejsca pod słońcem. Oczywiście wyjątki zdarzają się zawsze. Bohater filmu „Mechaniczna pomarańcza” gwałci pod wpływem muzyki Beethovena, ale trudno byłoby dlatego muzyki Beethovena zakazać. Nadto istnieje inne zjawisko. Ludzie skłonni są oceniać jako pornograficzne prezentacje, które przedstawiają seks sprzeczny z doświadczeniem i zwyyczajami seksualnymi odbiorcy. I tak na przykład ludzie ustawieni heteroseksualnie jako pornograficzny odbierają seks homoseksualny i odwrotnie. Wreszcie, ogromną rolę odgrywa kryterium jakości estetycznej. I co się okazuje? W stosunku do tych właśnie prezentacji, ocenianych jako pornograficzne, odbiorcy odczuwają w momencie zetknięcia się z nimi odpychające, nieprzyjemne psychiczne uczucie wstydu. Prawo do niedozowania tego uczucia jest na dobrą sprawę jedynym dobrem, jakie w tym zakresie zasługują na ochronę i mieści się w nowoczesnym podejściu do przestępstw seksualnych, gdzie przedmiotem ochrony jest wolność seksualna rozumiana jako wolność każ-

do piękna, młoda, naga kobieta, a nie kawałek odpowiednio poobłukiwanego marmuru. Nie ulega także żadnej wątpliwości, że artyści stworzyli niekiedy pewne niekwestionowane dzieła sztuki, eksploatując życie seksualne wręcz po to, żeby wzbudzić u odbiorcy podniecenie. Jeżeli malarze francuskiego rokoka malowali portrety królewskich kochanek w wyzywających pozach, robili to w tym celu, są na to dowody na piśmie, aby ich mecenasi, król francuski, się podnieśli. Próbowano ten dylemat rozwiązać za pomocą tezy, że pornografia to niby ogólnie jest karana, ale „boski pocałunek sztuki” w jakiś cudowny sposób odbiera dziełu cechy pornograficzności. We włoskim kodeksie karnym mamy nawet taki przepis: „Jeśli dana prezentacja stanowi dzieło sztuki to nie jest „pornografia”. Ale inni z kolei mówili odwrotnie: jeśli coś jest pornografią, to nie może być dziełem sztuki. Jest to problem nie do rozwiązania, ponieważ mamy do czynienia z dwoma nie dość określonymi pojęciami.

— A szwedzki model wychowania seksualnego?

— Rzecz jest w ogóle dość ciekawa. Mnie się wydaje, że jest to zjawisko, które można określić mianem przejścia od purytańskiego zakazu dziadków do purytańskiego pokazu wnuków. O co chodzi? Szwedzkie dzieci uczą się posługiwać seksem tak, jak uczą się je trzymać nóż i widelec. To też jest takie mieszańsko-protestanckie. Więcej w tym rozumu niż serca i uczuć. Swego czasu, gdy byłem w Szwecji, dyrektor tamtejszej cenzury zaprosił mnie na pokaz fragmentów wyciętych z różnych wyświetlanych u nich filmów. Wybrałem się na to z pewnymi emocjami, no bo sżo o rzeczy wycięte przez szwedzką cenzurę! Co się okazało. Obejrzałem film o przygodach myśki Mickey, która plynie przez ocean pontonem zdurawionym przez osę, a obok czyha głodny rekin. Zapytałem, o co chodzi. W odpowiedzi usłyszałem, że to nie jest to, co uczy dzieci agresji, pogardy dla sędziwego niezdecydowania, bo przecież Szwecja podpisała konwencję „O wychowaniu w duchu pokoju”. A seksu się nie tnie, bo nawet, jeśli naprawdę jest tak, że gdy ktoś napotyka się na pornograficzne filmy i zechce mu się zrobić to samo, to niechże sobie robi, skoro da radę tej akrobatyce. Co najwyżej się przy tym zmeczy, odpręży i straci trochę kalorii. Ale i ten model nie jest doskonały. Widać to w RFN, której model, przynajmniej w niektórych „landach”, jest zbliżony do szwedzkiego. Okazuje się, że ze względu na wzrastającą w szkołach niemieckich liczbę dzieci imigrantów, zwłaszcza ze strefy azjatyckiej, zaczynają się fundamentalne konflikty kulturowe. Bo jeśli takie wychowanie seksualne można jeszcze serwować ludzom z europejskiego kręgu, to dla ludzi z innych kręgów kulturowych jest to zupełnie nie do przyjęcia. I wtedy powstaje problem wolności „od”, o której już sobie powiedzieliśmy.

— Wiadomo, iż nie ma przestępstwa tam, gdzie nie ma jego ofiary. Tymczasem konsumując wydawnictwa pornograficzne, bynajmniej nie czuje się ofiara.

— Zaryzykuję stwierdzeniem, że nie czuje się ofiarą to procent konsumentów pornografii w Polsce. Jest to indywidualna sprawa chcących i zasada się na dobrovolności. Skoro ofiarą nie jest indywidualny podmiot i obalono mit, że przedmiotem ochrony jest abstrakcyjna obyczajowość, to jest to już tylko kwestia formalnego obowiązywania przepisów. Ściąganie pornografii w Polsce stanowi absolutny margines i z roku na rok liczba skazań za rozpowszechnianie pornografii spada. Są to obecnie liczby rzędu od kilku do kilkunastu rocznie i, dodając trzeba, z ogromnymi wahaniami lokalnymi. Bodajże w 1974 roku w Warszawie skazanie za pornografię było jedno, natomiast w pszenno-buraczanym województwie lubelskim tych skazań było osiemnaście. Nikt chyba nie uwierzy, że pornografia w województwie lubelskim była rozpowszechniana osiemnaście razy intensywniej. Tak więc ściganie

było i jest absolutnie okazjonalne i przypadkowe. Nic tak nie demoralizuje jak norma prawna, która istnieje, lecz nie jest stosowana. Nie może być tolerowany taki stan rzeczy, gdzie ściganie zależy od okoliczności przypadkowych, a często wręcz od swobodnego w istocie uznania organu. A więc mamy obraz sytuacji — nie ma ofiar, materiału jest coraz więcej, postępowań coraz mniej i są one coraz bardziej przypadkowe.

— Napisał pan kiedyś, że „popęd w naturalny sposób określa i ogranicza sam siebie, a więc nie można nim dowolnie manipulować”.

— Nie tak nie zaszkodziło racjonalnemu podejściu do spraw seksualnych w kulturze, a zwłaszcza w prawie jak wyobrażenie sobie popędu seksualnego jako ciemnej i ponurej siły, która pcha człowieka ku złemu i upatrywanie roli kultury w pohamowywaniu tego popędu. Takie widzenie sprawy sprowadza człowieka do postaci maipy, której siłą naciśnięto na łeb kapelusza kultury. Popęd seksualny w swej biologicznej warstwie jest z grubsza rzecz biorąc stały i okazuje się, że w sprawach seksu (inicjacja, techniki itp.) od czasów starożytnych nie się nie zmieniło. I jeśli współczesne bojowniczk rewolucji seksualnej uważają się za bardziej postępowe od swoich pradobek, to w rzeczy samej opanowały tylko dwie nowe techniki oralne: wulgarnie słownictwo i pigułkę antykoncepcyjną. Jeżeli przeciętny mężczyzna nawet przez tydzień będzie oglądał filmy pornograficzne, w których modele posiadające członki długości trzydziestu centymetrów kopulują nieustannie, odbywając na przykład siedem stosunków w ciągu godziny, to przecież ani członek mu nie urośnie do tych rozmiarów, ani też nie stanie się naraz seksualnym demone, jeśli stać go na jeden stosunek w ciągu nocy. Zmienia się więc tylko etos kulturowy w podejściu do seksu, a jego biologiczny rytm pozostaje ten sam.

— W latach sześćdziesiątych przeprowadzono na Zachodzie dużą ilość badań nad wpływem pornografii na kondycję psychofizyczną społeczeństwa. Wnioski nie były jednoznaczne.

— Miało to związek z zasknieniem się wolnościowych poglądów związanych między innymi z „rewolucją seksualną” ze sztywną dziewiętnastowieczną konwencją. Były to badania poważne, prowadzone nierzadko z wykorzystaniem pewnego instrumentarium medycznego. Różniły się w szczegółach, ale wszystkie doprowadziły do jednego wniosku: stopień stymulacji erotycznej bodźcem psychoseksualnym w postaci materiałów porno jest odwrotnie proporcjonalny do częstotliwości kontaktów. Czyli mówiąc wprost, im częściej jest kontakt (oczywiście mówimy o normalnych przypadkach), tym bardziej spada zainteresowanie prezentacją. Wapólnie dla wszystkich tych badań było także i to, że nazwijmy to, rygorizm w podejściu do pornografii zależał nie tyle od częstotliwości prezentacji określonych materiałów, co od podstawy wyjściowej. Żadne z tych badań — jeszcze raz podkreślam — nie potwierdziło prostej relacji przyczynowo-skutkowej między korzystaniem z materiałów pornograficznych, a przestępstwem seksualnym. Na marginesie dodam, iż w swoim czasie zetknąłem się z poglądem, że są to badania, które może na Zachodzie się sprawdzają, ale u nas nie, bo tamta kultura jest inna. Od początku pogląd ten wydawał mi się błędny, bo przecież pewne biologiczne reakcje na określone bodźce seksualne nie zależą, na ilość boska, od tego, po której stronie Ławy znajduje się doznający je osobnik. Przeprowadziłem badania w skali, która w Polsce była możliwa i okazało się, że jedyną różnicą, jaką wykazują badania w stosunku do swych zachodnich „kolegów” jest fakt, iż mniejsza liczba respondentów sygnalizowała zetknięcie się z pornografią.

— Ale czy nagonka w latach dwudziestych na rzekomą rozwiązłość w Rosji Radzieckiej nie przesądziła o utrzymującej się do dziś pruderii w krajach demokracji ludowej?

— Nagonka powstała i prowadzona była przez prasę orientowaną w określonym kierunku, ale oczywiście nie chodziło tu o seks, lecz o propagandę ideologiczną. Epotowano na przykład wizję wspólnoty kobiet w Związku Radzieckim. Pewien dziennikarz pisał, że orgie w klubach komunistycznych przekraczają już wszelkie dopuszczalne granice, a apostołowie bezwstydu biegają nago, co chociażby ze względów klimatycznych było mało prawdopodobne. Przez takie opisy, jak sądzę, co najwyżej przysporzono Rosji Radzieckiej cichych zwolenników w kręgach znudzonych bourgeois. Może to zbyt dołowe porównanie, ale marksizm podobnie jak katolicyzm, nie stworzył żadnej kompleksowej ideologii seksualnej. Jeśli w chrześcijaństwie „dusza się” ona w sosie miłości bliźniego, to w marksizmie w sosie walki klas. Engels powiedział, że kobieta jest najbardziej uciśnionym proletariatem. Przewrażliwienie w sprawach seksu zwłaszcza w latach pięćdziesiątych wynikało chyba z dwóch przyczyn. Pierwsza przypominała licytację między katolicyzmem a protestantami o większą „czystość moralną”. A druga była taka, że wskutek napięcia ideologicznego nie starczało miejsca na seks. Człowiek, który kochał kobietę, nie kochał w tym czasie pracy, ojczyzny czy idei. „Oficjalnym” miejscem kobiety nie było zaś łóżko, lecz siodło traktora.

— Jak według pana powinien być stosunek prawa karnego do omawianego zagadnienia w przyszłości?

— W pracy „Przestępstwa seksualne w polskim prawie karnym” (Wydawnictwo Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu) pozwoliłem sobie zarysować model zmian de lege ferenda. Moim zdaniem prawo seksualne, że się tak wyrażę, należy zreformować w tym kierunku, aby było to prawo chroniące wolność od przymusu seksualnego. I wszelkie przepisy oraz koncepcje, które w tej konwencji się nie mieszczą, powinny być przesunięte do lamusa historii. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze — niezmowa nie służy, po drugie — kodeks karny nie może być śmietnikiem starych nie używanych rupieci. Jeśli na serio chcemy myśleć o walce z patologią społeczną i przestępczością, to front tej walki powinniśmy zwrócić, a nie rozszerzać.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
TOMASZ KUBIK

Obserwacje

GDZIE SIĘ WYKAPAC?



Foto: Grzegorz Galusiński

Nikt już na dobrą sprawę nie pamięta od jak dawna nieczynny jest zakład kąpielowy przy ulicy Rzgowskiej. Remont ciągnie się latami. Sterty gruzu i barakowaty straszak przez okragły rok, a spragnieni używek abluści wciąż odchodzą z kwitkiem. I niestety, nie mamy dla nich dobrych wiadomości. Odwiedziliśmy wspomniany zakład i od wiarygodnego pracownika (wiarygodnego, bo aktualnie montującego tam kaloryfery...) wiemy, iż zmienia się gospodarz obiektu i w łazienkach rozgłoszą się pracownicy... spółdzielni „Czystość”. Sympatyczny ów instalator oprowadził nas po biurowych pomieszczeniach, a i gabinet dyrektora wskazał. Znalazło się też miejsce na dużą salę konferencyjną, gdzie zapewne już wkrótce organizowane będą sympozja i dyskusje na temat: „Wpływ plam i innych uszkodzeń okryć koczowniczych na apopleksję klienta i możliwości przeciwdziałania”.

Tak więc kąpiele, nie mówiąc o usługach wodoleczniczych w Łodzi już praktycznie nie uświadczysz, bo i w drugim zakładzie, przy ulicy Zachodniej trwa... remont. A jakiej to firmie biurka w tym lokalu wstawimy?

DZIEŃ BEZ SAMOCHODU

Kolejny kwiatek na naszej ukochanej „akcyjnej” łące. Ekologiczna manifestacja? Zatrnują nas przez okragły rok ścieki, dymy, wyziewy, chemiczne opady. I przez okragły rok trzeba z nimi walczyć ograniczając do minimum, wbić w zakute tby groźbę konsekwencji permanentnego niszczenia środowiska człowieka. Ale dzień bez samochodu? Wczoraj przeżyłem „Dzień bez prądu”, a poprzednio „Miesiąc bez telefonu”. „Rok bez papieru toaletowego” udało się już wcześniej zrealizować... A krakowscy dziennikarze, jak doniósł „Express Ilustrowany” mają w przyszłym roku z okazji Dnia przesłać się na rowery. Sugeruję jeszcze woskowe tabliczki do notatek...

PKP — Z MYŚLI O PASAŻERACH

Zbliża się 31 maja — termin dorocznych niespodzianek prezentowanych nam przez PKP. Według naliczonych na razie „przecieków” prasowych przybędzie nam kilka ekspresów, przemianowanych na takowe z pospiesznych (między innymi interesujący łodziaków „Pomorzanin”). Jeździć mamy podobno nieco szybciej, ale i... ciszej. Okazuje się bowiem, że postanowiono w podciągach pospiesznych znieść... miejscówki! Jest to istotne novum, przy znanych kłopotach taboretowych umożliwiające podróżowanie większej ilości pasażerów w bardziej komfortowych warunkach. I cóż nam po punktualności, gdy o sforosowaniu wagonu decydować będą lokcie...

ŁÓDŹ W DESZCZU

Najbardziej wytrawni zmotoryzowani poruszają się po mieście w czasie obfitych opadów deszczu według specyficznego planu, którego podstawowym założeniem jest: nie korzystać z ulic z mostami i wiaduktami. Pod tymi ostatnimi bowiem, niemal bez wyjątków, tworzą się głębokie jeziora, trudne do przebrnięcia nawet dla autobusów komunikacji miejskiej. Kilka dni temu potężna ulewa spowodowała niemal natychmiastowe odcięcie od centrum dzielnicy Widzew-Wschód, bowiem żaden samochód nie był w stanie przedostać się pod wiaduktem przy ulicy Rokicińskiej. Podobnie było z kilkunastoma innymi arteriami, ale szkoda papieru, by wszystkie wymienić...

PAPIERNICZA „NOWOŚĆ”

Nie szkoda natomiast surowca autorom pomysłu, by w sklepach papierniczych sprzedawać arkusze wielkości jednego metra kwadratowego, pomazane fantazyjnie pomarańczową farbą. Cena arkusza — 43 złotych. — Do czego to służy? — pytają klienci. — Tego nie wie nikt... — odpowiada sprzedawca. Pomalować by komuś mózdzek na pomarańczowo!

URODA OGŁOSZEN

Najłatwiej na ogłoszeniowe „perełki” trafić w „Kurierze Polskim”, który wydaje już nawet (na różowym papierze...) czterokolumnowy dodatek „Kontakt”. Jedni „posiadają wolne moce”, inni poszukują oracowników w tak eleganckich zawodach, jak: tlozacz, wiertacz, izolacz czy polerowacz. Cieszy też wytworne ogłoszenie szwedzkiej ambasady, która precyzyjnie wyjaśnia, kto i na jakich warunkach może otrzymać wizę. Nie mogą natomiast zrozumieć dlaczego wciąż ogłasza się „Polak zamieszkały w Danii”, który pragnie poznać „pania do lat 30, z bardzo dużym biustem”. Brak chętnych? Niemożliwe! To może gość taki bardziej wybredny...

03. SERWATOR

14. ODGŁOSY

Impulsem do napisania niniejszego artykułu był list naszego czytelnika. Oto jego obszernie fragmenty:

„Jestem szatniarzem; pracuję w tym zawodzie ponad 12 lat, ciesząc się niezłą opinią w dyrekcji PSS „Społem” w Łodzi. Oddział Gastronomiczny. Pracę tę przyjąłem w roku 1973, gdy po częściowej reorganizacji zakładu zostałem zwolniony.

Czuje się bardzo pokrzywdzony, ponieważ wypisuje się z nałożonego obowiązku, płacę podatek, fundusz miejski. Pracuję w wolne soboty, niedziele i święta. Praca szatniarza nie ogranicza się do 8 godzin dziennie. W stosunku do innych podatników czuję się pokrzywdzony; moja ciężka i odpowiedzial-

ność to oplaca — takiego zdania są pracownicy „Społem”.

Lokale gastronomiczne rozpoczynają swoją działalność przeważnie o godzinie 10 lub 11; prowadzą ją do 22—23. Kilka jednak czynnych jest znacznie dłużej — związane jest to z prowadzeniem działalności rozrywkowej. Trudno jednej osobie pracować tyle godzin, toteż każdy szatniarz ma zamiennika. Do rzadkości nie należą przypadki, gdy konieczne jest nieficjalne „zatrudnienie” babci kłozetowej...

A przecież ich hossa trwa tylko kilka miesięcy w roku — praktycznie od października do kwietnia. W pozostałych miesiącach nikt w szatni nie zo-

Ludzie, którzy w kawiarni lub restauracji przechowują nasze płaszcze, mają obowiązki, nie mają praw. Kto zajmie się ich sytuacją?

Szatniarze oczekują nie tylko na napiwki...

WITOLD WERNER

na praca nie liczy się do emerytury, nie posiadam tych praw, jakie posiadają inni podatnicy. Czyżbym był obywatelom, który ma tylko obowiązki — bez żadnych praw? Czyżbym nie miał prawa do korzystania z dobrodziejstw, jakie dało Państwo wszystkim obywatelom, tj. świadczenia ZUS-u? Przecież praca w szatni jest moim jedynym źródłem utrzymania...

KIM SĄ SZATNIARZE?

Przez szereg lat prowadzeniem szatni zajmowała się spółdzielnia inwalidów; w Łodzi monopolistą była Międzywojewódzka Usługowa Spółdzielnia Inwalidów „Światowid”. Była — gdyż od kilku lat zarzucają tę działalność — jako nieopłacalna. PSS „Społem” — która jest głównym odbiorcą tych usług — znalazła się w sytuacji bez wyjścia: szatnie w kawiarniach i restauracjach nie mogły przecież pozostać bez obsługi. Kierownictwo gastronomii postanowiło więc działać na własną rękę. Po anonsach w prasie zgłosiło się kilku potencjalnych szatniarzy. Wymagania nie były wielkie: ot, dobra opinia i niekaralność.

Część osób, które zgłosiły chęć objęcia szatni na zasadach umowy dzierżawnej — to emeryci i renciści, dla których była to szansa dorobienia paru groszy. Ale nie wszyscy. Są także osoby, dla których prowadzenie szatni jest jedynym źródłem utrzymania. W samych tylko śródmiejskich lokalach jest ich kilkanaście. Marginalna grupa? Możliwe. Ale przecież nikt uczelwie pracujący, nie powinien być pozbawionym świadczeń społecznych. Gwarantuje mu to Konstytucja, która w art. 70 głosi: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy”.

OBOWIĄZKI SZATNIARZA

są rozliczne. Prócz przyjmowania i wydawania odzieży, musi także pilnować powierzzonego mu mienia — często milionowej wartości. Ale to nie wszystko. Do nich należy lokalowe WC oraz sprzątanie sali konsumpcyjnej po zakończeniu działalności gastronomicznej.

— Najbardziej cieszę się — powiedział mi w jednym z lokali — gdy jakiś konsument — za przeproszeniem — zarzyga sałatkę, bo za sprzątnięcie mam aż 300 zł! (sic!)

Jakby tego było mało, muszą zaopatrzyć WC w czysty ręcznik, mydło i papier toaletowy. Ponośzą także opłaty na rzecz Wydziału Finansowego i Urzędu Skarbowego — tak, jak wszystkie osoby prowadzące działalność gospodarczą lub usługową na własny rachunek. Dodatkowo — tytułem dzierżawy — płacą „Społem” kwoty od kilku do kilkunastu tysięcy złotych rocznie.

— Jeśli zgadzają się na takie warunki, to widocznie im

stawi nawet parasola. Zarabiają więc tylko przez 7 miesięcy — jeśli nie liczyć zarobków „extra” za posprzątanie sali po pijanym konsumencie...

A jakie są

PRAWA SZATNIARZA

Czego może się spodziewać za swą pracę? Praktycznie niczego. Nie należą im się ani ustawowe urlopy, ani płatne zwolnienia lekarskie. Ba, na początek wprowadzenia regulaminacji mieli także kłopoty z uzyskaniem kartek zaopatrzeniowych. Cały czas oczywiście mowa jest o tych szatniarzach, dla których prowadzenie szatni jest jedynym źródłem utrzymania. Emeryci i renciści, otrzymujący już świadczenia z ZUS, są o niebo w lepszej sytuacji...

I tu właśnie tkwi

SEDNO SPRAWY

W myśl przepisów obowiązujących ZUS osoby te nie mogą być objęte ubezpieczeniami społecznymi. Z „Gastronomią” związani są bowiem jedynie umową dzierżawną. Na jej podstawie nie przysługują im żadne świadczenia, takie jak np. prawo do emerytury, zasiłek chorobowy itp. Z drugiej zaś strony, przez Urząd Skarbowy traktowani są tak samo, jak wszyscy ci, którzy prowadzą działalność usługową na własny rachunek. Najprostszym rozwiązaniem byłoby więc zalegalizowanie przez Wydział Handlu i Usług UML działalności szatniarskiej i przystąpienie tej niewielkiej grupy osób do Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług.

Niestety, na przeszkodzie stoi rozporządzenie Rady Ministrów z 19 lipca 1983 roku w sprawie zapewnienia warunków działania i rozwoju spółdzielczości inwalidów i spółdzielczości niepełnych, które ustanawia wyłączność spółdzielni inwalidów w wykonywaniu usług szatniarskich. I tu koło się zamknęło: jedyna spółdzielnia inwalidów, która mogłaby prowadzić szatnie, zdecydowanie odżegnuje się od sprawy...

Każda z wymienionych wyżej instytucji działa zgodnie z prawem: spółdzielnia „Światowid” może nie prowadzić deficytowej działalności, „Gastronomia” nie interesować się prywatnymi bądź co bądź sprawami agentów. Urząd Skarbowy musi egzekwować podatki, ZUS nie może płacić świadczeń tym, którzy nie płacą składek, a Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług nie może przyjąć w swe szeregi osób, które nie uzyskały odpowiednich zezwoleń z Wydziału Handlu i Usług UML, który też działa w myśl stosownych przepisów.

A co mała zrobić ludzie, którzy chcą czuć się pełnoprawnymi obywatelami? Kto na to pytanie odpowie? Czekamy!



Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

28 maja — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16

1 czerwca — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godz. 10—16

4 czerwca — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

Telefony, jakie otrzymują nasi dyżurni redaktorzy, potwierdzają słusność pomysłu bezpośredniej rozmowy Redakcja — Czytelnicy.

Kilka tematów „kupiliśmy”. I tak: przyjrzyjmy się bliżej działalności Biur Paszportowych, sprawdzimy listę udziałowców budowy domków jednorodzinnych prowadzonych pod szyldem ZSMP.

Spota telefonów było dotyczących spraw, których redakcja nie może „załatwić” ze względu na to, że informatorzy nie potrafili przedstawić źródeł, z których czerpali swoje wiadomości. Po prostu były to wiadomości z cyklu: jedna pani drugiej pani. Natomiast tym Czytelnikom, którzy zwracali się do nas z drobnymi kłopotami podpowiadaliśmy, gdzie i do kogo mają się zwrócić, bowiem nie zawsze redakcja potrafi im pomóc. Np. nie możemy zmusić, aby zagraniczne leki były sprzedawane przez osoby prywatne po niższych cenach, choć jesteśmy przeciwni tego rodzaju praktykom; niewiele też pomożemy panu Piotrowi Kaźmierczakowi z Przybyszewskiego 50, w mieszkaniu którego w czasie przejazdu tramwaju spadają ze ścian obrazy i podskakują na stole talerze z zupą. To sprawa PGM z ulicy Lubelskiej. Miejmy nadzieję, że ktoś z urzędników zainteresuje się tym domem.

I jeszcze jedno: nie przyjmujemy anonimów. Odwaga powinna obowiązywać po obu stronach przewodu telefonicznego.

REDAKTOR DYŻURNY

Głupia sprawa z esperalem i naiwnością

Zadzwonił Czytelnik i opowiedział taką historię: pracując w budownictwie jest się narażonym na rozmaite przygody, w tym i takie zagrażające zdrowiu i życiu. Najgorszym niebezpieczeństwem, z racji powszechności występowania jest wszechobecne pijaństwo. Kto nie chce popaść w alkoholizm, a jednocześnie nie ma odwagi, by odmawiać propozycji napicia się, by nie popaść w towarzyski ostracyzm, musi mieć alibi. Najlepiej, jak „lekarz zabroni”. Ten argument chroni przed namolnym: „no, jak to? ze mną się nie napijesz?”. Ale, niestety, nie zawsze. Nasz Czytelnik postanowił „zaszyty” sobie „Esperal” dla wzmożenia wątpliwej motywacji do niepicia.

Obawiał się dokonać tej operacji w placówce służby zdrowia, bo już przecieknął wiadomości o tym do jego zakładu pracy. Hanba to byłaby na męskim honorze. Trafił więc do lekarskiej spółdzielni. Tam usłyszał, że owszem, może poddać się zabiegowi. Opłata za wizytę wynosi 300 złotych. Pan doktor jednakże wpisał w niejakie zdumienie naszego Czytelnika ordynując cenę 5000 złotych polskich. Lek zaszyty, rachunek trzeba było uregulować.

„Esperal” ma długotrwałe działanie chemiczne na organizm, a po stosownym czasie ulega całkowitemu wchłonięciu i rozpuszczeniu się w organizmie pacjenta. Pozostaje jedynie biała po wysychu. Nasz Czytelnik, po upływie blisko 9 miesięcy od daty dokonania zabiegu, nie dostrzegł procesu wchłaniania leku. Przeciwnie. Lek nie tylko się nie wchłaniał, lecz zakaził ranę, wywołując stan zapalny. Przy próbie dezynfekcji wyszło na jaw, że w miejscu, gdzie powinna się znajdować kapsułka leku, znajduje się... tampon z waty. Tak to zwolennik wymuszonej, ale zawsze, trzeźwości, padł ofiarą cwaniactwa.

Kilka miesięcy temu było brak w Łodzi leków dla leczących się alkoholików i to przez dłuższy czas. Na bazarach natomiast można było kupić „Esperal”, nawet za więcej niż 15 tysięcy złotych za kapsułkę.

Koordynujący zabiegi wzywania leków alkoholikom w województwie Szpital Zespołowy im. Mikołaja Kopernika zawarł umowę z CEFARMEM, by zapobiec niekontrolowanemu przeciokom leków na czarny rynek, a jednocześnie uporządkować kwestię dystrybucji dla uspołecznionej służby zdrowia i spółdzielni lekarskich. Sporo bowiem było sytuacji sygnalizowanych przez pacjentów, że w przychodniach leków nie było, kolejki zapisanych do zabiegu stały się miesiącami, a jednocześnie w prywatnych gabinetach lekarze od ręki oferowali „wszywkę” za odpowiednią cenę.

Na dodatek, prowadzone od lat badania naukowe nad „Esperalem” wykazały jego liczne, a niekorzystne skutki uboczne dla pacjenta, wobec czego Polska przestała sprzedawać ów specyfik z Francji. Zastąpiono go importowanym z RFN lekiem nowej generacji o lepszych właściwościach, pod nazwą „DISULFIRAN”, także aplikowany przez zaszycie pod skórą.

Wojewódzki Szpital Zespołowy im. Mikołaja Kopernika porządkując dystrybucję przeznaczył pewną liczbę leku dla spółdzielni lekarskich, gdzie obecnie można dokonać zabiegu bez długiego czekania w kolejce. Pacjent spółdzielni opłaca koszt specyfiku. Cena zabiegu waha się w granicach 1700—2500 złotych.

Nieco inaczej rzecz ma się w przychodniach państwowych, gdzie lek także jest stale dostępny, lecz pacjentów „darmowych” znacznie więcej, stąd spore jeszcze kolejki oczekujących na zabieg. Ponadto praktycznie zlikwidowano obrót lekami przeciwalkoholowymi, wycofując je z aptek. Dystrybucja idzie bezpośrednio z CEFARMU do placówek lecznictwa, pod kontrolą koordynującego szpitala im. M. Kopernika. Chodziło o przecięcie kanału przeciekania leków na czarny rynek.

Mimo wprowadzenia pewnego porządku nadal dochodzą sygnały o zbojęckich cenach, jakich żądają niektórzy lekarze w spółdzielniach za dokonanie zabiegu wszycia, żerując na niedoinformowaniu pacjenta. Szczególnie tych, którzy nie wiedzą, iż w społecznej placówce leczniczej dokonano by zabiegu bez opłat i że taksy w spółdzielniach zostały jasno określone i każdy może zażądać cennika danej spółdzielni.

Są pacjenci, którzy z rozmaitych powodów, głównie zło ulokowanej wstydlivosti, nie chcą korzystać z przychodni państwowych. Wolą płacić za iluzję większej dyskrecji zgodnie z przekonaniem, że jak się zapłaci, to się dostanie lepsze lekarstwo i solidniejszą fachowo poradę. Jak się okazuje, nieznajomość prawa i cenników nikogo nie usprawiedliwia. Pieniąż wszystkich nie załatwi.

J. WRONSKA

Wszystko zaczęło się od tego, gdy w pewnej osadzie na skraju puszczy młody wódz za sekretną radą starego szamanu zwołal wszystkich współplemięnców pod wielki dąb i powiedział: — Mężowie! Trzy wiosny temu dobrowolnie wybrałście mnie swoim wodzem i panem na dobre i na złe, tak jako obca matka i dziada (niech obaj żyją wiecznie w trawie, ziołach i liściach drzew świętego gaju), kładąc tym samym na moje barki trudny i odpowiedzialny obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem waszym i waszych synów. Także powierzyliście mi tę zaszczytną funkcję, bym sprawiedliwie wami rządził w czas wojny i pokoju. A o żółdki wasze i szalasy dbał nie inaczej jak o własny, co każdego dnia od świtania aż do zmroku czynię. I po trzykroć niech brata mego starszego, którego teraz za wrogami naszymi się sprzymierzył, i z ukrycia nęka nas na pohabienie swoje, dziad i maczuga jako ten pies wściekły, przed czym już wyprowadziłem wszystkich ostrzegając potajemnie z woli świętej wyroczni w skamieniałym pniu na uroczysku ukrytej. Oby wasze żony były tuście, a synowie silni jak żubry!

— Mężowie! Zaczni, wiecie więc najlepiej, że siły swoje i talenty wszelakie wam i tylko wam poświęcam, służąc każdemu radą, kto wstąpi w szalasy moje, a niechby i żadnego zwierza, czy korzonków chrupiących w darze nie składając, bo taka jest moja powinność. Wszelako powiadam wam jak dziecię matczyne, niczego nie tając, że ciężar to zbyt duży na jedne ramiona złożony, choćby nawet najtęższe, i o pomoc serdeczną dziś was prosić muszę. Każdy z was jeden ma żółdek, jeden szalasy, o który się troszczy. Ja mam ich więcej aniżeli tych muszelek w naszym kraju, a i o paru nowych już myślę przychodzić. Wyznaczcie dla nich bezpieczną lokalizację, skontrolować, czy budowane zgodnie z tradycją, wytyczyć ścieżkę do strumienia — wszystko

Bardzo stara baśń

stko to na jednej mojej głowie. Nie inaczej — zorganizować dla podrostków kurs tropienia królików, opracować harmonogram łowów przed zimą, zaopiniować nowy typ pułapki na wiewiórki, czy podzielić futra bobrowe wśród najbardziej potrzebujących. Kłnę się na święty glaz olbrzy, że sam temu wszystkiemu podołać już nie mogę, a tu jeszcze — donoszą mi zwiadowcy — brat mój tchórzliwy skrzykuje kolejną wyprawę przeciw nam i do obrony szykować się trzeba.

— Przeto, mężowie waleczni, dobrze, abyście spośród was naznaczyli jednego, który u boku mego pozostawać będzie, a sprawy wasze bieżące załatwiać, tak jako ja sam bym to czynił, przez co krzywdy nikł nie doświadczysz, a zezwolenie na budowę szalasy, czy limit zapasu korzonków na zimę sybcej niż wyprowadzanie. Rzekłem.

I tak też się stało, choć wybór nie był wcale łatwy, bo tak wojownicy potrzebni byli do wojowania, tropić, do tropienia, zbierać korzonków do zbierania, strugać dźwiż — do strugania. Nie było więc komu wyręczyć wodza w załatwianiu codziennych spraw mieszkaniowych, jeśli nie liczyć pewnego młodzieńca, który był się słabo, zawsze gubił ślady, nie odróżniał korzonków jadalnych od trujących, za to lubił dużo mówić, pić herbatę i stroić się jak baba. Jego też więc w końcu, chcąc nie chcąc, na administratora wybrano.

O dziwo młodzieńiec ów szybko dał się poznać z tej strony, że sam sobie wydał zezwolenie na budowę szalasy administracyjnego — najbardziej okazałego w całej osadzie — i w nim zaczął przyjmować tak interesantów, jak i składane przez nich obowiązkowo już podarki. Nikt go bowiem wcześniej o taką operatywność nie posądzal. Mimo to, zachował nadal skłonność do gadulstwa i picia herbaty, przez co każdego ranka przed szalaszem ustawiali się długie kolejki współplemięnców oczekujących niecierpliwie na przyjęcie, gdyż zawsze pozostawały do załatwienia załatwić sprawy z dnia poprzedniego. Ale i na to administrator znalazł sposób. Powołał mianowicie trzech swoich zastępców: do spraw łowów i zbieractwa, wyrobu odzienia, dźwiż i lepienia garnków oraz — do spraw szalasy i legowisk. Co prawda wódz początkowo kręcił trochę nosem, gdyż z drużyny ubyło mu dwóch zbieraczy i jeden tropiciel, ale w końcu zaaprobował nominację, „skoro lud tak sobie życzy”, a nawet wyznaczył jeszcze jednego wojownika, by ten codziennie składał mu raport z tego, co dzieje się w szalasz administracyjnym.

W jakiś czas później mieszkający osady na skraju puszczy tak przetrzebili bobra w okolicznych strugach i strumieniach, że coraz większego znaczenia zaczęły nabierać skórki wydrów i królicze. Oczywiście w szalasz administracyjnym odezwali się wkrótce żądania, by w związku z tym przydzielono do pracy dwóch nowych tropicieli. I znów wódz początkowo był temu niechętny, ale i tym razem musiał w końcu ulec naciskowi swoich podwładnych, którym coraz bardziej podobało się, że można cały dzień siedzieć bezpiecznie w szalasz, też można mieć pod dostatkiem skórek, korzonków i żubręgo mięsiska, a do puszczy chodzić tylko na spacer lub za własną potrzebą. Krótko mówiąc, teraz chętnych już nie brakowało.

Kiedy jeden z wojowników przypadkiem wymyślił łuk, natychmiast wyznaczono samodzielnego specjalistę do spraw łucznictwa, gdy zaś kobiety podnosiły rękę, że kończą się zapasy soli, jednego z tropicieli mianowano plemiennym solnikiem, i po leonco, by od tej chwili nie zajmował się niczym więcej oprócz spraw z zakupem i rozdziałem soli związanych.

I tak oto zapoczątkowany niegdyś proces trwa nieprzerwanie do dzisiaj mimo że i współplemięnci nam wodzowie też przysmagają publicznie, że nie są z tego powodu zachwyceni, a lud dawno już zrozumiał, że przeciw wszystkim nie da się upchnąć do jednego szalasy administracyjnego, a gdyby nawet — kto wówczas przynosiłby podarki? Oczywiście co pewien czas ktoś mądrze dowodzi, że dalszy przyrost administracji jest niepożądanym, i wielce niewskazany, po czym zapowiada, iż on z tym wreszcie zrobi porządek. Przypomnijmy jednak od razu szczerze, że nikomu się to jeszcze w pełni nie udało.

Na wątpliwe pocieszenie można przy okazji dodać, iż pierwszą taką próbę podjął podstarzały wódz z pewnej osady na skraju puszczy — ten sam, od którego wszystko to się zaczęło. Był już jednak wtedy niedołężny i tak schorowany, że nie podnosił się prawie wcale z legowiska w swoim szalasz, który dzień i noc otoczony był wojownikami, gdyż w pobliżu jak kot czaił się brat wodza, w każdej chwili gotowy do przejścia po nim schody.

Aby naprawić swój młodzieńczy błąd, przyjął jednak ciągle jeszcze wódz wezwał do siebie najwierniejszego z wojowników i oznajmił, że mianuje go naczelnym likwidatorem szalasy administracyjnego, w którym założył się: przekupstwo, soboleństwo i arogancja. Naczelnym likwidator złożył przysięgę swemu wodzowi, że nie spocznie, póki powierzone mu zadanie nie będzie do końca wykonane. Sprawa nie była jednak wcale tak prosta, jak się wodziwi wydawało, a pracy znacznie więcej niż na możliwości jednego człowieka. Naczelnym likwidator wybrał więc sobie z grona wojowników dwóch zastępców, ci zaś po pewnym czasie...

Opowiadać dalej?

JÓZEF RETMAN

NR 22 (1522), XXX, 30 MAJA 1987 R.

1 Tanie mięso

Tanie mięso, jak wiadomo, psi jedzą. Co jednak zrobić, gdy bieda przycisnęła. Nawet jeśli przewiduje fatalne skutki niektórych oszczędności, trzeba się na nie decydować, bo innego wyjścia nie ma. Czasem trzeba najwzyczajniej zaciąć pasy nie dokonując właściwie żadnego wyboru. Szczęściem nie jesteśmy w takiej sytuacji, bo jednak jakichś wyborów dokonujemy. Nie pierwszy też raz dokonujemy wyborów zaskakujących. Zdarza się więc, że zimą nie ogrzewają mieszkań kaloryfery ani piece, ale kucharki gazowe i elektryczne. Może to i taniej wypada. Kiedyś polikwidowano małe wiejskie szkoły, potworzono gminne zbiorcze, dzieci dowożono. Może i to lepiej. Były kłopoty z budową mieszkan i wcześniej — stosowano rozwiązania eksperymentalne. A to zbudowano blok bez fundamentów, a to ze wspólnymi sanitariatami. Były kłopoty z importem surowców — i w kryzysie nie dali się, zaczęli w dawnych ZPC 23 Lipca produkować wyroby do czekolady niepodobne. Przyjęło się i dalej produkują, choć to obrzydliwe. Mieszanie przyzwyczajone surowca z byle czym i wytworzenie do niczego niepodobnego trafia się zresztą i innym firmom. Ze względu na zagraniczne zadłużenie trzeba nieco powściągnąć import, więc zastępuje się krajowymi (przygotowanymi na przedce) konstrukcjami kupowane dotąd za dewizy urządzenia. Zdarza się, że ich sprawność i wydajność jest niższa niż poprzednio kilkadziesiąt lat użytkowanych, a cena choć w złotych, to jednak relatywnie od importowanych wyższa.

Autorzy innowacji umiemy, że przedstawicieli w korzystnym świetle. Wady projektów przedstawione są jako zalety, marne efekty przypisuje się obłudzie, nadzorni technicznemu w zakładzie. Niezadowolony nabywca szczęścia jakiegoś dostąpił. Prześlaniać buty trzeba umieć szanować, niesmaczną kielbasę trzeba umieć doprawiać, rozpadający się samochód należy konserwować, itd.

Najbardziej przepadać za oszczędnościami dającymi szybko widoczne efekty. Można na przykład zmniejszyć zużycie ołówków w biurze projektów. Naturalnie możliwe są różne zabiegi przynoszące rzeczywiste oszczędności, albo (co chyba jednakowo ważne) przynoszące dodatkowe, nie przewidywane wcześniej korzyści. Ktoś kiedyś powiedział, że oszczędności wymagają także pewnych nakładów. Pewno miał rację. Nie zawsze zresztą idzie o nakłady finansowe. Czasem wystarczyłaby zwykła rzetelność pracowniczka. Naprawienie kilka razy pod rząd tego samego dachu, usuwanie za każdym razem takich samych rękawców kosztuje sporo. Naprawy samochodów uszkodzonych na drodze w nawierzchni jezdni kosztują chyba drożej niż zakrycie tych dziur. Serijna produkcja części zamiennych do maszyn i urządzeń powinna na zdrowy rozsądek być tańsza niż wyrabianie doraźne przez eksploatującego.

Ryzykując jest nakłanianie do drobnych i pozornych oszczędności i obciążanie równocześnie do wyrzucania pieniędzy w błoto. A to ktoś wymyślił odwracanie kopert do powrotnego zużycia, a to do wstrzelenia kilku kółków każe angażować przedsiębiorstwo wyspecjalizowane, które weźmie wprawdzie kilkadziesiąt razy drożej, ale za to wystawi lepszy rachunek niż jakiś tam zwykły Jan Kowalski, który by to zrobił szybko. Teraz wprawdzie łatwiej o sensowne rozwiązania, ale niezbyt jeszcze w tak zwanych budżetowych instytucjach. Często aż się prosi, żeby zrobić coś taniej, ale podobno nie można. Podobno, bo jeśli się długo przy czymś obstaje, może się uda to osiągnąć. Dochodzi już do tego, że jednak odświeżenie mebli kosztuje taniej niż kupienie nowych, może i do tego dojdzie, że konserwacja budynków będzie tańsza niż ich remonty.

Dobrze byłoby jeszcze i do

tego dojść, żeby gospodarność była naturalnym odruchem. A papi, zwracanie oszczędnościowe nie dają zbyt wiele. Już tak bywało. że pozorując wymagane oszczędności i tak trwoniło się wiele pieniędzy i ludzkiej pracy lub że oszczędzając gdzie nie należy, zaprzeczając się potencjalne korzyści. Jakże są w gruncie rzeczy nasze możliwości zużycia surowców wtórnych? Czy teraz już udałoby się przerobić makulaturę, złom, szkło, szmaty, gdyby je ludzie z prawdziwym przejęciem się potrzeba oszczędzania przynieśli do punktów skupia?

Dobrze byłoby też zerwać z obłudą. To prawda, że w niektórych zakładach przebiegano miarę w wydatkach o reprezentacyjnym charakterze. Kostowny wysiłek wewnątrz, wystawne bankiety były słusze ganiłone, jednak ostantacyjne ubóstwo nie jest alternatywą dla przepychu. Niechlujne wnętrza, tandemne wyposażenie odróżniające się dla samych pracowników instytucji. Na kontraktach robia także przynębiające cca wrażenia. Zabiegające o eksport przedsiębiorstwa nie powinny robić na gościach zagranicznych wrażenia upadłych, wyprzedających co się da i za ile się da. Nie powinno się też żałować pieniędzy na skuteczną reklamę. To też nie musi być aż tak bardzo drogie, byle mądrze korzystać z nadarzających się sposobności. Nie stać nas na zbyt wiele wyjazdów zagranicznych, dobrze wyszkućmy te najniezbędniejsze. Wyjeżdżającego przedstawiciela jednej instytucji mogłyby inne wyposażać w swoje materiały reklamowe. Przyjeżdżają goście do jednego, może i inny, niekonkurencyjny zakład co swego podtrząca. Niechby chociaż w hotelach były jakieś foldery, plakaty. Czasem trzeba trochę wydać, żeby potem zarobić.

KAZIMIERZ MICHAŁEWSKI

2 Jedenaście przeszkód nie do zwalczenia

Z zainteresowaniem przeczytałem w „Głosie Robotniczym” artykuł Matyldy Garbolskiej o sytuacji na rynku księgarskim. Artykuł oparty był na wywiadach przeprowadzonych w zakładach poligraficznych, składnicy księgarskiej i w księgarniach. Domu Książki. Jestem po paru rozmowach w wydawnictwach, w księgarniach i w środowisku ludzi piszących. Przeczytałem też szereg artykułów na ten temat w różnych czasopiśmie. Z tego wszystkiego wyłania się obraz następujący:

1) zakłady poligraficzne nie mogą drukować więcej książek, bo nie mają papieru, szczególnie specjalnego papieru na okładki, poza tym nie mają kleju i wielu innych potrzebnych materiałów;

2) gdyby mieli papier i wszystko, co potrzeba i tak nie mogliby drukować, ponieważ nie mają mocy przerobowych. Brak maszyn, a te, co są — są stare, zużyte i niesprawne;

3) gdyby były materiały i gdyby były sprawne maszyny to i tak nie mogliby drukować, bo brak starej wysoko wykwalifikowanej kadry drukarskiej;

4) gdyby to wszystko było — nie można by i tak przyspieszyć produkcji książek, bo nie nadążają introligatornie, cierniace ze względu na niskie wynagrodzenia na niedobór pracowników;

5) gdyby to wszystko było i książki mogłyby powstawać to i tak zakłady poligraficzne by ich nie drukowały, bo się nie opłaca. Lepiej opłacić się drukować opakowania, reklamny, druki i w ogóle akcydensy;

6) mimo to i właściwie nie wiadomo w jaki sposób drukarnie nie mogą więcej drukować, bo są zapchane gotowymi książkami i nie mają już gdzie składać nowych;

7) zapchane są dlatego, że nie odbierają ich składnice księgarskie wypełnione po brzegi książkami poprzednio otrzymanymi z zakładów poligraficznych. Ogromne ilości książek w składnicach spietrzonych o wiele ponad dopuszczalne normy nie pozwalają podobno dotrzeć nawet do zapasów i nie bardzo wiadomo co tam właściwie jest;

8) księgarnie nie odbierają książek ze składnic dlatego, że same są zawalone książkami;

9) księgarnie pełne są książek dlatego, że wydawcy nie bardzo wiedzą jakie książki wydawać i wydają nie te, które księgarze chcieliby sprzedawać;

10) księgarnie sprzedawałyby książki lepiej, gdyby nie to, że księgarze są młodzi i znów brak starej wykwalifikowanej kadry;

11) poza tym książki sprzedaje się trudno dlatego, że są drogie i brzydko wydane, na złym papierze, z liozmy brakami. Mogłyby być tańsze, gdyby były klejone, ale te z kolei są jeszcze bardziej nieatrakcyjne i rozpadają się po pierwszym czytaniu.

Niezależnie od tego wszystkiego dodam jeszcze od siebie, że nawet gdyby księgarze sprzedawali książki bardzo dużo, to wcale nie znaczy, że wszystkie one byłyby czytane.

Po tym wszystkim nastroj jest taki, że tylko usiąść, uśmieknąć się i płakać. Pozostaje jeszcze tylko jedno zastanawiające pytanie: jak to robia na całym świecie, że nie wala głową w mur, gdziekolwiek by nie zrobili jednego najmniejszego kroczku?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Bójka w „Światowicie”

Lubię czasem wpaść do restauracji na jakiś bryzołek, kotlet ministerski, czy choćby szaszłyk barani. Lubię też napić się dobrego piwa, a niekiedy i lody zjeść na deser. Lubię, żeby w restauracji było czysto, przyjemnie, spokojnie. No i żeby kuchnia była smaczna, potrawy ciepłe i obsługa grzeczna, szybka i dyskretna. Lubię, aby tak było, ale często tak nie jest.

Często jest tak, że kucharz jest leniem, podobnie kelnerzy, w lokalu brudno, głośno i nieprzyjemnie. I gdy tak konfrontując ideal z rzeczywistością, pomyśle o zbliżających się targach wiołkiennych w Łodzi, zwanych z cudzoziemską „Interfashion”, to mnie strach ogarnia. Otóż wiem z kół dobrze poinformowanych, że luksusowe prostytutki już się do najeżdżu cudzoziemców solidnie przygotowują, licząc na obfite żniwo twardej waluty. Cudzoziemcy — jak wiadomo — przywrzylki są do luksusów i do szybkiej i sprawnej obsługi kelnerskiej — i nie tylko, ale o tym dobrze wiedzą dewizowe panienci — mogą więc przeżyć szok zderzając się z naszą rodzinną rzeczywistością gastronomiczną.

Albo życie potrafi zaskoczyć nawet i mnie, któremu wydawało się, że już go nie nie zaskoczy. Wybrałem się do „Kaskady”, która akurat skończyła była szybki remont. W

holu i szatni śmierzdziało jessaczem farbą i rozpuszczalnikami. Na górze było natomiast elegancko i sympatycznie. Kelner zjawił się natychmiast, był grzeczny, sprawny i dyskretny. Idealnie kelner. Tylko tak trzymać! I wytrzymać do końca „Interfashion”. Potem przyjdą wakacje i będzie można sobie odpocząć, choć wolałbym, aby tak idealnie było przez cały czas. Wolno przecież pomarzyć. Kotlet ministerski też był smaczny, tonik zimny, nie wspomnę już o kieliszku sztycy. Ech, życie potrafi być czasami piękne.

Kilka dni później, w nastroju już zupełnie optymistycznym udałem się z moim przyjacielem, którego dla niebawego łagodnego charakteru nazywam Świętym, do „Światowita” na piwo i lekką przekąskę. Piłaków akurat nie było, golonki również, ale piwo było leżakie. „Światowit” jest hotelem, a zatem i restauracja powinna być postawiona na wysokim poziomie, gdyż bywają tu goście zagraniczni, trzeba więc czymś im jakoś załapponować. No i z pieniędzy dobrze wydręnować.

W restauracji było tłoczno. Część stolików już zarezerwowano. Przy jednym siedziała delegacja z NRD. Przy innym jakieś głośne cudzoziemskie towarzystwo: dwie kobiety i mężczyzna. Pili wino i zachowywali się hałaśliwie. Jedna kobieta była ubrana na czarno, druga na zielono i tak je nazwijmy: Czarna i Zielona. Mężczyzna był raczej natury spokojnej i próbował kobiety ucieszać, szczególnie Czarna. Ludzie się na nich oglądali, ale ani kelnerzy, ani kierownik sali nie reagowali. A powinni byli!

Wino pite w dużych ilościach oraz inne napoje zrobiły swoje i mężczyzna raczej ciemnonocny wyprowadził po kolei obie panie, ładne i też ciemnonocne, do toalety. Pochód ten odbywał się krokiem chwiejnym w towarzystwie okrzyków i chichotów. Znów w moim przekonaniu w lokalu tej klasy, jaką powinna reprezentować restauracja hotelowa „Światowit”, powinna nastąpić reakcja służby. Należało dyskretnie zwrócić uwagę i zażądać opuszczenia restauracji, gdyż hałaśliwe towarzystwo wyraźnie przeszkadzało pozostałym i budziło niepotrzebne zainteresowanie swoim zachowaniem.

W pewnym momencie całe towarzystwo wstało od stolika i wymknęło się. Wszyscy odetchnęli. Ale gdy po kilku minutach powrócili na salę, powiedziałem do Świętego: — Zaczęła się awantura. I była, gdyż przez ten czas kelner sprzątał ich stolik i zajął go inne towarzystwo. Weszła trójka usiadła przy nim sprzątanym jeszcze stoliku obok. Kelner zwrócił im uwagę, że to nie ich miejsce i że ten stolik jest zarezerwowany. No i wtedy się zaczęło.

To było niczym w amerykańskim filmie z niezbyt Dmkiego Zachodu. Obie panie walczyły z furją i dużym temperamentem. W restauracyjną przestrzęń leciały powszechnie znane polskie słowa, z których „kurwa” było najagradniejszą.

Kierownik sali o kręconych włosach był ciagnany za nie po sali. Z zastawionych i przygotowanych dla jakiejś chęba wycieczki stolików leciała zastawa. Przewracali się krzesła i stoliki. W końcu połączone siły kelnersko-kierowniczo-portierskie wyparły obie panie i pana do holu, gdzie dalej trwała walka. O mały figiel a Czarna nie potrzebowałaby wychodzących po obiedzie gości z NRD. Zielonej krew ciekła z nosa. Kilku panów z obsługi będzie nosiło piękne czerwone przezi od paznokci obu pań. Ludzie wstawali od stolików i przyglądali się dalej trwającej walce w holu. Wreszcie przyjechała milicja — aż trzy samochody — i w holu „Światowita” zrobiło się niebiesko. Milicjanci szybko sobie poradzili z temperamentnymi paniami i zabrali je w nieznaną, pewnie do aresztu. Ktoś będzie musiał przecież zapłacić za potłuczoną zastawę i odpowiedzieć za zakłócenie spokoju.

Dopiliśmy piwa, zapłaciliśmy rachunek i poszliśmy. A swoją drogą kierownictwo „Światowita” powinno dolożyć wszelkich starań, aby takie walki w tym lokalu nie zdarzały się. Trzeba po prostu szybko, wcześniej i skutecznie reagować! I nie tylko w okresie „Interfashion”.

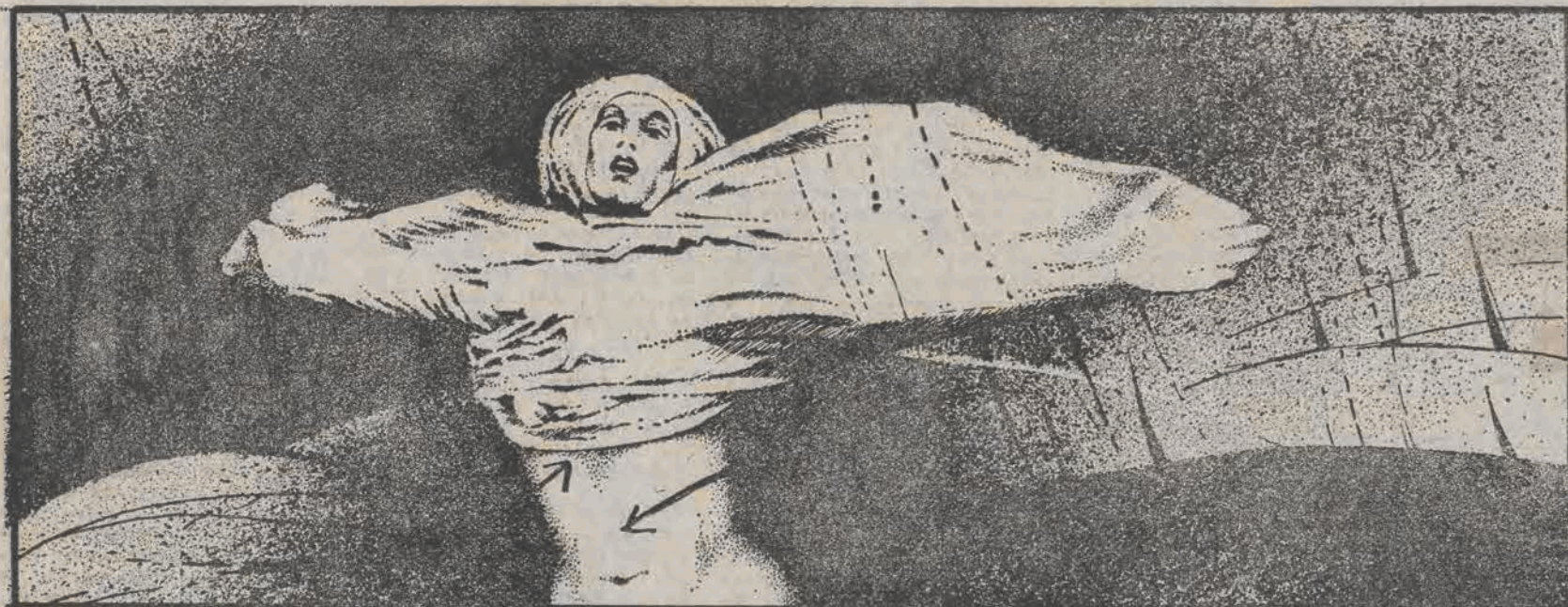
ZENON POROWATY

ODGŁOSY 15

Sodomia

JACEK KRAKOWSKI

(15)



To niesłychane, mówiło Pożądanie, zapraszają już tutaj nie wiadomo kogo. Nigdy bym nie przyszła, wiedząc, że będą tutaj obcy. Od razu psują mi cały apetyt. Miałam dzisiaj tylko dwunastu mężczyzn, w tym niestety, trzech starszych i dwóch młokosów z mlekiem pod nosem, a jednak czuję, że mi przechodzi ochota na coś ekstra. Muszę koniecznie zwrócić uwagę Atanazji, żeby z większym smakiem dobieła towarzystwo.

Nie denerwuj się tak moja droga, bo schudniesz, uspokajają ją Zadowolenie. Ważysz przecież tylko sto sześćdziesiąt sześć kilo. Twoja nieboszczka matka ważyła dobrze ponad dwieście, kiedy wreszcie wyciągnęła te swoje krzywe nogi.

To przez to cholerne łóżko, które się pod nią zarwało. A tylko dlatego, że miała w nim na raz pięciu chłopów. Skonczyła biedaczka w orgazmie, czując jej pamięć! Nie darmo wszak była z domu Clitoris-Mundi.

Podeszliśmy do czterech osób: psa, cielaka, kota i kury, gwałtownie wykrzykujących i gestykulujących.

Nigdy nie byłam ateistką, mówiła z rozdrażnieniem w głosie Radość-suka, ale lizanie po piętach to już lekka przesada. Poza tym nie cierpię platusa, na którego cierpi większość alumnów.

W końcu to ich jedyna przyjemność, uspokajała ją Pokora-cielak. Mój siostrzeniec, który rok spędził w tej szkole, wiesz który, Memion, ten czarny, szalenie przystojny...

Czy pani ma na myśl tego młodego człowieka, którego porwała rzeczniczka prasowa zakładów zamkniętych, spytał Smutek-kot. Podobno niczego nie nosił pod włosienicą?

Owszem, odparła Pokora, to ten sam. Opo- wiaдал mi nieraz o surowej dyscyplinie panującej w szkole. Gotowanego w ogóle nie brali do ust, a na noc przywiązywano im ręce paskami do łóżek.

To nieludzkie, krzyknęła Skrucha-kura. Ograniczenie wolności osobistej, godności i samowystarczalności. Czy pani kuzyn zwracał się w tej sprawie do mojego męża? Jest on dobrym przyjacielem generalnego prokuratora...

Massmediani, zawołał Smutek, ależ ja go znam bardzo dobrze. Godziny spędzaliśmy ze sobą w saunie, a specjalnie ćwiczone Murzynki masowały nas w taki sposób, że wychodziliśmy tryskając zdrowiem.

Szliśmy dalej, przypatrując się perorującemu mężczyźnie, który ubrany tylko we frak i czarne lekki, zdjąwszy maskę z twarzy przemawiał podniesionym głosem. Na jego piersiach widniał napis: „Zdziwienie”.

Homonimowie twierdzą, mówił, że wyjątkowość z człowieka rośnie na każdy dzień szesnastym wyjętym dołowania. Ja jednak uważam, że panowie Pfeffer i Saltz nie mają racji, gdyż trzeba brać także pod uwagę wydolność z rezygnacji do wyższych aspiracji...

O czym on mówi, spytałśmy najbliższej nas stojącego człowieka z napisem „Małoduszność” na zabrudzonym podkoszulku.

A gówno to was obchodzi, odparł ordynarnie. I tak jako szpiedzy nie macie prawa głosu. Chyba żebyście głosowali per procura, ale przedtem musielibyście zostać uznani za zmarłych. Ale nie wiem, czy wam to się opłaca. Ja w każdym razie mogę wam już dzisiaj podać procent głosów oddanych na prawdziwych ludzi...

W naszym kierunku zbliżała się dziwna para. Kobieta przebrana za serce, które niedwuznacznie przypominało wielkie pośladek i uczonej przy jej rękach mężczyzna, trzymający ją członkiem — w ten bowiem organ zostało „przybrane” jego ramię. Kobieta-serce w ogromnej peruce i wulgarnym makijażu niosła przed sobą tabliczkę z napisem „Miłość” mężczyzna zaś obwieszony był jako „Chłuba”.

Sylwestrze, jak to, nie poznajesz mnie, zawołała Miłość, szczypiąc mnie w fałdę na brzuchu, to ja Rypa Roztrzępaniec. Nie pamiętasz tego pienka w lesie. Pozwól, że ci przedstawię mego męża.

Alaż my się doskonale znamy, krzyknął Chłuba, obejmując mnie członkiem-ramieniem. Nie pamiętasz starego Wpycha?...

Na szczęście rozdzielił nas korowód matek z przypiętymi piersiami, prowadzących za ręce rozwrzeszczane dzieci. Umknęliśmy w bok i przystanęliśmy pod filarem.

Nie powinniśmy tutaj przychodzić, rzekł Laurenty. Nie mogę zrozumieć, jaki jest cel tego wszystkiego.

Hieronim nie powinien nas wpuszczać w to bagno, powiedział Sylwester.

To panowie znają Hieronima, odezwiała się stojąca obok nas Nienawiść w hełmie z przyłbicą i w kolezudze. Porzucił mnie pewnej parnej lipcowej nocy. Wybuchł straszny skandal polityczny, który oczywiście zatuszowano, twierdząc, jakoby ja nie była przy zdrowych zmysłach. Moje zmysły zawsze cieszyły się jak najlepszym zdrowiem, jednak nie pozwolono mi zamieścić sprostowania w gazetach, żądając oddania się specjalnej komisji, złożonej z zasłużonych starców dotkniętych przapizmem, czemu przeciwstawiłam się z właściwym sobie temperamentem.

Po co pani nam to mówi, spytał Sylwester. Przecież pani nas właściwie nie zna?

Jesteśmy na eleganckim przyjęciu, oburzyła się Nienawiść, i w takich okolicznościach należy podtrzymywać konwersację za wszelką cenę, podobnie jak umierającego, który ma ochotę skończyć w dzień państwowego Święta Uciech. Jak się masz, zawołała nagle, kiwając ręką w metalowej rękawicy w stronę mężczyzny przebranego za psa i idącego na czworakach. Hej, tutaj jestem ty suko. Nie odchodźcie jeszcze, zwróciła się do nas, chciałabym poznać was z moim narzeczoną. To pies na kobiety i mężczyzn. Przebrał się za Pocucie Hańby, bo bardzo to lubi. Jest teraz zbieraczem zużytych tamponów...

Słyszałem, że Hieronim przysłał do was telegram z gratulacjami.

Och, to pewnie znowu ta Przychyłość, westchnęła Nienawiść. Ona zawsze chce komuś sprawić przyjemność. Byłam z nią kiedyś w służbie „H”. Pułkownik Black dostał białej gorączki, kiedy dowiedział się, że wyciąga z podejrzanego zeznania poddając ich wymyślnym torturom seksualnym. Było to podczas Wielkiego Przewrotu zaraz po ustąpieniu Hieronima. Zdaje się jednak, rzekła, podnosząc lorgnon do oczu, że właśnie spotkała swoją przyjaciółkę.

Spojrzelśmy we wskazanym przez nią kierunku. Pułchna Przychyłość w białym, koronkowym peniarze przepasanym wisiową szarfą witała się właśnie z wysoką i chudą Odrzą, całą obwieszoną nieświeżą kielbasą.

Pst, usłyszeliśmy za sobą, nie odwracajcie się i udawajcie, że nie wiecie, o co chodzi. To ja Lancelot. Atanazja urządziła to przyjęcie tylko dlatego, iż obawiała się, że z wami ucieknie. W każdym razie to nie ja stałam obok niej. I błagam was, nie odwracajcie się. Co kwadrans zmieniam przebranie, co pół godziny kałesony. To nie, to ze strachu... Nie zwracajcie na mnie uwagi. Poszukajcie lepiej Tesknoty. Mówiono mi, że widziała tutaj Hieronima. I ani słoweczka...

Na szczęście byliśmy już niedaleko baru. Właśnie lampart i hiena zwolniły dwa stołki, lecz drogę zastąpił nam potężny człowiek z tabliczką „Współzawodnictwo”.

Obawiam się, że to się źle skończy, rzekł, nachylając się ku nam. Ten pomysły z przyjęciem kamuflującym nie jest zbyt dobry. Przecież każdy głupi zorientuje się po kilku minutach, że coś tu nie gra.

Mój mąż żartuje jak zwykle, odezwiała się, wychylając się zza jego pleców drobna kobietka, trzymająca w dłoni wizytówkę z napisem „Uwielbienie”. Cudowny jest w tych swolch podejrzeniach. A staję mu wtedy jak wszyscy diabli, zawołała, gulgotąc spoza maski indora. Tesknota, rzuciła się nagle w stronę niepozornej postaci. Tyle lat!

Mówił pan o jakimś kamuflażu, rzekł Laurenty, zwracając się do Współzawodnictwa. Czy to ma coś wspólnego z homonimami?

Nikt tego na pewno nie wie, odparł szeptem Współzawodnictwo, ale założę się, że bał jest homonimowany.

Tesknota, wołała jego żona na cały głos, kiedy my się ostatni raz widzieliśmy?!

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznym bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym”.

Czy to znaczy, że, powiedział Sylwester, lecz Współzawodnictwo przyłożyło mu dłoń do ust: Wiem co pan ma na myśli, ale poza nami nikt nie powinien o tym wiedzieć.

Nie wydaje mi się, abyśmy odgrywali w tym jakąś szczególną rolę, rzekł Laurenty.

A jednak jest ona nad wyraz zauważalna, powiedział Współzawodnictwo, po prostu rzuca się w oczy, podobnie jak wasze nieprzyzwoite opiewanie genitalia.

Niedaleko nas przystanęła właśnie para oznaczona napisami „Zycziliwość” i „Wdzięczność”.

„kompletny upadek, mówiła Zycziliwość, i postępujący rozkład, zmuszają nas do radykalnych działań, ale muszą być one nad wyraz delikatne...”

Nie przypominam sobie, żebyśmy się znali, mówiła Tesknota. Moja charytatywna działalność zmusza mnie do zawierania wielu nie nie znaczących znajomości, co nie oznacza wcale...

Widzicie te małe drzewiczki, z których wyszedł barman, szeptał Współzawodnictwo. Są one tam tylko po to, żebyście w nie weszli.

Niech pani mówi dalej, szeptala namiętnie Uwielbienie. Każde słowo winno być tutaj nie nie znaczące, powinno odwiekać jedynie tę chwilę...

„która być może kiedyś nadejdzie, ale jeszcze nie wszystko stracone, mówiła Wdzięczność, wiem oni nie mogą się zorientować, że...”

„słowa tutaj wymawiane mają jedynie na celu zagłuszyć wrzaski dochodzące stamtąd, powiedział Współzawodnictwo. Zresztą zrobicie jak chcecie. Ja w was w każdym razie dostrzegłem i o tym powinniście pamiętać.”

Najlepiej przezołgać się pod barem, stwierdziła Tesknota.

Zdaje mi się, że niedawno tutaj byliśmy, zauważył Laurenty.

To niewykłuczone, stwierdziła Zycziliwość. Braliśmy zapewne udział w pozoracji. Trzeba tylko uważać na barmana. Lub wręcząc zniechęca karkociąg w tyłeczki. Trrrrach, i po wszystkim!

Ach, to nie poważnego, zaśmiało się Uwielbienie. Zawsze smaruję karkociąg najlepszą oliwą.

Co to była za pozoracja, spytał Sylwester. Pozoracja dezorientacji, odrzekła Wdzięczność, a do drzwi trzeba zapukać trzy razy.

Nie martwiecie się, jakoś to będzie, rzekł Współzawodnictwo, klepiąc nas kordialnie po ramionach i całując z dubeltówki. Dużo szczęścia na nowej drodze życia. W razie czego kogoś zaświadom, spytał szeptem.

Nie zdążyliśmy jednak odpowiedzieć, gdyż popchnął nas w stronę kontuaru tak silnie, że wpadliśmy na Odrzę, wyciągającą rękę w kierunku kieliszka z zielonym napojem. Kieliszek przewrócił się i stłukł, rozlewając gęsty płyn na czarne spodnie chudego mężczyzny, który właśnie wstawał ze stołka.

Wszędzie ci pijani, krzyknęła Odrza, wszędzie! Alkoholizowani homonimowie udający homonizowanych alkoholików. Bez przesady, panowie, ludzie nie są tacy głupi na jakich wyglądają.

Trzeba najpierw być człowiekiem, zauważył mężczyzna w obłanych spodniach, a nie wstępnym babskiem. Szyderstwo jestem, rzekł, skłoniwszy się w naszą stronę. Nic ino bym szydził i szydził. Najchętniej z głowy państwa, żony głowy państwa, kochanki głowy...

Wyrzucić mi tych dwóch, wołała Odrza. Wyrzucić, ja wiem kim oni są naprawdę. Zwyczajni pozoranci, animatysci, kukły!

Jest pijana, rzekł Szyderstwo, ale wy powinniście iść stąd jak najszybciej, bo wywołują was stąd na złyby pysk. Antagonizm między homonimami a animatystami zaostrza się bardzo wyraźnie. Niektórzy twierdzą, że ludzie mają w tym swój udział, chociaż ostatnia pozoracja wykażala, że inspiracja jest wprowadzana centralistycznie.

Pan czekał specjalnie na nas, spytał Laurenty. Skąd, zachnął się Szyderstwo, to wy szukaliście mnie zbyt długo. Ale nie nie szkodzi, właśnie miałem wychodzić. Przepraszam.

Robi z was balonów, zauważyła Odrza. Wierzyć w każde słowo, które się tutaj wypowiada, a tymczasem mówi się tu tylko dlatego, że

milczenie w tej sytuacji byłoby nie do wytrzymania.

Słyszeliśmy, że to tylko kamuflaż, rzekł Sylwester.

Być może, odrzekła Odrza, nikt jednak nie wie, co kamuflażem nie jest. Ale oto i moje córki. Widzę, że nareszcie odnalazły swoją starą, steraną matkę, zawołała na widok dwóch o-wadów, podchodzących do nas.

Biedronka posiadała wizytówkę „Nadzieja”, a modliszka „Obawa”.

Oto kawalerowie, których dla was znalazłam, moje kochane, mówiła Odrza. Mają w sam raz. Kiedy zabawiali mnie rozmową, pomocałam ich doświadczone, matczyną dłońią i uważam, że powinniście być z nich zadowolone.

Odsunęliśmy się od matki i córek, nie oddalając się jednak zbyt daleko od baru, zastanawiając się jak dostać się do wskazanych nam uprzednio drzwi, na których dostrzegaliśmy napis „Wejście tylko dla personelu”. Niespodziewanie uchyliły się nieco, wyjrzała zza nich Atanazja i wskazując ręką na zegarek dawała nam znaki, żebyśmy weszli. Nie mogliśmy jednak nigdzie znaleźć przejścia pod blatem baru.

Panowie do ubikacji, usłyszeliśmy nagle nad sobą głos barmana, kiedy pochyleni badaliśmy bufet. Dla panów na lewo, dla pań na prawo.

Rzeczywiście, z lewej strony baru widniały uchylone drzwi opatrzone tabliczką „00”, lecz zaledwie tam weszliśmy, rzuciły się na nas dwie rozebrane dziewczyny. Nie spodziewając się takiego ataku, przewróciliśmy się na dywan, którym był wyłożony przedsionek, a one gubiąc tabliczki „Śmiałość” i „Uciecha” próbowały z nas zerwać majtki.

Kopulacja w ubikacji, usłyszeliśmy wrzask dochodzący z sali. Kopulacja w ubikacji!

Przez otwarte drzwi wtargnęli tłum śmiejących się masek, my jednak zdołaliśmy uwolnić się z objęć dziewczyn i zamknąć się w kabine. Ludzie waliłi pięściami w drzwi, wykrzykując pod naszym adresem niewybredne epitety. Laurenty zapewne ze zdenerwowania lub z przyzwyczajenia pociągnął za łańcuszek od rezerwuaru i niespodziewanie cała kabina, niby winda zaczęła opuszczać się ze wzrastającą szybkością, zatrzymując się dopiero po kilku minutach w niewielkim pomieszczeniu na wprost stołu, przy którym siedzieli Atanazja i Lancelot.

Ze że wy zawsze musicie się spóźnić, rzekła, kręcąc głową. Czekały tu i czekamy.

Nie wiedzieliśmy, rzekł Sylwester, wychodząc z kabiny. Mogłicie nas uprzedzić.

Może mielibyśmy wysłać do was zaproszenia albo telefonogramy, oburzył się Lancelot. Do was! Spiegów, cudzoziemców i pederastów! Nie, to już przekracza wszelkie granice.

W ogóle nie zwracacie uwagi na znaki, które wam dajemy, powiedziała Atanazja. Trudno, nie przypuszczaliśmy, że Hieronim przysłał nam tak głupich porywaczy.

Nie mamy zamiaru nikogo porywać, zawołał Laurenty. Postanowiliśmy wracać, a wy przetrzymujcie nas, nie wiadomo po co!

No, no, tylko spokojnie. Przede wszystkim siadajcie, rzekł Lancelot, i porozmawiajmy jak prawdziwi mężczyźni. Nie mogliśmy z wami normalnie rozmawiać, wiedząc, że wszędzie założony jest podsłuch. Jedynie tu możemy być jako tako pewni, że nikt nas nie słyszy. Ten system zakładał jeszcze Hieronim, ale urządzenie działa w dalszym ciągu, dlatego na wszelki wypadek powinniśmy od czasu do czasu pleść byle co, aby wyglądało na to, że was tylko zwiadamy.

Czy to znaczy, że bał, rzekł Laurenty, ale Atanazja przerwała mu machnięciem ręki.

Bał jest zwyczajny, normalny i doroczny z okazji Święta Chaosu, a Współzawodnictwo to platny prowokator. Oczywiście, podgląd sytuacyjny także działa, co nie zwalnia nas od tego, żebyście trochę bardziej znali się na dyplomacji. Jesteście patałachy i tyle.

Nie rozumiem, odrzekł Sylwester, ciągle wszyscy mówią nie to, co trzeba.

Bo tak właśnie trzeba, powiedział Lancelot. Ale co ja tam będę tłumaczył takim dwóm barmanom.

Wychodzimy stąd, rzekł Laurenty, i nigdy już nie zgodzimy się na tego rodzaju misję. Jesteśmy normalnymi ludźmi. Chcemy rozmawiać i zachowywać się normalnie, a nie pleść trzy po trzy w stanie jakiegoś... pozoracji. Dosyć tego!

Zapomnieliście już zapewne, dlaczego zgodziliście się tu przyjść, powiedziała z przekasem Atanazja. Chcieliście wrócić do drogiego waszym sercem domu utraconego dzieciństwa, ach, co za tkliwość uczuć, aby w nim nadal uprawiać swój wstępną procedurę. Ryp i siup! Pamiętasz Lancelocie, my też tak kiedyś siupaliśmy, ale teraz niestety, nie te czasy... Wapory, prostaty, wiek przekwitania. Tak, tak... Braliśmy też pod uwagę podeszły wiek Hieronima, który lada chwila może wyciągnąć kopyta. Ten stary ośioł nie zdaje sobie sprawy, jak wiele nam zawdzięcza. Już dawno rozdarłoby go na strzępy, gdyby nie nasza mediacja. Prosty lud nie zna litości.

Jest odważny, szczerzy i popędliwy, o popędliwy, kurwa mać. Pamiętasz Lancelocie jak chcieliście zlineczować za to, że kazałeś podwyższyć podatki i obniżyć pensje. Na szczęście, na skutek katastrofalnej sytuacji finansowej wynagrodzenia spadły w końcu do zera.

Pamiętam kochanie. Prosty lud ma to do siebie, że swoją prostotą usiłuje mydlić oczy wybrany przez siebie przywódcom, uważając zapewne, że pozostają oni nadal prostym ludem. Niewątpliwie pozostają, ale jedynie w zakresie myślenia. Natomiast co do innych właściwości, co, nabywają oni bardzo szybko manier głów panujących zbratanych rzeź jasną z prostym ludem, wbijając go w ten sposób w nieuleczalny snobizm, napawając go otuchą i nadzieją Ostatecznego Bratania (OB). Prosty lud jednak nie wie o tym, że sam, swoimi spracowanymi rękami przyczynił się do Wstępnego Rozbrafatu (WR), że wydzielił z siebie ciało, które teraz ma zamiar pochłoniąć. Hieronim uważa, że lud zachowuje się jak ptak, który wysiedziawszy jajka i doczekawszy się piskląt, zjada teraz ich odchody, aby utrzymać czystość w gnieździe. Im lepiej karmi pisklęta, tym więcej one robią pod siebie, dlatego właśnie postanowiliśmy opuścić Sodomę.

C.D.!